



Harlequin® na życzenie

Spróbuj mi zaufać

KATHIE DeNOSKY
LIZ FIELDING

Spróbuj mi zaufać

KATHIE DeNOSKY
LIZ FIELDING

Dwie bestsellerowe powieści
najlepszych autorek romansów!



Kathie DeNosky

Rywal czy kochanek?

Tytuł oryginału
Sleeping With the Enemy



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jeszcze mi tego dzisiaj brakowało - mruknęła pod nosem Elise Campbell, gdy po raz drugi nie trafiła kluczem w dziurkę.

Dwugodzinne czekanie na podpis sędziego na nakazie było nie do zniesienia. Wysłuchiwanie przez całe popołudnie, jak John Valente, nowy szef mafijnej rodziny Mercado, zwraca się do niej „laluniu”, wywołało ogromną tęsknotę za prysznicem. A teraz stos trzymany skoroszytów nie pozwalał jej trafić kluczem do zamka w drzwiach pokoju w hotelu Mission Creek Inn. Na szczęście, gdy już znajdzie się w środku, będzie mogła się odprężyć.

Żonglując torebką, stosem dokumentów księgowych zabranych z biura Valentego i małą pizzą, zrobiła kolejne podejście do zamka. W tym sierpniowym upale mogła już myśleć tylko o klimatyzowanym pokoju.

Wreszcie zdołała otworzyć zamek i dostała się do pokoju. Kopniakiem zamknęła drzwi i pośpiesznie rzuciła cały bagaż na biurko. Stała pod klimatyzatorem. Chłodny podmuch na rozpalonej skórze był wręcz boski. Zdecydowała, że po takim dniu zasługuje na odprężającą kąpiel, a potem kieliszek wina do pizzy, z nim zabierze się do papierów.

Sprawdziła drzwi łączące jej pokój z sąsiednim i westchnęła ciężko. Zamek był zepsuty. Czyżby nie koniec kłopotów na dzisiaj?

Kiedy się rano meldowała, dano jej do wyboru oba pokoje, wiedziała więc, że drugi jest pusty. Ale pewnie do czasu. Postawiła pod klamką krzesło. Gdyby ktoś próbował wejść bez zaproszenia, przynajmniej trochę go spowolni.

Dwadzieścia minut później siedziała po turecku pośrodku wielkiego łóżka, pogryzając pizzę i oglądając dziennik. Prezenter pogody obiecał, że druga połowa sierpnia w południowym Teksasie będzie taka sama jak i pierwsza - upalna. Spojrzała na szorty i koszulkę, które nałożyła po kąpieli. Szkoda, że nie mogła w nich chodzić do pracy.

Elise sięgnęła po kieliszek z winem. Zamarła jednak, zanim podniosła go do ust - ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju. Słyszała pojedyncze, ciężkie kroki. Niewątpliwie był to mężczyzna. Rozległ się tępy stuk, a potem soczyste przekleństwo. Albo upuścił ciężki bagaż, albo zwłoki. Słowa, których używał nieznajomy, świadczyły tylko o dużym niezadowoleniu.

Sięgnęła po swój pistolet, wyjęła go z kabury i odbezpieczyła. Niedobrze, że zamek w drzwiach łączących oba pokoje jest zepsuty, ale w tej chwili nic się nie da z tym zrobić. Rzuciła okiem na krzesło pod klamką. Jeżeli facet z sąsiedniego pokoju naprawdę zechce wejść, to i działający zamek mu w tym nie przeszkodzi, nie mówiąc już o krześle.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi po jego stronie,

chwyciła pistolet, wyciągnęła ramię, a drugą ręką podtrzymała kolbę. Nie zaskoczyło jej, gdy drzwi otworzyły się na oścież, a pchnięte krzesło rozbiło się o kant biurka.

Bardzo wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z krótkimi, ciemnobrązowymi włosami i przenikliwym spojrzeniem stanął jak wryty.

- Czemu się mieszasz do mojego śledztwa, Campbell? - warknął, nie zwracając najmniejszej uwagi na pistolet wycelowany w środek jego czarnej koszulki.

- A czemu ty wpadasz do mojego pokoju bez pukania, Yardley? - spytała spokojnie Elise, opuszczając broń. Zabezpieczyła pistolet i schowała do kabury. - Zupełnie w stylu ATF*, prawda? Wpadać do środka, nie myśląc o konsekwencjach.

- A wysyłanie kobiety na robotę dla faceta jest całym w stylu FBI - odgryzł się.

Elise zazgrzytała zębami na te słowa, ale nie dała mu satysfakcji i nie okazała gniewu. Uśmiechnęła się za to słodko.

- Widzę, że nic się nie zmieniłeś. Ciągłe nazywają cię Jaskiniowcem.

Wzruszył ramionami i sięgnął po kawałek pizzy.

- Pewnie rzeczy się nie zmieniają. Nadal masz cięty język. - Z błyskiem w orzechowych oczach rzucił jej

ATF - Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, agencja federalna zajmująca się przestępstwami związanymi z alkoholem, papierosami, bronią, materiałami wybuchowymi i podpaleniami - przyp. tłum.)

uśmiech. - A jeśli chcesz znać moje zdanie na temat agentek w terenie...

- Znam je, Yardley - przerwała mu Elise, prostując nogi. - I nic mnie ono nie obchodzi. Wystarczy, że kierownictwo ma do mnie zaufanie.

Widziała, że go irytuje. I bardzo dobrze! Sama była zła.

- Kiedy się robi gorąco, facet nie ma czasu zajmować się osłanianiem kobiety - oznajmił bez skruchy.

- Komuś może się coś stać.

- Odczep się, Yardley. Agentki są równie dobre jak agenci.

Cole pokręcił głową, żując pizzę. Kobiety! To, że przeszła szkolenie, dostała broń i taki sam tytuł, jak jej koledzy, nie znaczyło, że może prowadzić ważne śledztwa. A badanie związków rodziny Mercado z przemytnikami szmuglujący mi broń do małego południowo-amerykańskiego państwa Mezcaya było właśnie takim śledztwem.

Zajęty rozmyślaniami o kobietach wykonujących prace, do których się absolutnie nie nadają, nie był gotów na to, że ta Campbell wstanie i podejdzie do niego. Widok jej długich, smukłych nóg sprawił, że w ustach mu zaschło. Co też jej szefom strzeliło do głowy, żeby wysłać taką delikatną, atrakcyjną agentkę do tak ważnej sprawy?

Jak ona miała na imię? Eloise? Eleanor? Eliza?

Zresztą nieważne, agentka specjalna Campbell nie tylko była najbardziej drażliwą kobietą, jaką znał, ale miała też najlepsze nogi, jakie widział od wieków. Mężczyźni śnią się takie nogi, owinięte wokół niego, gdy on...

Cole zacisnął zęby i powstrzymał przekleństwo. Ale gdy przeszła obok klimatyzatora, by wziąć kolejny kawałek pizzy, podmuch zimnego powietrza sprawił, że jej sutki stwardniały pod różową koszulką.

Nie miała na sobie stanika. Poczul ciepło poniżej pasa, co mu uświadomiło, że nie jest nieczuły.

Wepchnął do ust resztę pizzy, by nie zakląć na głos i postanowił, że jak skończy tę sprawę, weźmie urlop. Dobrze mu zrobi parę dni z zimnym piwem i gorącą kobietą. Widocznie za długo obywatel się bez damskiego towarzystwa, skoro podnieca go widok Campbell.

Nie była po prostu ładna, pomyślał z niechęcią, obserwując jej twarz. Z tymi krótkimi, kasztanowymi włosami, wielkimi szmaragdowymi oczami i brzoskwiniową cerą była piękną kobietą. Dlaczego tego nie zauważył, gdy dwa lata temu pracowali nad równoległymi sprawami? Wtedy wyglądała tak samo. Wprawdzie była zima i Campbell chodziła w garniturach ze spodniami, a nie w szortach i koszulce, której powinno się prawnie zakazać.

Jego dżinsy nagle wydały się nieco za ciasne. Cole zacisnął zęby i przypomniał sobie, kim była Campbell. Kobieta, która nie tylko wtrącała się w jego śledztwo przeciw rodzinie Mercado i ich prawdopodobnemu przemytowi broni, ale też doprowadzała go do szału, ile razy znaleźli się w jednym pokoju.

- Co, zamierzasz? - zapytała, patrząc wyczekująco.

Tak pochłoneła go analiza faktu, że nagle zaczęła mu się wydawać atrakcyjna, że nie miał pojęcia, o czym mówiła.

- O co pytałaś?

Wskazała na kawałki drewna u jego stóp.

- Czy zamierzasz dopilnować, żeby ATF zwróciło hotelowi za to krzesło? Skoro ty je zniszczyłeś, FBI za to nie odpowiada.

- Tak, jasne. - Pochylił się po rozbite krzesło w tej samej chwili co ona. Zderzyli się głowami, a Campbell poleciała do tyłu. Cole musiał szybko zareagować, by nie upadła.

- Nic ci nie jest?

- Jeśli wcześniej miałam wątpliwości, to teraz mam dowód - oznajmiła, pocierając skroń.

- O czym ty mówisz? — I jak facet ma zrozumieć kobietę, kiedy ona mówi zagadkami?

- Zawsze podejrzewałam, że masz twardą głowę.

- Szybko się od niego odsunęła. - Teraz mam pewność.

Cole może i by się roześmiał na tę ciętą odpowiedź, gdyby mógł odetchnąć. Dotyk jej cieplej, gładkiej skóry okazał się jak porażenie prądem, a brzoskwiniowy zapach świeżo umytych włosów oszołomił go.

Przełknął z trudem i potarł głowę. Musieli się zderzyć mocniej, niż mu się zdawało. Może to nawet lekki wstrząs mózgu. Nie mógł znaleźć innego wytłumaczenia na taką reakcję.

Pozbierał resztki krzesła i ruszył do drzwi.

- Zaraz wrócę, tylko wyrzucę to do śmieci. Potem pogadamy o twoim śledztwie.

Uniosła idealnie zaokrągloną brew.

- Naprawdę?

Cole uśmiechnął się i otworzył drzwi na korytarz.

- Tak. Musimy zakreślić jakieś granice, żebyś mi nie przeszkadzała w śledztwie.

- Ja tobie? - Oparła ręce na kształtnych biodrach i tupnęła bosą nogą. - A ty mnie?

Wzruszył ramionami.

- O to się nie martw. Zanim zaczniesz, będę miał Ricky'ego Mercado i resztę jego rodziny pod kluczem za przemyt broni.

Kiedy zamknął drzwi, wybuchnął głośnym śmiechem, słysząc dobiegające zza nich niestosowne dla damy słowa.

Elise siedziała oparta o wezłowie łóżka, rozmyślając o swej reakcji, kiedy Cole Jaskiniowiec ją złapał, żeby nie upadła. Duże dłonie na jej nagich ramionach ożywiły każdy nerw w jej ciele. Dziwne. Nigdy dotąd tak na niego nie reagowała. Wręcz przeciwnie. Dwa lata wcześniej prowadzili równoległe śledztwa w podobnej sprawie. Pod koniec każdego dnia była tak wściekła i sfrustrowana jego poglądami, że co wieczór zjadała pudełko lodów karmelowych z kawałkami czekolady.

Cole Jaskiniowiec dowodził, że, jego zdaniem, kobiety pod żadnym pozorem nie powinny robić nic oprócz siedzenia w domu, by tam gotować, sprzątać i rodzić dzieci. Kropka.

Elise nie miała nic przeciwko temu, jeżeli jakaś kobieta miała na to ochotę. Nie lubiła jednak, gdy mężczyzna mówił jej, co powinna robić. Miała własny rozum i sama umiała decydować o własnym życiu.

Westchnęła. Przebywanie w pobliżu Cole'a Jaski-

niewca było denerwujące, ale po tamtej sprawie dostała pochwałę i zyskała sobie reputację najlepszej specjalistki w FBI od wynajdywania w dokumentach starannie zacieranych śladów. Niestety, podczas śledztwa przytęła także pięć kilo.

Zmarszczyła czoło, gdy Jaskiniowiec znowu pojawił się w drzwiach łączących ich pokoje. Był nieznośny i arogancki.

- Nigdy nie pukasz? - jęknęła z rezygnacją. - Nie musisz odpowiadać. Jasne, że agenci ATF nie pukają.

- Jakby FBI bawiło się w pukanie w czasie nalotu - odparował, padając na fotel.

- To nie ma sensu - westchnęła.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy - pokiwał głową. Oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. - Moim zdaniem możemy to rozegrać na dwa sposoby.

- Jakie mianowicie? - Jeśli myślał, że przejmie jej śledztwo, to nic z tego.

- Ty mi powiesz, nad czym pracujesz, a ja ci powiem, czy to przeszkadza w mojej sprawie. - Kiedy usiłowała mu wytłumaczyć, że nie ma takiego zamiaru, uniósł dłoń ostrzegawczo. - Albo ja ci mogę powiedzieć, czego masz się nie dotykać.

Elise pokręciła głową.

- Mowy nie ma, Yardley. Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Ale skoro i tak się dowiesz, równie dobrze mogę ci powiedzieć. Dzisiaj skonfiskowałam papiery księgowości z firmy transportowej i ogrodniczej Mercadów.

- Czyli szukasz kasy?

- Od czegoś trzeba zacząć.
- Wiesz, że dali ci wyczyszczone księgi? - spytał.
- Prawdziwe mają upchnięte gdzieś w sejfie.

- Oczywiście. Nie jestem dzieckiem. - Obserwowała jego twarz. Sam fakt, że zastanawiała się nad jego urodą, był irytujący i niepokojący. - Jutro dostanę nakaz konfiskaty danych księgowych Ricky'ego Mercado, jego świętej pamięci wuja Carmine Mercado oraz również zmarłego Franka Del Brio. Jeśli są jakiegokolwiek rozbieżności, znajdę je.

- A potem co zrobisz? —spytał, podejrzanie spokojny. Był dobry w wyciąganiu informacji. Musiała mu to przyznać.

- Yardley, może po prostu od razu spytasz, jak zamierzam prowadzić śledztwo?

Wyszczerzył zęby.

- No dobra. Jak zamierzasz rozłożyć Mercadów?
- Jak na razie ani FBI, ani ATF nie zdołały udowodnić związku między bronią opuszczającą Teksas, a bronią szmuglowaną do Mezcayi - wzruszyła ramionami. - Zamierzam znaleźć w dokumentach dowód, że to Mercado-
wie sprzedają broń i, o ile przeczucie mnie nie myli, do transportu używają własnej firmy przewozowej.

- Powodzenia. - Rozparł się w fotelu.

Uśmiechnęła się.

- Twoja kolej.
- Moja kolej?
- Tak, twoja kolej. - Zmrużyła oczy. - Miałeś mi powiedzieć, jak zamierzasz udowodnić Mercadom handel bronią.

- Wybacz, Campbell - odparł, wstając. - Nie ujawniam swoich zamiarów. I nie pracuję z kobietami.

- Czyli tak to ma wyglądać, co? - Elise wstała z łóżka i stanęła przed nim. Niestety była o kilkanaście centymetrów niższa i musiała odchylić głowę, by mu spojrzeć w oczy. - Zatrzymujemy informacje dla siebie?

- Otóż to, skarbie. - Jego pewny siebie uśmiešek sprawiał, że miała ochotę walnąć go w nos. - Na tym etapie sprawy pracuję sam.

- W porządku, jaskiniowcu - uśmiechnęła się. - Nie wyciągniesz już ze mnie ani słówka na temat śledztwa.

- Podeszła do drzwi między pokojami. - A przy okazji, nazywam się Elise Campbell, nie skarb. Nazwij mnie tak jeszcze raz, a strzeleż bez zastanawiania się, Medy po raz kolejny wpakujesz się do mojego pokoju.

Wzruszył lekceważąco ramionami, ruszając do wyjścia. Odwrócił się i położył dłoń na jej policzku.

- Nie będę do ciebie mówić skarbie, jeśli ty przestaniesz nazywać mnie jaskiniowcem.

Ciepło jego dłoni rozeszło się na jej szyję, piersi i niżej. Odetchnęła głęboko.

- Chciałam ci podziękować, jaskiniowcu.

- Za co, skarbie?

- Myślałam, że ten dzień nie może już być gorszy.

- Starąła się uśmiechnąć lodowato. - Ale przez ostatnie półtorej godziny udowodniłeś, że się myliłam i że może być dużo gorszy.

Roześmiał się i mrugnął do niej beczelnie, zanim opuścił rękę i poszedł do siebie.

Wściekła Elise zatrzasnęła drzwi i z trudem powstrzymała się przed tupaniem.

Cole włączył telewizor. Campbell ma na imię Elise. Musiał to słyszeć, kiedy pracowali wtedy razem w El Paso. Dlaczego nie pamiętał?

Usiadł na łóżku, ściągnął buty i zapatrzył się w przestrzeń.

Elise. Miękkie, słodkie imię, idealnie do niej pasujące. Jej skóra jest gładka jak jedwab, a kiedy dotknął policzka, miał ochotę przycisnąć wargi do jej ust, żeby się przekonać, czy są tak słodkie, na jakie wyglądają.

Zaklął i pokręcił głową. Chyba mu odbiło. To była Campbell, dziewczyna z FBI. Złośliwa jędza.

Ale to nie tłumaczyło jego reakcji. Nie miał w zwyczaju tak się droczyć z kobietami. Wręcz przeciwnie. Miał dla nich jak największy szacunek. Były delikatne, łagodne, zasługiwały na troskę i opiekę. Dobrze, że jego stary nie dożył tej chwili. Sierżant artylerii Albert Yardley dałby mu wycisk za takie zachowanie wobec kobiety.

Cole uśmiechnął się, myśląc o ojcu. Gunny był kłębkim sprzeczności, jeśli chodziło o poglądy na temat płci pięknej.

Odkąd Cole pamiętał, stary wykladał mu na temat miejsca kobiety w świecie. „Niech siedzą w domu i rodzą dzieci, chłopcze, to nie będzie trzeba się o nie martwić, jak się zrobi gorąco.” Ale jednocześnie ojciec uważał, że mężczyzna powinien stawiać kobietę na piedestale i poświęcać jej całkowitą uwagę oraz darzyć ją

szacunkiem. Cole podejrzewał, że gdyby jego matka nie umarła, gdy miał cztery lata, miałby mnóstwo braci i sióstr.

Ale nie miał rodzeństwa. Wychował go zawodowy sierżant, a on nauczył się nie przywiązywać specjalnie do ludzi ani miejsc. Nagle ogarnęło go poczucie dojmującej samotności.

Otrząsnął się i wstał, by ściągnąć ubranie.

- Strasznie jesteś pokrecony, Yardley.

Długo po prysznicu i położeniu się, wpatrywał się w sufit i myślał o rozmowie z rudowłosą rywalką. Była jedyną kobietą, z którą tak chętnie się sprzeczał. Uważał Campbell za jedną z najinteligentniejszych kobiet, jakie znał, a widok złości rozpalającej jej szmaragdowe oczy był zbyt kuszący, by mógł mu się oprzeć.

Jej siła ducha i ambicja byłyby godne podziwu u agenta. Ale nie u agentki, Te same cechy sprawiały, że łatwo wybuchała.

Campbell nie będzie unikać kłopotów. Zagłębi się w niebezpiecznym śledztwie i nie popuści, dopóki nie sprawdzi wszystkich możliwości.

Rozpoznawał to na pierwszy rzut oka, bo pracował dokładnie tą samą metodą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy na drugi dzień Cole wysiadał z wynajętego samochodu, Ricky Mercado wyszedł na ganek i oparł się nonszalancko o kolumnę. Ale Cole'a nie oszukał. Wiedział, że jest ostatnią osobą, jaką Mercado miał ochotę oglądać.

- Wróciłeś, Yardley?

- Tak. - Cole wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Miał przeczucie, że w innych okolicznościach mogliby się zaprzyjaźnić. Ale jego praca i pochodzenie Ricky'ego czyniły to niemożliwym. - Chciałem tylko dać znać, że ciągle tu jestem.

Mercado parsknął śmiechem, ale błysk irytacji w jego ciemnych oczach ujawnił prawdziwe uczucia co do wizyty Cole'a.

- Jakże mógłbym zapomnieć.

- Jak ci się podoba nowy dom?

- Może być. Stary szop mieszka pod gankiem z tyłu i nie jest mną zachwycony, ale nie zamierzam się wyprowadzać. - Mercado wyprostował się. - Może przejdziesz do rzeczy, Yardley?

Cole skinął głową. Mieli cechę wspólną - nie owijali w bawełnę.

- W porządku. Ostatnio często bywałeś w klubie golfowym.

- Sporo zapłaciłem za członkostwo. Mam zamiar je wykorzystać.

- Wiesz, że w jednej z szop znaleziono broń? - spytał Cole, bacznie go obserwując.

Mercado nic po sobie nie pokazał.

- Musiałbym być ślepy i głuchy, żeby o tym nie słyszeć. W Mission Creek każda nowina rozchodzi się z szybkością błyskawicy.

- Przychodzi ci do głowy, kto mógł ją tam schować?

- Nie.

- Powiedziałbyś mi, gdybyś miał jakiś pomysł?

- Jasne.

Cole nie wierzył mu za grosz.

- Czy Valente jest w to zamieszany?

Na policzku Mercado zadrżał mięsień i Cole miał pewność, że dotknął czułego miejsca.

- Sam musisz drania zapytać. Nie mam pojęcia, co się tam dzieje i nic mnie to nie obchodzi. Już ci mówiłem, że zerwałem z nimi - dodał Mercado z zaciętą miną. - Nie mam związków z rodziną i nie wiem, co oni robią.

- W kółko mi to powtarzasz.

- No to rusz głową i zacznij węszyć gdzieś, gdzie można coś znaleźć.

Cole'a nie dziwiło, że Mercado nie chciał mówić o swoich związkach z przestępczą rodziną. Już to prze-rabiali.

- Jeśli cokolwiek usłyszysz...

- Tak. Wiem. Będziesz wdzięczny, jeśli dam ci znać.
- Mercado odwrócił się i wmaszerował do domu, który remontował, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Cole zerknął na zegarek, wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Mission Creek. Miał jakieś pół godziny na dotarcie do klubu golfowego na spotkanie z Phillipem Westinem.

Westin był dowódcą Ricky'ego Mercada i wiedział o nim tyle, co pozostali żołnierze, którzy służyli z nim w oddziale piechoty morskiej. Paru z nich mieszkało w okolicach Mission Creek, paru nawet z nim dorastało. Jednak większość wątpiła, że Mercado zerwał wszelkie związki z rodziną. Niektórzy twierdzili wprost, że jego upieranie się, że teraz żyje zgodnie z prawem, ma tylko odwrócić uwagę od jakichś nielegalnych działań. Tylko jego szwagier - Lukę Callaghan oraz Phillip Westin twierdzili, że wierzą w jego odmianę, że Ricky próbuje się pozbierać i żyć zgodnie z prawem.

Jednak pewne szczegóły w historii życia Ricky'ego Mercada nie podobały się Cole'owi.

Mercado był członkiem ekipy ratunkowej wysłanej po Westina do Mezycyi. Skorumpowanemu państewku, nękanemu od lat walkami wewnętrznymi, groziło kompletne przejęcie przez grupę terrorystyczną El Jefe. Jednak po misji ratunkowej dla Westina z udziałem Mercada ilości broni automatycznej i nowoczesnego sprzętu wykorzystywanych przez El Jefe dramatycznie wzrosły. W ATF podnieśli alarm.

Kiedy w jednym z budynków gospodarczych na terenie klubu golfowego odkryto skład karabinów M16,

granatów i ręcznych wyrzutni rakietowych, wszystkim wydało się jasne, że rodzina Mercado jest w to w jakiś sposób zamieszana. Kilku ważnych członków rodziny, w tym Ricky, wykupiło członkostwo w ekskluzywnym klubie, umożliwiające im nieograniczony dostęp do terenów klubowych.

Przypadek? Chyba nie.

Cole zaparkował obok głównego budynku. Zaśmiał się pod nosem, parkując między mercedesem i porsche. Otworzył drzwiczki i o mało co nie uderzył nimi Campbell w twarz. Skąd ona się tu wzięła? Nie stała tu, gdy parkował.

Zamknął drzwi i odwrócił się do niej. W eleganckiej czarnej spódniczce i żakiecie oraz białej bluzce wyglądała bardzo konserwatywnie, profesjonalnie i sztywno. Musiał przyznać, że bardziej mu się podobała w szortach i koszulce.

Zmarszczyła czoło.

- Mogłam się ciebie spodziewać.
- Dzień dobry nawzajem, Campbell - odparł wesoło.

Chciała go obejść, ale nie mieściła się między samochodami.

- Przepuścisz mnie, Yardley?
- Oczywiście. - Wyszczrzył zęby i przylgnął do swojej półciężarówki.

Musiała odwrócić się bokiem, żeby się precisnąć.

- Nie mogłeś po prostu wyjść?
- Pierwszy? Dżentelmen tak nie robi - odparł, gdy przeciskała się obok niego. Otarła się przodem o jego

ciało, powodując wręcz wstrząs elektryczny. Ona gwałtownie wciągnęła powietrze i zamarła, co sugerowało, że też to poczuła.

- Od kiedy się martwisz o maniery? - spytała, wychodząc spomiędzy samochodów. Ku jego satysfakcji, wydawała się lekko zadyszana.

- Zawsze jestem dżentelmenem.

- Tak, jasne. - Ruszyła w stronę klubu.

- Hej, gdzie się pali? - spytał, gdy musiał podbiec, by za nią nadążyć. - Wpadłeś na jakiś ślad?

- Jakbym ci powiedziała... - Roześmiała się, idąc szybko przez parking. - To twój pomysł, żeby nasze śledztwa były oddzielne...

- Tak, ale...

Zatrzymała się, patrząc na niego z gniewem.

- Żadnych ale, Yardley. Powiedziałaś, cytuję, że „na tym etapie sprawy pracuję sam”. Prawda?

- Prawda, ale zawsze mogę posłuchać, jeśli masz się czym podzielić.

W jej zielonych oczach pojawiły się iskierek gniewu i oburzenia. Cole był nią równie zafascynowany jak wczoraj. Uznał, że nigdy nie była ładniejsza niż teraz.

- Jesteś najbardziej aroganckim, wkurzającym facetem, jakiego znam - oznajmiła.

- Pewnie jestem. - Wzruszył ramionami z uśmiechem. - Ale zabójczo wyglądam w czarnej koszulce ATF.

- A co to ma do rzeczy... - Pokręciła głową. - Nieważne. Naprawdę mnie nie obchodzi twoja jaskiniowa logika.

- Znowu nazywasz mnie jaskiniowcem, skarbie.

- Nie mów tak do mnie.
- Nie nazywaj mnie jaskiniowcem.
- Nie mówię. Powiedziałam, że twoja logika jest jaskiniowa. - Uśmiechnęła się nagle.

Widok jej uśmiechu oszołomił go całkiem.

- Wiesz, Campbell, tyle gadasz o jaskiniowcach, jakbyś chciała, żebym cię przerzucił przez ramię i zawłókł do jaskini.

Roześmiał się głośno, kiedy prychnęła gniewnie, odwróciła się i wmaszerowała do budynku.

Elise padła na krzesło z kutego żelaza wysłane miękką poduszką, stojące przy stoliku z biało-żółtym parasolem. Podziwiając rozległe trawniki, oddychała głęboko, by opanować się przed spotkaniem z zarządcą terenu. Była na siebie wściekła za wdanie się w kolejny słowny pojedynek z Cole'em Jaskiniowcem. Dlaczego pozwala się sprowokować? Powinna go po prostu ignorować.

Westchnęła i zapatrzyła się na odległą grupkę graczy. Musiała szczerze przyznać, że to nie pojedynki na słowa tak ją poruszały. Była to coraz silniejsza świadomość męskości Cole'a Yardleya. Jak on mógł jej się chociaż trochę podobać? I dlaczego?

Nawet go nie lubiła. Był arogancki, zbyt pewny siebie. Traktował agentki w sposób niewybaczalny.

Jednak kiedy otarła się o jego twarde ciało na parkingu, ugięły się pod nią nogi. A kiedy ją zatrzymał, by zapytać o śledztwo, zauważyła, jaki jest przystojny i jak działa na nią jego uśmiech.

Świetnie wyglądał w beżowej sportowej kurtce, czarnej koszulce i dżinsach. Za dobrze.

Dla niektórych mężczyzn kurtka i dżinsy były strojem nieformalnym, ale podejrzewała, że dla Yardleya był to szczyt elegancji. Pierwszy raz widziała go w czymś innym, niż czarna koszulka ATF, dżinsy i ciężkie buty. Porównała oba obrazy i uznała, że są doskonałe.

Kurtka podkreślała szerokie ramiona, złote refleksy w ciemnobrązowych włosach i orzechowe oczy. Jednocześnie kryła to, co uwidaczniała koszulka. Wczoraj zauważyła, że koszulka Cole'a jest jak druga skóra, obciska umięśnioną pierś i potężne bicepsy.

Zadrzała. Co się z nią dzieje? Nie interesowała się agentem Yardleyem. Nie znosiła pewnych siebie typków, a poza tym nigdy nie łączyła pracy z przyjemnościami. Nie umawiała się ze współpracownikami. Nigdy.

- Przepraszam za spóźnienie, pani Campbell. - Do stolika podszedł mężczyzna koło pięćdziesiątki, ubrany w roboczą koszulę khaki i spodnie z plamami trawy na kolanach. - Musiałem sprawdzić wyciek wody przy trzynastym dołku. - Podał jej rękę z uśmiechem. - Carl Estrada, zarządca gruntów.

Uścisnęła jego rękę, zadowolona, że przerwał jej niepokojące myśli o Cole'u Jaskiniowcu.

- Dziękuję, że poświęca mi pan czas, panie Estrada.
- Wskazała krzesło naprzeciwko. - Proszę usiąść.
Obiecuję, że nie będę pana długo trzymać.

- Chętnie odpowiem na wszystkie pytania. Ale nie

sądę, bym mógł powiedzieć pani coś, czego nie mówiłem agentowi Yardleyowi.

Elise sztywno skinęła głową, wyjmując z torebki notes. Cole Jaskiniowiec pierwszy dotarł do świadka. Oby po raz ostatni.

- Rozumiem, panie Estrada. Jednak mogę zadać jakieś pytanie, które nie przyszło do głowy agentowi Yardleyowi. - Uśmiechnęła się, by go uspokoić. - Słyszałam, że to pan znalazł broń w szopie.

- Zgadza się. - Wskazał grupę budynków oddaloną o kilkaset metrów. - Od jakiegoś czasu szopa była pusta, więc sprawdzałem, czy zmieści się tam nowy sprzęt ogrodniczy. - Urwał. - Okazało się, że jest pełna drewnianych skrzyń.

- Czy do szop jest jakaś droga dojazdowa? - spytała Elise, modląc się, by Cole nie wpadł na to pytanie.

- Tak, ale jeżdżą nią tylko pracownicy i ciężarówki dostawcze.

- Jakie dostawy? - zapytała z ciekawością, zastanawiając się, czy Cole Jaskiniowiec poszedł tym tropem.

Carl Estrada wzruszył ramionami.

- Głównie towar do sklepu, sprzęt ogrodniczy. Czasami, kiedy mamy jakąś imprezę, jak festiwal letni w przyszłym tygodniu, trzymamy tam zapasy dla restauracji i baru, o ile nie wymagają chłodzenia.

Elise od razu się ożywiła.

- Jak się dostarcza dodatkowe zapasy?

- Zazwyczaj osiemnastokółowymi ciężarówkami - odparł, wskazując drogę ruchem głowy. - O, to kolejna dostawa. Chce pani podejść i sprawdzić?

- Bardzo chętnie. - Uśmiechnęła się. - Czy prowadzi pan dziennik dostaw?

- Pewnie. - Ruszyli przez trawnik. - Mam go w biurze, koło budynków gospodarczych.

Mogłaby uzyskać nakaz sądowy, ale miała nadzieję, że nie będzie to konieczne.

- Czy mogłabym skopiować wpisy z ostatnich miesięcy?

- Ależ proszę - zapewnił Carl. - Mam w biurze kopiarke.

- Dziękuję, panie Estrada. - Twarz Elise ponownie rozjaśnił wdzięczny uśmiech.

Cole siedział z Phillipem Westinem przy stoliku koło okna i widział Campbell idącą przez trawnik z Carlem Estradą. O co jej chodziło? Uśmiechnął się z wyższością. Spóźniła się parę dni z tym kawałkiem śledztwa. Wczoraj rozmawiał z Carlem i sprawdził szopy.

Rozkoszował się kołysaniem jej bioder, widokiem długich, szczupłych nóg.

- Podoba ci się widok, Yardley? - spytał Phillip Westin z błyskiem w oczach.

Cole pokręcił głową.

- Nie... właściwie to nie - skłamał. - Zastanawiam się tylko, co ona chce tam znaleźć. Wczoraj wszystko sprawdziłem.

- A, o to chodzi! Przyjacielska rywalizacja między ATF i FBI. - Westin uśmiechnął się szerzej, dając do zrozumienia, że nie uwierzył w ani jedno słowo Cole'a.

- Coś w tym rodzaju - mruknął Cole. Odchrząknął i sięgnął po piwo. - Co mówiłeś o Mercadzie?

Westin nagle spoważniał.

- Powiedziałem, że wierzę Ricky'emu. Twierdzi, że się wycofał z rodzinnego interesu. To mi wystarczy.

- A dlaczego myślisz, że mówi prawdę? - spytał ostrożnie Cole. Facet był wyraźnie przekonany o niewinności Mercada. Chciał dojść dlaczego.

- Każdy dobry dowódca zna swoich ludzi. Dziewięć razy na dziesięć wie, kiedy kłamia. - Westin odstawił na stół pustą butelkę po piwie i spojrzał Cole'owi w oczy. - Mercado mówi, że z tym skończył i z tego, co widziałem, nie kłamie.

Cole skinął głową.

- Inwestował w nieruchomości. Wszystko wskazuje na to, że przynajmniej w tym wypadku mówi prawdę.

Cole uznał, że czas wyłożyć kawę na ławę i przejść do swoich wątpliwości na temat Mercada.

- Wuj wychowywał go na głowę rodziny, ale po śmierci Carmine władzę przejął Frank Del Brio.

Westin skinął głową.

- Po śmierci Carmine Ricky zmienił zdanie na temat mafii. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek mu się podobała, a już na pewno niedługo po tym stwierdził, że ma dość. - Pochylił się naprzód. - Kiedy zginął Del Brio, władzę w rodzinie przejął John Valente.

- Ricky zrezygnował sam, czy była walka o władzę? - spytał Cole, mając wrażenie, że wpadł na jakiś trop. - Wiem, że Del Brio i Mercado niezbyt się lubili.

- Ricky nigdy o tym nie mówił, a ja nie pytałem.

Zawsze mieliśmy niepisaną zgodę - im mniej wiem, co się u nich dzieje, tym lepiej.

- To pewnie najbezpieczniejszy sposób na waszą przyjaźń z Mercadem - zgodził się Cole. Dopił piwo. - A skoro mowa o bezpieczeństwie, Wainwright mówi, że od jakiegoś czasu nie dostawałeś listów i nie było zabitych krów.

Na wspomnienie swoich niedawnych kłopotów Westin spochmurniał.

- Wszystko ucichło jakieś trzy tygodnie temu.

- Jeśli to pocieszy ciebie i twoją żonę, jestem całkowicie pewien, że Gonzalezowi zrobiło się za gorąco i uciekł z powrotem do Mezcyai.

Westin przesunął dłonią po ciemnych włosach, a w jego oczach błysnęła furia na wzmiankę o Xavierze Gonzalezie, młodym terroryście z El Jefe, który obwiniął go za śmierć swojego ojca.

- Jeśli drań ma odrobinę oleju w głowie, zostanie tam.

Cole nie dziwił się Westinowi. Gonzalez kosztował go utratę kilku najwyższej klasy krów i spowodował wypadek żony Westina, Celeste, w którym o mało nie zginęła. Stało się to tuż przed ich ślubem.

Siedząc przy stole z Phillipem Westinem, Cole cały czas ukradkiem zerkał w stronę głównego budynku. Westin nie dodał nic nowego do tego, co powiedział już przedtem, a Cole wiedział, że o Rickym Mercadzie nic więcej się od niego nie dowie.

Gdy tylko dostrzegł Campbell idącą w stronę budynku, wstał i wyciągnął rękę.

- Dziękuję za spotkanie, Westin.
- Przepraszam, że nie mogłem pomóc, Yardley. -
Westin uściśnął mu dłoń i wyszczerzył zęby. - Ale kiedy zapytasz następnym razem, powiem ci to samo. Ricky nie ma nic wspólnego ze sprawkami Mercadów. Głowę za to dam.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Cole sięgnął po rachunek, ale Westin był szybszy. Zerknął na kartkę, pokręcił głową i sięgnął po portfel.

- Ucieknie ci, jak będziesz sobie zawracał głowę rachunkiem. - Spojrzał na Campbell idącą w stronę patio. - A takiej damy żaden facet by nie wypuścił.

- Jesteś żonaty, zapomniałeś? - przypomniał mu Cole. Co go opętało?

Westin parsknął śmiechem.

- I to szczęśliwie! Ale nie jestem ślepy.

Uśmiech Westina rozwścieczył Cole'a. I nie rozumiał, dlaczego. Campbell go przecież nie interesowała.

- Lepiej się pośpiesz, Yardley.

Cole bez słowa odwrócił się i ruszył do wyjścia, słysząc za sobą serdeczny śmiech Phillipa Westina.

ROZDZIAŁ TRZECI

Elise stała na ogromnej werandzie budynku klubu, szukając w torbie kluczyków do wynajętego samochodu. Gdy wreszcie je wymacała, wyczuła, że ktoś stanął obok niej.

- Dzień dobry, laluniu.

Dostała gęziej skórki na sam dźwięk głosu Johna Valentego.

- Dzień dobry, panie Valente - odpowiedziała nie patrząc na niego.

Gdy poznała nowego szefa rodziny Mercado, stwierdziła, że własna matka musiała dostawać gęziej skórki na jego widok. Był obrzydliwy.

John Valente był wysoki i muskularny, miał krótkie czarne włosy i oliwkową cerę. Grubo ciosane rysy twarzy wykrzywiały permanentny pogardliwy grymas. Krzywy nos, najwyraźniej kilkakrotnie złamany, długa, biała blizna biegnąca od skroni do prawego policzka i głębokie zmarszczki na czole nie dodawały mu urody. Ale to nie jego wygląd ją odstręczał.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego przymrużone oczy. Zadrzała. Ile razy patrzyła w te ciemne oczy, odnosiła wrażenie, że ten człowiek nie ma żadnych zasad, sumienia ani duszy.

- Chyba pani nie wychodzi, pani Campbell? - spytał Valente, a jego ochrypły głos wywołał u niej kolejny dreszcz.

- Agentka Campbell. I owszem, wychodzę.

Ruszyła, ale chwycił ją za łokieć.

- Może zostanie pani i wypije ze mną drinka?

Musiała użyć całej siły woli, by nie odsunąć się z obrzydzeniem.

- Nie mogę. Jestem na służbie, panie Valente. A teraz przepraszam.

- O, jesteś. - Oboje odwrócili się na dźwięk znajomego głosu Cole'a Yardleya. Pojawił się w drzwiach klubu. - Szukałem cię, skarbie.

Świetnie! Jeszcze jej tylko brakowało Cole'a Jaskiniowca.

- Yardley - głos Valentego stwardniał nagle.

- Cześć, Valente. - Yardley podszedł i objął ją ramieniem w talii, przyciągając do siebie. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co ty...

- Widzę, że poznałeś agentkę Campbell - przerwał jej.

Valente puścił jej łokieć, ale zauważyła, że zacisnął dłoń w pięść.

- Tak, miałem przyjemność poznać ją wczoraj. Żałuję tylko, że nie w miłszych okolicznościach.

- Z całą pewnością - odparł Yardley, głosem równie napiętym. Objął ją mocniej, gdy Valente posłał jej lubieżny uśmiech. Odwrócił się do niej. - Jesteś gotowa, skarbie?

- Nie mogę uwierzyć...

- Mam tu kluczyki - przerwał jej znowu, unosząc pilota do samochodu. Zanim zdążyła zaprotestować przeciwko jego poufałości, pociągnął ją za sobą.

- Do zobaczenia, Valente - zawołał.

- Co to miało znaczyć? - zawołała Elise, usiłując odsunąć się od niego.

- Nie wypadaj z roli, Campbell - odparł, trzymając ją mocno i prowadząc w stronę swojego samochodu.

- Valente ciągle za nami patrzy.

- A co to ma znaczyć?

- Chce zobaczyć, czy razem odjedziemy. - Yardley otworzył pilotem drzwiczki.

- W końcu się dowie, że nie.

- Niezupełnie. Zobacz, jak wsiadamy do mojego samochodu i odjeżdżamy.

- Nieprawda. .

Yardley, całkiem zamieniony w jaskiniowca, pozwolił sobie ją objąć.

- Owszem, zobaczy.

- Co ty właściwie...

- Upewniam się, czy Valente wie, że jesteś zajęta - oznajmił, opuszczając głowę.

Usiłowała zaprotestować, że sama umie o sobie dbać, ale gdy jego wargi dotknęły jej ust, zapomniała o wszystkim. Pocałunek Cole'a był powolny, jakby usiłował ją poznać.

Elise skupiła się na pocałunku. Jej krew zawrzała jak nigdy dotąd. Cole wsunął rękę pod jej żakiet. Kiedy przyciągnął ją bliżej i poczuła jego podniecenie, zrobiło jej się jeszcze goręcej.

W głowie rozzwoniły się dzwonki alarmowe. To był Cole Jaskiniowiec. Mężczyzna, który pracował nad tą samą sprawą i z którym może jeszcze kiedyś będzie współpracować.

Zdołała odsunąć się od niego odrobinę, ale nie wypuścił jej, chociaż przerwał pocałunek.

- To nie był dobry pomysł - powiedziała, zła na siebie za taką uległość. Jego uśmiech odebrał jej cały rezon.

- Był. A teraz wsiadaj do samochodu. Valente ciągle patrzy.

- A jakie to ma znaczenie? - Jak miała myśleć, gdy wciąż wyraźnie czuła, że jest bardzo podniecony?

- Chcę, żeby cię zostawił w spokoju - Cole spojrzał jej w oczy. - A teraz uśmiechnij się, jakbyś była zachwycona i wsiadaj.

Rzuciła mu pełen zdecydowania uśmiech. Nie o to mu chodziło.

- Nie.

- Powiedziałem, wsiadaj, skarbie - powtórzył przez zaciśnięte zęby.

- Powiedziałam: nie, Cole Jaskiniowcu.

Jej opór potwornie go irytował. Powinien był przewidzieć, że nie obędzie się bez kłótni. Była równie uparta jak on.

- Przysięgam, że jeśli zaraz nie wsiądziesz, znowu cię pocałuję.

- Nie odważyłbyś się. - Zmrużyła śliczne zielone oczy.

Pocałował ją w czubek nosa, przyciskając ją do siebie jeszcze mocniej.

- Założysz się?

Patrzyła na niego przez kilka długich sekund, po czym wysunęła się z jego objęć i wsiadła do samochodu. Od jej spojrzenia powinien paść trupem na miejscu. Z trudem powstrzymał głośny śmiech, słysząc słowa, które wymamrotała, zanim zatrzasnęła drzwi.

Odetchnął głęboko i obszedł samochód. Nie był przygotowany na efekty tego pocałunku. Miała najśodsze wargi i wciąż walczył z chęcią przerwania jej sobie przez ramię, znalezienia jakiegoś ukrytego miejsca i kochania się z nią do upadłego.

Jednak gdy zerknął w stronę ganku, resztki pożądania zniknęły. Valente wciąż stał i obserwował scenkę, którą Cole właśnie urządził z Campbell. Cole chciał tylko, żeby zostawił ją w spokoju, ale w tej chwili z największą przyjemnością przyłożyłby Valentemu w tę lubieżną gębę.

Kiedy usiadł za kierownicą, Campbell wyglądała tak, jakby zamierzała obedrzeć go żywcem ze skóry.

- Campbell, najpierw mnie wysłuchaj. Jeśli nie chcesz opędzać się od niego przez całe śledztwo, pozwól mu myśleć, że nie jesteśmy tylko kolegami.

Zaskoczyła go, wybuchając śmiechem.

- Jesteś jaskiniowcem pod każdym względem, Yardley. Naprawdę myślisz, że nie poradziłabym sobie z takim padalcem jak Valente?

- Jestem pewien, że tak myślisz. - Cole wycofał się z parkingu i ruszył alejką. - Ale Valente to facet nie mający wielu zalet, o ile w ogóle jakieś ma.

- I uważasz, iż jeśli uzna, że ty i ja jesteśmy... - ur-

wała, jakby szukała właściwego słowa - ..sobie bliscy, nie będzie się wtrącał do mojego śledztwa?

- Nie do końca. - Cole skręcił na główną drogę w stronę Mission Creek. - Ale znam ten typ. Nie widzi w tobie agentki federalnej. Widzi tylko atrakcyjną kobietę, którą próbuje manipulować. Gdzie się nie odwrócisz, tam będzie. Spróbuj się dowiedzieć, co wygrzebałaś, żeby odwrócić twoją uwagę.

- Yardley, chyba nie wierzysz, że dam się złapać na tak banalne zagrywki.

Cole zerknął na nią.

- Wydaje ci się, że przypadkiem znalazł się w klubie na ganku? Akurat wpadł, kiedy wychodziłaś?

- Nie pomyślałam o tym - zmarszczyła brwi.

- Zapewniam cię, że to nie był przypadek-oznajmił stanowczo. - Jego ludzie obserwują każdy twój ruch, donoszą mu, gdzie jesteś i z kim. - Cole zatrzymał się przed hotelem. - To był mój sposób na danie mu do zrozumienia, że jeśli się nie wycofa, będzie miał ze mną do czynienia.

Elise patrzyła na Cole'a, niepewna, co powiedzieć. Można by pomyśleć, że usiłował bronić jej przed Valentem jak mężczyzna broni kobiety, która go interesuje, a nie jej śledztwa. Bez sensu. Cole Jaskiniowiec nawet jej nie lubił. Dlaczego miałby się o nią martwić?

- Chyba jestem w stanie poradzić sobie z Johnem Valente.

- Tak ci się wydaje - odparł, wyłączając silnik. - Ale czym się zajmujesz w biurze?

- Pracowałeś ze mną dwa lata temu. Wiesz, że mam dyplom z księgowości.

Skinął głową.

- No właśnie. Większość czasu spędzasz przy biurku z nosem w wydrukach albo w innych papierach. - Ujął jej podbródek. Ciepło jego dłoni przeszło ją aż do stóp.

- Nie masz doświadczenia w pracy w terenie jak ja i nie jesteś przyzwyczajona do takich szcurów jak Valente. Ja tak.

Odsunęła się, by się nie poddać jego dotykowi.

- A jak niby mam zdobyć to bezcenne doświadczenie, jeśli nie wstanę od biurka i nie spotkam się z typami pokroju Valente?

- Cholera jasna! Słuchałaś mnie w ogóle?

Wysiadł, ale zanim zdążył obejść samochód, ona odetchnęła z ulgą i sama sobie otworzyła drzwiczki. Jaskiniowiec wrócił. Dzięki niebiosom! O wiele lepiej czuła się bawiąc w pojedynki słowne z Cole'em Jaskiniowcem, niż mając do czynienia z Cole'em Yardleyem, którego pocałunki totalnie ją ogłupiały.

- Właśnie dlatego nie pracuję z kobietami - mruknął, kładąc dłonie na dachu półciężarówki i chwytając ją w pułapkę. Pochylił się, aż ich nosy niemal się zetknęły. - Uważają, że w każdej sytuacji poradzą sobie tak samo jak mężczyźni. Ale to bzdura. I zgadnij, kto oberwie, usiłując uratować kobiecie tyłek?

- Daj spokój, jaskiniowcu. Naprawdę uważasz, że agentki do niczego się nie nadają?

- Tego nie powiedziałem - zaprzeczył. - Chodzi mi

o to, że facet typu Valente nie gra według zasad, a kobiety takie jak ty nie wiedzą, jak się przed tym bronić.

- Nie sądzę, by Valente był dla mnie takim strasznym zagrożeniem.

W orzechowych oczach Cole'a lśniła złość.

- Skarbie, ja bym mu nie ufał ani przez sekundę.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę. Był za blisko, by mogła zignorować, jaki jest seksowny i przystojny.

- Jeśli cię to interesuje, szkolenie w akademii FBI w Quantico powinno uspokoić większość twoich obaw - zawiadomiła go, gdy odzyskała głos. - Ale na wszelki wypadek wyjaśnię. Przeszłam szkolenie z psychologicznych i fizycznych taktyk obrony i ze strzelania. Miałam najlepsze wyniki w grupie, więc chyba mogę sobie z nim poradzić równie dobrze jak ty.

Kiedy ruszyła przed siebie, Cole złapał ją za ramię.

- Skarbie, odrobina ubezpieczenia nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Cofnęła się.

- Doceniam twoją troskę, jaskiniowcu, ale zostaw to mnie. Nie potrzebuję udawanego kochanka do obrony.

Cole, rozwścieczony i sfrustrowany, patrzył, jak Campbell znika w drzwiach hotelu. I taką dostał nagrodę za to, że próbował być dżentelmenem i chronić kobietę przed niebezpieczeństwem, którego uparcie nie chciała dostrzec.

Z rezygnacją wszedł do samochodu i wyjechał na drogę. Musiał ochłonać i załatwić sprowadzenie jej samochodu do hotelu.

Jadąc przez miasto myślał o tym, jak połączyć śledz-

two z chronieniem Campbell. Powinien po prostu zająć się własną sprawą i pozwolić, by sama się przekonała, jaki podstępny jest Valente.

Ale natychmiast odrzucił tę myśl. To jak rzucanie jagnięcia wilkom.

Czy agentka specjalna FBI Campbell chciała tego, czy nie, agent specjalny ATF Cole Yardley będzie jej chłopakiem, póki znajdowali się w Mission Creek, pracując nad śledztwem w sprawie Ricky'ego Mercada i mafijnej rodziny Mercado.

Następnego ranka Elise siedziała w holu Pierwszego Banku Federalnego Mission Creek, by wręczyć nowemu prezesowi sądowy nakaz zajęcia dokumentów dotyczących kont zmarłych Carmine Mercada i Franka Del Brio. Miała też podobny dokument dla jak najbardziej żywego Ricky'ego Mercada. Gdy już pozbiera wszystkie papiery, wróci do hotelu i przez resztę dnia będzie porównywała dane z liczbami na dokumentach firmy przewozowej i ogrodniczej Mercadów. Jeżeli był między nimi najmniejszy związek, ona go znajdzie.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając, się co prezesowi zajmuje tyle czasu. Minęło pół godziny, odkąd sekretarka poszła go zawiadomić, że przyszła agentka FBI.

Elise wstała, by przypomnieć sekretarce, że czeka, gdy drzwi gabinetu otworzyły się i wyłonił się z nich Cole Jaskiniowiec. Co on tu robi? Dane finansowe nie należały do jego śledztwa.

Gdy do niej podszedł, jej serce zabiło gwałtownie. A to znowu dlaczego? I dlaczego jego uśmiech był ta-

ki... przyjazny? I, co ważniejsze, czemu ona też się uśmiechała?

- Dzień dobry, Elise - powiedział. - Widzę, że znalazłaś swój samochód.

Przytaknęła ostrożnie. O co mu tym razem chodziło? Zwrócił się do niej po imieniu. Nigdy przedtem tego nie robił.

- Zakładam, że to ty załatwiłeś, żeby wczoraj wrócił do hotelu?

Uśmiechnął się, powodując u niej znowu wzrost temperatury.

- Myślałem, że będzie ci dzisiaj potrzebny.

- Agentko Campbell, pan Harling teraz panią przyjmie - powiedziała sekretarka.

- Już idę - odpowiedziała, zadowolona, że może się oddalić od niepokojącego Yardleya. - Dziękuję za zwrot samochodu. A teraz przepraszam, mam spotkanie.

- Do zobaczenia, skarbie - odpowiedział głośno.

Kilku klientów odwróciło się i spojrzało w ich stronę. Elise czuła, jak płoną jej policzki.

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytała szeptem. - Teraz wszyscy pomyślą, że między nami coś jest.

Pokiwał głową i wyszczerzył zęby.

- O to chodzi.

- Dlaczego? - Otworzyła szeroko oczy.

- Mówiłem ci, że wciąż cię obserwują? - wyszeptał jej do ucha. - Tam przy okienku dla nowych klientów stoi jeden z ludzi Valentego.

Elise rozejrzała się, ale zobaczyła tylko strażnika i starszego pana opartego na lasce.

- Jasne, Yardley. - Ze złością pokręciła głową. - Nie mam czasu na twoje gierki, bo jestem spóźniona. Ale to nie koniec. Jak tylko znajdę wolną chwilkę, będziemy sobie musieli parę rzeczy wyjaśnić.

Z uśmiechem ruszył w stronę drzwi.

- Nie mogę się doczekać, skarbie.

Cole oparł się o samochód Elise i czekał na nią przed bankiem. Nie miał wątpliwości, że przy pierwszej okazji dostanie od niej burę za tę scenkę w holu. Ale nie miał wyjścia. Im szybciej się rozejdzie plotka, że są razem, tym szybciej Valente się odczepi.

Nie obawiał się, że Elise da się złapać na zaczepki Valentego. Nie była głupia. Bardziej go niepokoił upór Valentego. Nie był przyzwyczajony do odmowy. Przy tym kompletny brak skrupułów sprawiał, że Valente stawał się nieprzewidywalny i niebezpieczny.

Dużo bezpieczniej będzie pozwalać, by nazywała go jaskiniowcem i krzyczała na niego przy każdej okazji, niż narazić ją na zaloty takiego gada jak Valente.

Kiedy Elise pozbiera wszystkie potrzebne jej dane i będzie bezpiecznie zamknięta w swoim pokoju, grzebiąc w dokumentach, Cole wznowi swoje śledztwo i rozwiąże sprawę.

Uśmiechnął się, widząc, jak Elise wychodzi przez szklane drzwi z wielkim pudłem papierów.

- Pomóc ci, Campbell?

- Poradzę sobie.

Przez chwilę patrzył, jak się męczy, po czym wziął od niej pudło.

- Do bagażnika czy na siedzenie?

- Do bagażnika. - Otworzyła go pilotem.

Włożył tam ciężkie pudło i zamknął klapę. Odkrył, że Campbell patrzy na niego groźnie.

- Dlaczego na mnie czekałeś?

- Nie ma za co - uśmiechnął się.

- A... tak, dziękuję. - Zmarszczyła brwi. - Nie zmieniaj tematu.

Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi pasażera.

- Myślałem, że pojedę z tobą do Ricky'ego Mercada. Zmrużyła oczy.

- Skąd wiesz, że do niego jadę?

- Rozmawiałem wczoraj z szeryfem Wainwrightem, kiedy mi pomagał z twoim samochodem. - Cole szybko wszedł do auta, by Elise mu nie uciekła. - Powiedziałem mu, że zabiorę się z tobą, kiedy pojedziesz wręczyć Mercado nakaz zajęcia jego dokumentacji księgowej.

Usiadła za kierownicą.

- Chwileczkę. Zdecydowałeś o tym za mnie, nawet nie pytając o zgodę. Zgadza się?

- No, nie całkiem tak było - zaprzeczył, zapinając pasy.

- To może wyjaśnisz, jak było całkiem? - W jej oczach iskrzył gniew, co wyglądało fascynująco.

Cole wzruszył ramionami.

- Wainwright narzekał, że pojeździe z tobą do Mercada musi pędzić do Austin, więc zaproponowałem, że go zastąpię.

- Z jakiej racji? - spytała, odgarniając z czoła zabłąkany lok. - Nie powinienesz zająć się swoim śledztwem?

Zwalczył chęć pogładzenia jej kasztanowych loków.

- To właśnie robię. Ricky Mercado to mój główny podejrzany.

Pokręciła głową.

- Moim zdaniem się mylisz.

- A dlaczego myślisz, że nie jest w to wmieszany?

- O ile wiem, może być wmieszany tylko w pewnym stopniu. - Uruchomiła samochód. - Ale nie sądzę, żeby stał za całą operacją.

- Przemyt broni zaczął się dopiero jak Mercado wrócił z Mezcayi. - Czyżby znalazła już w papierach Valentego coś przeciwnego?

- Prawda. Odkryto przemyt, dopiero jak wrócił. Ale mam przeczucie, że ktoś to tak rozmyślnie zaplanował.

- Kobieca intuicja, co? - spytał, śmiejąc się głośno. Nie kazała mu jednak wysiąść z samochodu. Pewnie zbyt się zaangażowała w kłótnię.

Spojrzała na niego poważnie.

- Nie lekceważ kobiecych instynktów, jaskiniowcu.

- Będę o tym pamiętał, kiedy założę Mercado kajdanki i przeczytam mu prawa, skarbie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ricky Mercado, słysząc warkot samochodu, podniósł wzrok znad deski, którą wymierzał. Znowu ktoś do niego? - zastanawiał się, obserwując czerwony pojazd. Widział w środku dwóch pasażerów.

Pewnie kolejni przekłęci agenci-rządowi zamierzają zawracać mu głowę. Innych gości ostatnio nie miewał. Większość przyjaciół była zajęta rozkoszowaniem się życiem małżeńskim albo unikała go z powodu ciągłych wizyt agentów federalnych.

Rzucił miarkę i zszedł ze schodków, po czym splótł ręce na piersi i czekał. Miał już wyżej uszu odpowiadania W kółko na te same pytania i zamierzał oznajmić, że jeśli nie mają przeciwko niemu żadnych konkretnych dowodów, to niech się odczepią.

Jednak kiedy zza kierownicy wysiadła wysoka, smukła kobieta o kasztanowych włosach, uśmiechnął się. Może nie jest tak źle. Agencja, którą z pewnością reprezentowała, miała dużo bardziej interesujących agentów niż ATF.

- Pan Mercado? - Pokazała mu odznakę. - Agentka Specjalna Elise Campbell z FBI.

- Co mogę dla pani zrobić, agentko Campbell? - Z zadowoleniem patrzył na atrakcyjną kobietę. Miała

piękne nogi, a wąska czarna spódniczka podkreślała jej figurę.

Wydawało się, że jest całkowicie skupiony na niej, ale lata służby wojskowej i całe życie w rodzinie Mercado nauczyły go baczyć uważnie na wszystko, co się dzieje wokół. Dlatego dożył trzydziestu pięciu lat. Od razu zorientował się, kiedy z samochodu wysiadł drugi pasażer. Zesztywniał, gotów do obrony, ale szybko stwierdził, że to Yardley.

Skinął mu głową, nie odrywając spojrzenia od kobiety.

- Cześć, Yardley.

Agent ATF stanął obok Campbell.

- Coś się zmieniło przez ostatnie parę dni, Mercado?

- Nic. A u ciebie coś nowego?

Yardley wsunął niedbale ręce do tylnych kieszeni dżinsów, spojrzął na kobietę i pokręcił głową.

- Wszystko po staremu.

Ricky przyglądał się mężczyźnie, który prześladował go niemal każdego dnia pytaniami na temat Mezcayi i przemytu broni z Mission Creek. Dzisiaj był jakoś dziwnie zdenerwowany. Jego postawa i to, że wciąż zerkał to na uroczą agentkę Campbell, to na Ricky'ego, wiele mówiły. O ile się nie mylił, Yardley był napalony na dziewczynę z FBI.

- Panie Mercado...

- Mów mi Ricky - powiedział, obdarzając ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem. Kątem oka widział, jak Yardley marszczy czoło.

Miał rację. Yardley pewnie nawet sam nie wiedział, jak głęboko wpadł. Przyszedł czas zemsty, stary.

- Agentko Campbell, czegokolwiek pani potrzebuje, wystarczy tylko poprosić. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Może wejdziemy do środka? Tam jest chłodniej.

- Nie, dziękuję, panie...

- Ricky - przerwał, zniżając głos.

Skinęła głową.

- No dobrze... Ricky. Przykro mi, ale to nie jest wizyta towarzyska.

- Co za szkoda! - Niemal parsknął śmiechem na widok miny Yardleya. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność, agentko Campbell?

Z niemal przepaszającym uśmiechem podała mu papier.

- To nakaz sądowy zamrożenia środków i zajęcia dokumentacji księgowej w związku z toczącym się śledztwem.

Ricky poczuł przypływ wściekłości. Czy federalni nie mogą sobie wbić do głupich głów, że nie ma już nic wspólnego z rodziną Mercado? Czy przyjmą kiedykolwiek do wiadomości to, że teraz żyje zgodnie z prawem?

Jednak atrakcyjną kobietę stojącą przed nim obdarzył jedynie - taką miał nadzieję - wyrozumiałym uśmiechem.

- Z przyjemnością będę z panią współpracował.

- Dziękuję, Ricky. - Najwyraźniej jej ulżyło. Był gotów się założyć, że rzadko wypuszczano ją z biura na robotę w terenie. - Naprawdę jestem wdzięczna za ułatwienie mi pracy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - skłamał Ri-

cky. Miał wrażenie, że stojący obok mężczyzna zaklął pod nosem. - Co takiego, Yardley?

- Nic nie mówiłem - mruknął.

Ricky położył rękę na plecach agentki Campbell i uśmiechnął się do niej.

- Może wejdziemy do środka i weźmie pani sobie wszystko, co pani potrzebne?

Weszli na ganek. Wcale się nie zdziwił, że Yardley depte im po piętach. Nie zamierzał spuszczać agentki z oka.

W tej skądinąd nieznośnej sytuacji pocieszało Ricky'ego jedynie to, że potwornie denerwuje Yardleya - najpierw usiłując oczarować kobietę, na której tamtemu zależało, a potem okazując wobec niej chęć współpracy, jakiej nigdy nie okazał agentowi.

W innych okolicznościach śmiałyby się głośno. Jednak teraz mimo wszystko nie było mu do śmiechu. Za wiele uwagi poświęcali jemu, zamiast szukać prawdziwych przestępców. Miał już dość czekania, aż sami to zrozumieją. Gdy tylko Yardley i jego dziewczyna z FBI pojedą, Ricky sam zabierze się do śledztwa.

Elise rozejrzała się po jadalni hotelu, czekając aż kierowniczka, pani Carter, znajdzie jej miejsce. Nie zamierzała schodzić na kolację, ale ostatnie sześć godzin zmęczyło ją i musiała zrobić sobie przerwę. Wróciła koło południa i cały czas siedziała w pokoju, przeglądając kolejne strony wydruków i sumując niekończące się kolumny liczb.

- Skarbie, chyba przydałoby ci się porządne, domo-

we jedzenie - oznajmiła pani Carter, przywołując ją gestem. - Co powiesz na stek z kurczaka z pysznym sosem i tłuczonymi ziemniakami, a do tego razowy chleb i domowe masło?

- Okropnie tuczące - mruknęła Elise do siebie. A do przypominającej babcię pani Carter powiedziała tylko: - Nie jestem bardzo głodna.

- Bzdura! - obruszyła się pani Carter, wskazując stół nakryty biało-czerwonym kraciastym obrusem. - Usiądź tutaj, zaraz ci coś przyniosę.

Elise usiłowała wytłumaczyć, że wolałaby sałatkę, ale po jednym spojrzeniu na twarz pani Carter wiedziała, że nie ma co się kłócić. Niektóre kobiety miały naturę kwoki. Pani Carter do nich należała.

Pogodziła się z myślą, że jutro będzie musiała rano przebiec dwa kilometry więcej, by pozbyć się tych kalorii.

- Dziękuję, pani Carter.

Pani Carter, najwyraźniej zadowolona, że może nakarmić Elise, ruszyła do kuchni, ale odwróciła się jeszcze.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, ale muszę posadzić jeszcze jednego gościa przy tym stole.

Elise rozejrzała się, marszcząc czoło. Spośród dziesięciu stołów zajęte były tylko trzy.

- Oczywiście, że nie, pani Carter, ale...

- O, już przyszedł - oznajmiła pani Carter, ruszając do wejścia. Kiedy wróciła, prowadziła za sobą Cole'a Jaskiniowca, - Chyba pan poznał pannę Campbell, prawda, panie Yardley?

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział Cole. - Znamy się.

- Cudownie - pani Carter wskazała mu puste krzesło. - Proszę sobie usiąść, a ja zaraz przyniosę jedzenie.

Ruszyła truchtem do kuchni, zostawiając zaskoczono Cole'a.

- Ale ja nic nie zamówiłem.

Elise pokiwała głową, gdy usiadł naprzeciwko niej.

- Daj sobie spokój. Próbowałam wytłumaczyć, że wystarczy mi sałatka, a dostanę ziemniaki i sos. Podejrzewam, że i tobie przyniesie to samo.

Gdy rozległ się jego śmiech, znowu gorąco ogarnęło jej ciało.

- Prosiłaś, by mnie posadziła przy twoim stole?

- Akurat. - Usiłowała zignorować nagłe przyspieszone bicie serca, gdy ich kolana zetknęły się pod niewielkim stołem. - A ty prosiłeś, żeby ze mną siedzieć?

Pokręcił głową.

- Chyba...

- Chce nas ze sobą skojarzyć.

Skinął głową z uśmiechem.

- Mam wrażenie, że pani Carter to romantyczna osoba.

- Świetnie. Nie tylko usiłuje mnie utuczyć, ale jeszcze wyswatać.

- I to za jaskiniowca - dodał.

- Mogło być gorzej - odparła, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Mógłbym być jaskiniowcem nie umiejącym zachować się przy stole. - Uśmiechnął się szerzej i pod-

niósł ręce, by mogła je zobaczyć. - Ale jak widzisz, mam czyste ręce.

Elise patrzyła na jego duże dłonie. Były silne i męskie. Jak by to było, gdyby pieściły jej nagą skórę?

Zaszokowana swoimi niesfornymi myślami, sięgnęła po szklankę z wodą. Cole Jaskiniowiec był ostatnim mężczyzną, jaki mógł ją zainteresować. Nie tylko był agentem jak ona, w dodatku traktował kobiety w sposób dla niej nie do przyjęcia. Ale kiedy teraz patrzyła na niego, musiała przyznać, że przez ostatnie kilka dni dowiedziała się o nim paru rzeczy, których wcześniej nie dostrzegała. Jaskiniowe poglądy Cole'a Yardleya nie wynikały z męskiego kompleksu wyższości, jak początkowo myślała. Podejrzewała, że jego przekonanie o tym, iż agentki nie nadawały się do pracy w terenie brało się z nadopiekuńczości wobec kobiet, nie z uznania ich za gorsze.

- Proszę, dzieciaki - oznajmiła pani Carter, stawiając przed nimi dwa kopiaсте talerze smakowicie pachnącego jedzenia. - Zaraz wrócę z chlebem, masłem i mrożoną herbata.

Elise, wdzięczna pani Carter za przerwanie niepokojących myśli o Cole'u Yardleyu, wciągnęła aromat unoszący się znad talerza.

- Pachnie cudownie.

- Pierwszy raz jesz dzieła pani Carter? - spytał Cole.

Skinęła głową, kładąc serwetkę na kolanach.

- Wczoraj wieczorem zjadłam paczkę krakersów i wypićam butelkę wody, Siedziałam nad papierami fir-

my transportowej. A poprzedniego wieczora przyniosłam do pokoju pizzę. O ile pamiętam, to zjadłeś jej kawałek.

- Zgadza się. Zanim się pożarliśmy.
- Chyba często to robimy.

Jedli pyszne jedzenie i rozmawiali. On mówił o braku rodzeństwa, ona o dwóch starszych siostrach. O tym, że jego wychował samotny ojciec, zawodowy wojskowy, a ją samotna, niezależna matka.

- A co się stało z twoim ojcem? - spytał Cole, kończąc stek.

- Zginął w wypadku, kiedy miałam sześć miesięcy. - Uśmiechnęła się smutno. - Miałam tylko jego zdjęcia i opowieści mamy. Zawsze chciałam mieć tatę, ale mama nie wyszła drugi raz za męż. Twierdziła, że był miłością jej życia i nie zamierzała się zadowalać czymś drugorzędym.

Cole skinął głową.

- Jakbym słyszał swojego tatę. Gunny poznał mamę w lecie, kiedy skończył szkolenie. Zawsze mówił, że jak tylko ją zobaczył, wiedział, że to ta albo żadna. Wzięli ślub dwa tygodnie później.

- Nie znali się zbyt długo - zauważyła Elise, zastanawiając się, jak ktoś mógł mieć taką pewność wyboru po jednym spotkaniu.

- Musiałybyś znać mojego tatę - zaśmiał się Cole.
- Kiedy Gunny podjął jakąś decyzję, nie było odwołania.

- Dlaczego mówisz na niego Gunny?
- Był żołnierzem piechoty morskiej z krwi i kości.

Zawsze mówił, że w jego życiu były dwie miłości, moja mama i wojsko. - Posmutniały Cole odchylił się do tyłu. - Po śmierci mamy zajął się wychowywaniem mnie i jeździł wszędzie, gdzie wojsko go wysłało.

- Ile lat miałeś, kiedy...

- Mama umarła? - Kiedy skinęła głową, zapatrzył się w przestrzeń, jakby usiłował sobie przypomnieć kobietę, która dała mu życie. - Właśnie skończyłem cztery lata. Gunny'ego przenieśli za granicę, więc wysłał mnie i mamę na rancho dziadków w Newadzie. Mama pomagała dziadkowi odłożyć jakieś rzeczy na strych i spadła z drabiny. Była wtedy w drugim miesiącu ciąży. Zaczęła krwawić i dziadkowie zabrali ją do szpitala, ale rancho było tak daleko od najbliższego miasta i lekarza, że nie zdążyli. Umarła w drodze.

Elise położyła rękę na jego dłoni.

- Tak mi przykro, Cole. Tobie i twojemu ojcu musiało być bardzo ciężko.

- Owszem - przyznał, kręcąc głową. - Ale ponieważ trzeba było się przeprowadzać mniej więcej raz na rok, musieliśmy polegać głównie na sobie i jakoś się ułożyć.

Domyślała się, że nie było tak łatwo, jak Cole udawał. Lekko ścisnęła jego dłoń.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak by to było nie spędzić całego życia w jednym domu. To musi być strasznie męczące tak się stale przenosić.

- Najpierw było ciężko. Kiedy akurat znalazłem jakichś przyjaciół, Gunny dostawał przeniesienie do kolejnej bazy. - Wzruszył ramionami. - W końcu dałem

sobie spokój z zawieraniem przyjaźni i zająłem się zgłębianiem wszystkich tajników broni i środków wybuchowych.

- Cudowne hobby dla dziecka - stwierdziła sucho.
- Wyjątkowo bezpieczne.

- Niczego nie wysadziłem. - Uśmiechnął się. - Jeśli nie liczyć tego razu, kiedy zrobiłem własne ognie sztuczne i rozwaliłem skrzynkę pocztową. Wsadziłem fajerwerk do środka. Trzeba było to widzieć, skrzynka wleciała z dziesięć metrów w powietrze.

- A co na to twój tata? Zdenerwował się?

- Pomagał mi w testach - odparł ze śmiechem Cole.
- Kiedy skrzynka wreszcie wylądowała, poszedł zobaczyć, co z niej zostało, potem popatrzył na mnie i spytał: „Jak myślisz, synu, nie przesadziliśmy z prochem?”

Dźwięk jego śmiechu i dotyk jego dłoni wywołały zadumę Elise. Dlaczego kiedy dwa lata temu pracowali razem w El Paso, nie zauważyła, jaki ma miły uśmiech i jaki potrafi być zabawny?

Kiedy tak usiłowała oddzielić Cole'a, którego -jak jej się wydawało - znała, od mężczyzny siedzącego przy jej stole, on z roztargnieniem zaczął kreślić kciukiem kółka na jej nadgarstku. Zadrżała. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

To był Cole Yardley z ATF, który nie powinien przyprowadzić jej o dreszcze. Obowiązywała ją żelazna zasada na temat relacji z innymi agentami.

Powoli wycofała rękę i ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Przykro mi, ale muszę cię pożegnać. Zamierzam

posiedzieć jeszcze parę godzin nad papierami. Lepiej już pójść. - Czy ten zdyszany głos naprawdę należał do niej?

On też spojrzął na zegarek, a potem skinął głową i wstał z krzesła.

- Ja też powinienem się zbierać.

- Miłego wieczoru, dzieci - zawołała pani Carter z drzwi kuchni. - Do zobaczenia na śniadaniu. Podajemy od szóstej.

- Dziękuję. - Elise uśmiechnęła się do niej. - Ale pewnie poproszę tylko o kawę do pokoju.

Odwróciła się by powiedzieć Cole'owi dobranoc, ale jego już nie było.

Cole siedział w swoim samochodzie kilkaset metrów od domu Ricky'ego Mercada, patrząc przez lornetkę z noktowizorem. Przez ostatnie dwie godziny obserwował, jak Ricky wymienia deski w schodach, wypija kilka piw i wymyśla szopowi, ile razy ten wysadził łeb spod ganku. Nie było w tym nic podejrzanego i nic nie wskazywało, by Mercado był kimś innym niż zwyczajnym facetem remontującym dom.

Cole opuścił lornetkę i potarł oczy. Nienawidził obserwacji. Była to najnudniejsza część jego pracy. Ale jeśli złapie jakiś trop, opłaca się długie godziny spędzone w ciasnej półciązarówce. Im szybciej dowie się czegoś o Mercado, tym szybciej będzie mógł wrócić do Vegas i zapomnieć o kobiecie, która tak mu załazła za skórę.

Zaczęło się od tego pocałunku na parkingu i nie mi-

jato. Kiedy był przy niej, musiał walczyć z pragnieniem dotknięcia jej, chwycenia jej w ramiona i pocałowania.

Ostatecznie dobiła go własna reakcja na widok zachowania Ricky'ego Mercado wobec Elise. Stworzył pozory, że są z nią czymś więcej niż tylko kolegami z pracy, ale przecież była to tylko farsa. Interesowała go wyłącznie obrona Elise przed tą żmiją Valentem.

Cole zaklął i znowu wycelował lornetkę w dom. Chciał zapomnieć, jaka była urocza przy kolacji.

Zauważył jakiś ruch na tyłach domu. Mercado wszedł do środka i zamknął drzwi. Przez następne pół godziny Cole przekonał się, że obiekt obserwacji postanowił najwyraźniej zakończyć dzień. W oknach nie było zasłon, więc widział, jak Mercado przechodzi z pokoju do pokoju, gasząc na dole światło. Kiedy wszedł do pokoju na górze i zgasił światło, Cole uznał, że Mercado położył się spać.

Ale mogło to być przedstawienie mające zmylić ewentualnego obserwatora. Mercado mógł jeszcze wyjść albo pod osłoną ciemności spotkać się z kimś w domu.

Cole postanowił zaczekać jeszcze parę godzin. Miał przeczucie, że i tak czeka go bezsenna noc dzięki świadomości, że Elise jest w sąsiednim pokoju, leży w łóżku, pewnie w seksownym negliżu.

Zaklął, zły na siebie. Ani trochę nie pociągała go Elise. Gdyby tylko jego ciało wreszcie to zapamiętało.

Przechodząc przez hol hotelu, Elise zamieniła parę słów z nocnym portierem. Była już prawie północ,

a ona spędziła cały wieczór na porównywaniu danych z kont zmarłego szefa mafii i Ricky'ego Mercado z papierami firmy transportowej Mercado Trucking oraz owocowej Superior Produce Company. Musiała odechnąć świeżym powietrzem przed położeniem się spać.

W świetle gwiazd i księżyca bez trudu trzymała się krętej ścieżki hotelowego ogrodu wzdłuż znakomicie utrzymanych klombów kaktusów i teksańskich dzikich kwiatów. Dotarła do końca ogrodu, weszła do altanki i usiadła na drewnianej huśtawce, zwieszającej się na łańcuchach.

Rozkoszowała się słabym zapachem bugenwilli unoszącym się w chłodnym nocnym powietrzu i zastanawiała się, gdzie się podziewał Cole. Nie widziała go ani nie słyszała, odkąd zniknął tak tajemniczo z jadalni.

- Co, do cholery, robisz tu o tej porze całkiem sama?

Elise podskoczyła słysząc nagle wściekły głos Cole'a.

- Dobry Boże, wystraszyłeś mnie prawie na śmierć - powiedziała, kładąc dłoń na piersi.

- I bardzo dobrze - oznajmił ze złością. Usiadł koło niej na huśtawce. - Nie powinnaś sama chodzić po nocy.

- Chyba żartujesz.

- Nie. - W świetle księżyca wpadającym do altanki widziała jego ponurą minę i nie miała wątpliwości, że mówi poważnie. - A gdyby Valente albo któryś z jego zbirów zobaczył cię tu samą?

- A nawet gdyby? Ogród jest ogrodzony. - Pokręciła głową. - Można tu wejść tylko przez hotel.

- Mylisz się, kobieto! - prychnął Cole. - Ten płotek ma góra półtora metra. Co to za przeszkoda?

- Po co ktoś miałby przełazić przez płot, skoro ogród jest otwarty?

- Jak na agentkę FBI jesteś najbardziej naiwną kobietą, jaką znam. A gdyby Valente chciał cię porwać? Albo gorzej?

- A po co miałby to robić? Sam powiedziałaś, że dał mi sfałszowane księgi firm - zaprzeczyła Elise. - Jest przekonany, że nie znajdę niczego, co by go łączyło z przemytem.

- Nie słyszałaś, że przestępcy lubią być pewni, że nic nie zostanie znalezione? - Pokręcił głową. - Odtąd, jeśli masz ochotę pospacerować po północy, daj mi znać. Wyprowadzę cię.

- Ach tak? Wyprowadzisz mnie na spacer jak jakiegoś pieska?

- Źle się wyraziłem. Będę ci towarzyszył. - W jego głosie było jakby mniej złości.

- Pozwól, że ci coś wyjaśnię, jaskiniowcu. - Elise była tak wściekła, że nie mogła usiedzieć na miejscu, więc wstała. - Będę chodzić, dokąd zechcę i kiedy zechcę, i to bez ciebie. Jasne?

Cole też wstał.

- Na pewno nie w takich ciemnościach, skarbie.

- Właśnie, że będę.

- Właśnie, że nie.

- No to patrz. - Ruszyła po schodkach, ale złapał ją za ramię.

- Elise, posłuchaj mnie!

Zwrócił się do niej po imieniu. Gdyby nie to, pewnie by się nie odwróciła.

Zaczął coś mówić, po czym zrezygnował i chwycił ją w ramiona. Zanim zdążyła zareagować, przycisnął usta do jej warg. Każda komórka w jej ciele ożyła. Elise przestała myśleć.

Poczuła gwałtowne, gorące pożądanie i zacisnęła palce na jego miękkiej koszulce, by nie upaść. Twarde mięśnie drżały pod jej dotykiem. Opadła na Cole'a, a on złapał ją i przytulił mocno, aż poczuła jego podniecenie. Oddychając z trudem, przerwał pocałunek i popatrzył na nią. Pragnienie i namiętność, które zobaczyła w jego orzechowych oczach sprawiły, że przeszył ją dreszcz zachwytu.

Przyglądał się jej długą chwilę, a potem wplątał palce w jej włosy.

- Kiedy zobaczyłem, że nie ma cię w pokoju...
- Urwał, jakby nie mógł lub nie chciał ująć w słowa swoich uczuć. Odetchnął głęboko i pokręcił głową.
- Proszę, obiecaj mi, że nie wyjdiesz więcej sama w nocy.

Gdyby była w stanie cokolwiek wykrztusić, powiedziałaby mu, że nie ma o tym mowy. Ale chociaż w myślach odrzuciła tak idiotyczną prośbę, pokiwała głową na zgodę.

Cole zerknął na zegarek na nocnym stoliku i walnął pięścią w poduszkę. Niedługo świt, a on nawet nie zmrużył oka. Ile razy próbował, przypominała mu się obezwładniająca niemoc, która go ogarnęła, gdy otwo-

rzył drzwi między pokojem swoim a Elise i odkrył, że jej nie ma. W ułamku sekundy przez głowę przemknęła mu setka możliwych scenariuszy, a wszystkie kończyły się widokiem jej usiłującej wydostać się z lubieżnego uścisku Johna Valentego.

Odrzucił przykrycie i usiadł na boku łóżka, opierając łokcie na kolanach i kryjąc głowę w dłoniach. Co się z nim działo? Co go opętało, że zaczął całować Elise do utraty tchu?

W niczym nie przypominała spokojnych, łagodnych kobiet, które go zazwyczaj pociągały. Elise Campbell miała ostry język i kłótniwy charakter, co go doprowadzało do szału. A jej upór świętego wyprowadziłyby z równowagi.

Westchnął, wstał i poszedł do łazienki, by ochłapać twarz zimną wodą. Nie potrzebował tego. Pracował sam. I lubił to.

Jednak myślał, że Valente miałby ją tknąć, w złości czy pożądanu, powodowała, że zgrzytał zębami z furii. Dlaczego czuł tak wielką potrzebę chronienia jej przed Valentem?

Tłumaczył sobie, że Elise jest zbyt niedoświadczona, by potrafić utrzymać na dystans szefa rodziny Mercado, i że chciał tylko upewnić się, że ta uparta dziewczyna nie wpadnie w kłopoty. Jednak były na to mądrzejsze sposoby niż całowanie jej przy każdej okazji;

Nic dziwnego, że nazywała go jaskiniowcem. Mało brakowało, a przerzuciłby ją sobie przez ramię i zawlókł do swojego łóżka. Nawet jej chyba o tym wspomniał.

Wrócił do łóżka i westchnął, wpatrując się w sufit. Przez ostatnie trzy dni zawodziła go jakoś inteligencja.

Wspomnienie słodkich warg Elise i jej miękkiego ciała sprawiło, że jeszcze mocniej odezwała się jego opiekuńcza natura. I miał podejrzenie, że do końca śledztwa uczucia te będą tylko przybierać na sile.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Elise ziewnęła, usiłując skupić się na kolumnach cyfr. Od godziny próbowała znaleźć rozbieżności między księgami Carmine Mereado, jego następcy, Franka Del Brio oraz księgami Mereado TrucMng Company. Pozornie wszystko wydawało się w porządku, ale chociaż sumy się zgadzały, coś jej się nie podobało i była przekonana, że owo coś znajdzie.

Na chwilę się poddała, odchyliła do tyłu i potarła oczy. Jej kłopoty z koncentracją wynikały częściowo z wczorajszego nocnego spotkania z Cole'em. Wspomnienie jego pocałunku i tego, jak się tuliła do tego jaskiniowca, powodowało, że jej policzki płonęły, a ciało ogarniało gorąco.

Jak mogło jej się robić gorąco na myśl o mężczyźnie, którego nawet nie lubiła. I jak mogła złamać swoją żelazną zasadę nieumawiania się z mężczyznami, z którymi pracuje?

Jednak na myśl o tym, że Cole ją obejmował, całował jak nikt dotąd, poczuła łaskotanie na wargach i ściskanie w żołądku.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, wstała i popatrzyła przez okno na ogród. Biała altanka na końcu była ukryta za otaczającymi ją dębami.

- Dlaczego Cole Jaskiniowiec? Co w nim było takiego, co nagle wydało się jej takie... kuszące?

Nie zmienił się tak bardzo przez dwa lata. Jak mogła w to wątpić? W takim razie dlaczego nie mogła o nim zapomnieć - o jego uśmiechu, głębokim śmiechu i męskich wargach?

Poczuła rozkoszne napięcie, a kolana się pod nią ugięły. Wróciła do biurka, zaznaczyła na wydrukach miejsce, gdzie skończyła, zapisała liczbę na ekranie kalkulatora i wyłączyła go. Pewnych rzeczy lepiej nie tykać, takich choćby, jak jej nagłej skłonności do Cole'a Jaskiniowca. Potrzebowała za to czegoś, co pozwoliłoby zapomnieć o tym mężczyźnie i skupić się na poszukiwaniu dowodów, które - była o tym przekonana - połączą rodzinę Mercado i przemyt broni.

Zerknęła na zegarek i wyciągnęła jaskraworóżowy, sportowy stanik i szorty. Wrzuciła je do płóciennej torby, po namyśle dorzucając kostium kąpielowy i ubranie na zmianę. Pozbędzie się napięcia w siłowni klubu golfowego, a potem jeszcze popływa w krytym basenie. Kiedy skończy, będzie odprężona i gotowa do dalszych poszukiwań.

Uśmiechnęła się, wzięła kluczyki i ruszyła do drzwi. Życie w mieście zamierało na weekend i wszyscy wybierali się do klubu na doroczny festiwal letni. Była pewna, że Ricky Mercado i John Yalente też na nim będą. Może będzie miała okazję zauważyć coś podejrzanego, co doprowadzi do przełomu w jej śledztwie.

A im szybciej to się wydarzy, tym szybciej będzie

mogła wrócić do Wirginii i oddalić się od Cole'a Yardleya.

Ogromny kryty basen był prawie pusty, gdy Elise dotarła tam po ćwiczeniach i przebrała się w dwuczęściowy kostium. Prawie wszyscy byli na dworze, korzystając z grillowego bufetu i szukając partnerów do gier mających się zacząć po obiedzie.

W drzwiach minęła młodą parę i została sama, nie licząc mężczyzny pływającego tam i z powrotem w basenie. Gdy zbliżył się do końca, przy którym stała, zapatrzyła się na preżące się mięśnie jego pleców. Miał piękną muskulaturę i z pewnością ćwiczył regularnie. Sprawnie zawrócił pod wodą. W liceum Elise była w drużynie pływackiej i umiała rozpoznać doświadczonego pływaka.

Coś w tym mężczyźnie wydało jej się znajome. Gdy dotarł do drugiego końca basenu i odwrócił twarz, wszystko stało się jasne. To Cole Jaskiniowiec demonstrował swoją znajomość stylów pływackich.

Świetnie! Przyszła do klubu, żeby przestać o nim myśleć, a teraz podziwia jego fantastyczne ciało.

Elise postanowiła wyjść, zanim Cole ją zauważy i skrzywiła się, gdy znowu dotarł do końca basenu i zawołał ją.

- Hej, Campbell. Chcesz się ścigać?
- Nie. - Pokręciła głową.
- Masz stracha, co?
- Ja? - Roześmiała się.

Leniwie podpłynął do niej.

- No to mi udowodnij?
- Nie chcę urazić delikatnego męskiego ego.

Roześmiał się.

- Chyba wiesz, że nie możesz wygrać i szukasz wymówek.

Pokręciła głową.

- Zdaje się, że będę musiała ci udowodnić - stwierdziła, odwijając pareo. - Tylko pamiętaj, że próbowałam ci oszczędzić straszliwego upokorzenia, że pokonała cię kobieta.

Gdy odwinęła ze szczupłej talii delikatny materiał, Cole usiłował nie patrzeć. Dwuczęściowy kostium był skromny, ale na Elise wyglądał wyjątkowo prowokująco. Usiłował nie dostrzegać, jak nasycony niebieski kolor kontrastuje z jej kasztanowymi włosami. A to, jak kostium opinał jej pełne piersi i kształtne biodra, sprawiało, że z trudem oddychał.

Jej długie, smukłe nogi były idealne na to, by owinać się wokół mężczyzny i przytrzymać go mocno. Jego ciało zareagowało w taki sposób, że ucieszył się niezwykle, że jest w wodzie.

Wskoczyła do wody i wypłynęła obok niego. Co też mu przyszło do głowy, by prowokować ją do wyścigu? Jak on ma w tym stanie pływać, nie mówiąc już o wygrywaniu?

- Jesteś gotowy? - zapytała, uśmiechając się, jakby znała jakiś sekret.

Pokręcił głową, usiłując zapanować nad ciałem.

- Nie ustaliliśmy, ile basenów i jaka jest nagroda.
- Może dwa? - spytała.

- Na więcej cię nie stać?
- Chciałbyś! - Jej radosny śmiech odbijał się echem w hali. - Chciałam ci tylko ulżyć, bo już kilka mil przepłynąłeś.

- O mnie się nie martw, skarbie - mruknął Cole.
- Cztery.

- A co dostanę za pokonanie cię?
- Będę ci stawiać kolację przez następny tydzień.
- A jak ty wygrasz?

Otarł kroplę wody z jej twarzy.

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Jej uśmiech zniknął.

- Chyba nie podoba mi się, że nie wiem...
- Trzy, dwa, jeden, start!

Ruszył, zanim Elise zdążyła zaprotestować. Ponieważ małe były szanse, żeby go pokonała, uznał, że nie będzie robił trudności i pozwoli jej kupić sobie piwo. Ale nie musiał jej o tym od razu mówić.

Kiedy zawrócił na końcu basenu, nie zdziwił się, że była tuż za nim. Trochę zwolnił, by łudziła się, że ma szansę na zwycięstwo. Jednak gdy skończył trzy długości i zaczął ostatnią, był mocno zaskoczony, że wciąż jest przy nim.

Wysunęła się naprzód i musiał uruchomić ostatnie rezerwy, by ją dogonić. Kiedy zbliżali się do końca, dał z siebie wszystko, ale i tak dotknęła brzegu basenu ułamek sekundy przed nim.

- Robiłaś to... przedtem - oskarżył, usiłując złapać oddech.

Pokiwała głową i otarła wodę z oczu.

- Cztery lata w liceum. W ostatniej klasie byłam mistrzynią stanu w pływaniu.

- Nabrałaś mnie.

- Wcale nie - zaprotestowała. - To ty się chciałaś ścigać.

- Tak, ale ty mi nie powiedziałaś, że byłaś zawodniczką.

Wzruszyła ramionami.

- Pogódź się z tym, Yardley. Wygrałam uczciwie.

Chciała wyjść z basenu, ale chwycił ją za ramię.

- Nie wygrałbym, gdybym specjalnie nie zwalniał.

- Nagle przestało mieć znaczenie, kto wygrał. Objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Co ty... wyrabiasz? - spytała Elise, bardziej zdyszana, niż powinna być po wyścigu.

Uśmiechnął się.

- Odbieram nagrodę pocieszenia.

- Głupi pomysł, Yardley.

- Pewnie tak. Ale my, jaskiniowcy, nie jesteśmy za inteligentni. - Zanim zdążyła znowu zaprotestować, pochylił głowę i pocałował ją.

Woda muskała ich podbródki. Cole, uważając, by utrzymać ich oboje nad wodą, całował ją bez pośpiechu. Kiedy Elise objęła go za szyję, przyciągnął ją bliżej i poczuł dotyk jej pełnych piersi i nagiego brzucha. Fala gorąca spłynęła prosto do najwrażliwszej części jego ciała.

Gdy westchnęła, domyślił się, że odczuwała podobnie. Korzystając z jej uległości, pogłębił pocałunek. Napięcie między nimi robiło się coraz intensywniejsze,

a kiedy Elise owinęła nogi wokół jego talii, miał wrażenie, że krew zamienia mu się w żyłach w ogień.

Uwięziony między jej gładkimi udami, z trudem utrzymywał ich oboje na powierzchni wody. Nigdy w życiu podniecenie nie nadeszło tak szybko i nie było tak intensywne jak w tej chwili.

Uznał, że oboje utoną, jeśli tego natychmiast nie przerwie, więc zakończył pocałunek.

- O rany, skarbie, przypomnij mi, żebyś się z tobą częściej zakładała.

Jak tylko to wypowiedział, pożałował. Namiętność natychmiast zniknęła z jej szmaragdowych oczu. Usiłowała odsunąć się od niego.

- Ja... muszę... - urwała, usiłując wymyślić coś, co wymagałoby natychmiastowej uwagi - ...wrócić do pracy.

Wciąż obejmując ją w talii, pokręcił głową.

- Wszystko jest pozamykane ze względu na letni festiwal. Niewiele możemy w ten weekend zrobić, oprócz obserwowania Mercada w klubie.

Oparła dłonie na jego ramionach, jakby chciała się wyplątać z jego objęć.

- Mam wydruki do porównania.

Zastanawiał się, dlaczego z miejsca, gdzie go dotykała, nie szła para. Pocałował ją w czubek uroczego noska.

- Znalazłaś coś, czym chciałabyś się ze mną podzielić?

Zmrużyła oczy, odepchnęła się od niego i usiadła na brzegu basenu.

- A więc o to ci chodziło! Myślałeś, że jak mnie pocałujesz, wszystko ci wygadam?

Skąd jej to przyszło do głowy?

- Elise, nieprawda. Pocałowałem cię, bo...

- Daruj sobie, Yardley. - Rzuciła mu groźne spojrzenie i chwyciła ręcznik. - Myślisz, że jestem aż tak głupia? Sam się teraz zdradziłeś. Ale o czymś jeszcze zapomniałeś.

- O czym? - spytał, zafascynowany tym, jak uroczo wyglądała, gdy była zła.

- Nie dzielimy się informacjami. A może zapomniałeś też, że pracujesz sam?

Patrzył, jak się energicznie wyciera. Ręcznik dotykał jej kremowej skóry w miejscach, których sam chciałby dotknąć. Elise Cambell nie była przecież w jego typie. Dlaczego więc chciał przerzucić ją sobie przez ramię, zabrać w jakieś ustronne miejsce i sprawdzić, czy w miłości jest tak namiętna jak podejrzewał?

Cole zaklął pod nosem, bez oglądania się odepchnął się od ściany basenu i zaczął pływać najszybciej, jak mu pozwalały obolałe mięśnie. Może fizyczne zmęczenie pozwoli mu zapomnieć o tym pocałunku i o tym, że był bardziej podniecony niż kiedykolwiek w życiu, i to przez kobietę, która szybko doprowadzała go do szaleństwa.

Elise weszła do damskiej szatni na chwiejących się nogach. Cole Yardley był najbardziej aroganckim, nieznośnym facetem, jakiego w życiu spotkała. Ale całował niezrównanie.

Zdjęła kostium i weszła pod prysznic. Miała nadzieję, że ciepła woda zmyje wszystkie myśli o nim i o tym, co czuła, gdy Cole przycisnął ją do siebie.

- Zwariowałam - mruknęła. - Nie ma innego wytłumaczenia.

Jednak dwadzieścia minut później, gdy wyszła na taras, gdzie ustawiono grill, na wargach wciąż czuła łaskotanie i nie mogła się uspokoić.

- To z głodu - mruknęła do siebie.

Nie jadła śniadania, a minęło już południe. Hotelowa jadalnia, jak wszystko w mieście, była zamknięta na czas uroczystości. Jeśli nie zje tutaj, to pewnie innej możliwości nie znajdzie.

- Miło cię znowu widzieć, laluniu.

Na dźwięk ochryplego męskiego głosu Elise okryła się gęsią skórką. Odwróciła się, z trudem opanowując chęć ucieczki.

- Dzień dobry, panie Valente.

- Jadła już pani? - Patrzył na nią jak grzechotnik obserwujący ofiarę.

- Właśnie miałam zamiar coś zamówić.

Jego uśmiech sprawił, że poczuła potrzebę wzięcia kolejnego prysznica.

- Mam już stolik. Nalegam, żeby pani do mnie dołączyła.

- Nie, dziękuję. Mam sporo pracy - odparła i odwróciła się, by złożyć zamówienie. Miała nadzieję, że Valente zrozumie i zostawi ją w spokoju. - Może być na wynos? - spytała chłopaka za ladą.

Valente chwycił ją za łokieć i szarpnięciem odciągnął

od stoiska. Elise skrzywiła się. Ścisnął ją mocno, a jego uśmiech zmienił się w ponury grymas.

- Nalegam, laluniu. Nieładnie olewać kogoś, kto pomaga w śledztwie.

Elise poczuła lekki niepokój. Ale w takim tłumie chyba nie będzie niebezpieczny.

- Panie Valente, powiedziałam, że nie mam czasu - oznajmiła stanowczo. - A teraz przepraszam, ale chciałabym zabrać swoje jedzenie i pójść.

- Proszę zamienić na dwie porcje na miejscu - usłyszała głos Cole'a. Podszedł do niej i kiwnął głową mężczyźnie ścisnącemu jej ramię. - Witaj, Valente.

John Valente nie wydawał się zachwycony widokiem Cole'a.

- Właśnie zapraszałem pannę Campbell na obiad, Yardley - oznajmił, rozluźniając bolesny uścisk.

- Spóźniłeś się, niestety. Umówiliśmy się tu z Elise po basenie.

Kiedy Cole objął ją ramieniem i pocałował szybko, nawet nie zaprotestowała. John Valente ją przerażał i niezależnie od tego, co opowiadała Cole'owi o swoich umiejętnościach z zakresu samoobrony, nie zamierzała chwalić się nimi na oczach całego Mission Creek.

- Wybacz, że musiałaś czekać, skarbie. Znajdź nam jakiś stolik, a ja zaczekam na jedzenie.

Cole'owi ulżyło, gdy Elise nie sprzeczała się, tylko ruszyła w stronę stolików rozstawionych na trawie pod dębem.

- Muszę cię ostrzec, Valente - powiedział, śledząc ją wzrokiem. - Nie podoba mi się, że zawracasz głowę

mojej pani. - Poczł przypływ furii na samą myśl o rękach gangstera na delikatnej skórze Elise. - Lepiej, żeby to się więcej nie zdarzyło. Bo inaczej przekonasz się, jakim potrafię być wrednym typem, jeśli mi ktoś zawadza.

- I nawzajem, Yardley - wycedził Valente na odchodnym.

Cole patrzył, jak gangster znika w budynku klubu. W tej chwili z największą przyjemnością walnąłby pięścią w tę paskudną gębę, żeby udowodnić, iż mówił poważnie.

Dwójka nastolatków podała Cole'owi pojemniki z jedzeniem. Odwrócił się i odkrył, że przy stoliku Elise siedzi Ricky Mercado. Dlaczego ludzi Mercadów tak do niej ciągnęło? De razy Cole się odwrócił, zaraz któryś do niej uderzał.

- Chyba cię nie posiniaczył, Elise - usłyszał słowa Mercado, kiedy podszedł do stolika. To, że mówił do niej po imieniu, wcale mu się nie spodobało, ani to, że dotykał jej ręki.

- Mam nadzieję, że nie narobił jej siniaków - Cole postawił pojemniki na stoliku i usiadł przy niej, by obejrzeć jej przedramiona. - Bo ja też mu zrobię parę takich, które długo nie zejdą.

- Nic mi nie jest - zapewniła Elise trochę drżącym głosem. - Po prostu zaskoczył mnie i tyle. - Zerknęła na Mercado. - Zawsze się tak zachowuje?

Mercado wzruszył ramionami.

- John Valente nie lubi słowa „nie”. A już zwłaszcza w ustach kobiet.

- No to niech polubi - oznajmił Cole, pieszcząc aksamitną skórę Elise. Na samą myśl, że ktoś miałby ją posiniaczyć, czuł kłucie w żołądku.

- Mówisz, jakbyś o nim wiedział coś, czego my nie wiemy - powiedziała Elise.

Mercado milczał kilka chwil, jakby się zastanawiał, ile ma im powiedzieć. Cole obserwował go uważnie.

- To osobiste sprawy - oznajmił w końcu, wstając. - Powiedzmy, że nigdy nie zgadzałem się z jego sposobem traktowania kobiet i to wystarczy. - Uśmiechnął się do Elise tak, że Cole zazgrzytał zębami. - Ale ze mną kobiety są bezpieczne. Wiem, jak traktować damę.

Z tymi słowy Mercado zniknął w tłumie. Cole był wściekły.

Kiedy Ricky wszedł do budynku, by zamówić piwo, zauważył Johna Valentego siedzącego przy stole z paroma mężczyznami. Wcale się nie zdziwił, słysząc, że Yalente niezbyt delikatnie potraktował agentkę Campbell. Nie słynał bynajmniej z taktu ani zdolności do dyplomacji. Poza tym Ricky już wcześniej widział jego bezceremonialne obchodzenie się z kobietami i wcale mu się ono nie podobało.

Ricky dostrzegł, że z Johnem siedzą Benito Pascal, dyrektor Mercado Trucking, i Mannie Ferrar, szef Superior Produce. Wszyscy byli zatopieni w rozmowie i jasne było, że chodzi im o interesy. Benito i Mannie nie wyglądali na niezadowolonych. Dziwne. Ricky wiedział z całą pewnością, że obaj serdecznie nie cierpią nowego szefa rodziny Mercado.

Między innymi dlatego, że John nigdy nie ukrywał, iż chciałby ich obu wysłać na emeryturę. Żadna z firm nie przynosiła ogromnych dochodów, a tylko takie interesowały Valentego. Carmine nic nie obchodziło, jak jego dwaj przyjaciele zarządzają firmami, byle dostawał swoją działkę. Ricky zastanawiał się czasem, czy Benito i Manny nie zostali tylko po to, by denerwować Johna, który był obecnie głową rodziny.

Dlaczego więc teraz wydawali się tacy zaprzyjaźnieni? Co się takiego działo, że musieli gadać o interesach w weekend, który całe Mission Creek uznawało za święto?

Ricky nie był pewien, ale zamierzał popytać i dowiedzieć się. Może to był trop, który pozwoliłby mu oczyścić się w oczach agentów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Elise grzebała w jedzeniu plastikowym widelczykiem. Nie była pewna, czy brak apetytu wynikał ze spotkania z Johnem Valente, własnej nieudolności w pozbyciu się go, czy też z faktu, że Cole znowu stanął w jej obronie.

- Mam nadzieję, że nie martwisz się natarczywością Valentego - powiedział Cole, popijając piwo. - Mam nadzieję, że nie będzie ci już zwracał głowy.

Poczuła niepokój, widząc na jego twarzy ogromne zadowolenie.

- Dlaczego?

- Valente i ja osiągnęliśmy porozumienie - wyjaśnił, pewny siebie.

Jej policzki zapłonęły, a w miejsce niepokoju pojawiła się złość. Zmrużyła oczy.

- Co mu powiedziałeś?

Cole wzruszył ramionami i zapatrzył się w przestrzeń.

- Powiedziałem, żeby cię zostawił w spokoju, albo będzie miał ze mną do czynienia.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Pokręciła głową, walcząc z chęcią przyłożenia mu z całej siły. - Sama bym

sobie z nim poradziła. Ale ty musiałeś odegrać jaskiniowca i uratować kobietę będącą w opałach.

- Elise, o czym ty, do cholery, mówisz? - wydawał się naprawdę zaskoczony. - Zrobiłem to samo, co każdy normalny facet by zrobił, kiedy jakiś cham bez żadnych manier narzuca się kobiecie.

Elise musiała odliczyć do dwudziestu, zanim była w stanie wytłumaczyć coś, co najwyraźniej było poza możliwościami umysłu Cole'a Jaskiniowca.

- Owszem, powiedziałaś coś Johnowi Valentemu. Powiedziałaś mu, jak bardzo, twoim zdaniem, jestem niekompetentna jako agentka.

Zdębiał.

- A to dlaczego?

- Bo zamiast pomóc mi zachować autorytet agentki federalnej, kazałeś mi zostawić mnie w spokoju, jakbym była jakaś bezradna kobietka. - Wstała. - Potrafię staczać swoje własne bitwy i będę wdzięczna, jeśli odąd będziesz o tym pamiętał, jaskiniowcu.

Była tak zła, że prawie się rozpłakała. Pobiegnęła do klubu po swoją torbę. -Postanowiła wrócić do hotelu, skończyć audyt i znaleźć związek - który, była pewna, że istnieje - między Mercado Trucking, Superior Produce i przemysłem broni, a tym samym udowodnić Cole'owi Yardleyowi, że jest znakomita w pracy.

Jednak kiedy wyszła z damskiej szatni, czekał na nią.

- Elise, musimy porozmawiać.

- Wcale nie musimy.

- Cholera, mówię, że tak - nalegał, biorąc ją za rękę.

Pozwoliła poprowadzić się na wielką werandę od

frontu budynku. Nie miała zamiaru wywołać sceny, po której mieszkańcy Mission Creek gadaliby o wojnie między agentami federalnymi prowadzącymi śledztwo w ich uroczym mieście.

Gdy tylko dotarli do drzwi, uwolniła dłoń.

- Już ci wyjaśniłam, co myślę o twojej interwencji. Nie rozumiem, o czym chcesz dyskutować.

Odebrał jej torbę, postawił na ziemi i, zanim zdążyła go powstrzymać, chwycił ją w ramiona.

- Chcę, żebyś wysłuchała mojej opinii.

- Ale...

Położył palec na jej wargach.

- Czy możesz raz w życiu się nie kłócić i posłuchać?

Będąc w jego ramionach, patrząc w szczere orzechowe oczy, pokiwała głową.

- Masz pięć minut, Yardley.

- Wystarczy. - Na chwilę spojrział w stronę nieba, a potem znowu jej w oczy.

- No i? - ponagliła go, gdy się zawahał.

- Campbell, daj mi chwilę. To nie jest takie łatwe.

- Wziął głęboki oddech. - To, że przyszedłem odpędzić od ciebie Valentego nie ma nic wspólnego z twoimi kompetencjami jako agentki federalnej, ani ze sprawą, nad którą pracujemy.

- No to o co chodziło?

Jego wargi zacisnęły się w wąską linię.

- Nie chcę, żeby cię dotykał inny mężczyzna.

Straciła dech. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

- Czy... możesz wyjaśnić, o co ci chodzi?

- Sam nie wiem, czy to rozumiem - przyznał. - Nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło. - Puścił ją i potarł dłonią kark. - I nie jestem całkiem pewien, czy mi się to podoba. Ale na samą myśl, że inny facet miałby cię dotykać, dostaję szału.

- Ależ ty mnie nawet nie lubisz.

- Nigdy tego nie mówiłem. - Roześmiał się ponuro. - Problem w tym, że zaczynam cię lubić za bardzo. - Cole wiedział, że robi z siebie idiotę, ale nie mógł przestać, ani zebrać myśli na tyle, by zacząć mówić z sensem. - Wiem tylko, że kiedy zobaczyłem, jak Valente łapie cię za ramię, chciałem go rozerwać na strzępy.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć - Elise wyglądała na równie zaskoczoną co on.

- Witaj w klubie, skarbie. - Spojrzał w jej zielone oczy i zrobiło mu się ciepło na sercu. - Przepraszam, jeśli pomyślałaś, że uważam cię za niekompetentną, ale nie o to chodziło. - Zamknął usta, by nie wyjść na jeszcze większego idiotę. - Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie chodziło o to, czy nadajesz się na agentkę FBI.

- Dziękuję - powiedziała raczej niepewnie. - Dziękuję ci za szczerość. - Patrzyła na niego przez kilka długich sekund, po czym pochyliła się po torbę. - Naprawdę muszę... wracać do pracy.

Skinął głową, wciąż niezdecydowany, czy ją teraz pocałować, czy odwrócić się i uciekać jak najszybciej. Zamiast tego stał jak wrośnięty w ziemię.

- Uważaj na siebie, Campbell.

Skinęła głową i ruszyła po schodkach.

Cole patrzył za nią, jak idzie przez parking, by upewnić się, że wsiądzie do samochodu i nie będzie napastowana przez Valentego. Potem powoli poszedł z powrotem do budynku.

- Yardley! Wyglądasz, jakbyś stracił najlepszego przyjaciela.

- Daj spokój, Mercado. Nie mam nastroju.

Mężczyzna patrzył na niego z namysłem.

- Mieliście z piękną damą jakąś kłótnię?

- Agentka Campbell i ja pracujemy razem - oznajmił Cole. Nie zamierzał nikomu mówić nic więcej.

- Czyli nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zaproszę ją na wieczór na pokaz ogni sztucznych? Po zmroku - dodał Mercado, szczerząc zęby.

- Zostaw Elise w spokoju - warknął Cole zanim zdążył się powstrzymać.

- Czyli nazywają ją Elise, co? - roześmiał się Mercado. - Strasznie jesteś zaborczy wobec agentki specjalnej Campbell. Jesteś pewien, że to nie twoja dziewczyna?

- Pilnuj swoich spraw, Mercado - warknął Cole i ruszył do wyjścia.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, Yardley - zawołał za nim Mercado.

Cole odwrócił się do niego i pokręcił głową.

- Tylko spróbuj, a wylądujesz w więzieniu i nawet nie będziesz wiedział, kiedy.

Mercado odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się jak jakaś głupia hiena, doprowadzając Cole'a do jeszcze większej wściekłości.

Bez dalszego słowa okręcił się i wmaszerował prosto do baru. Potrzebował trochę ciszy i spokoju, paru pušek piwa i czasu na przemyślenia. W przeciwnym wypadku zaraz po powrocie do Vegas będzie musiał odwiedzić psychologa ATF, by dojść, co się z nim właściwie dzieje.

Elise siedziała na środku koca pod czystym teksańskim niebem, przyglądając się jak wieczór zmienia się w noc. Wszyscy mieszkańcy Mission Creek byli teraz na trawniku klubu golfowego, czekając na doroczny pokaz ogni sztucznych.

Po spotkaniu z Johnem Valente i niepokojącym wyznaniu Cole'a wróciła do hotelu i spędziła resztę dnia i większą część wieczoru na rozmyślaniu o tych wydarzeniach. Cole pewnie miał rację - nie umiała sobie radzić z takimi mężczyznami jak John Valente. Pracowała przeważnie za biurkiem. Rzadko wyjeżdżała w teren. Przeszła takie samo szkolenie jak każdy agent FBI, ale nie miała dość okazji, by doskonalić umiejętności.

Wyznanie Cole'a nie dawało się skoncentrować na szukaniu dowodów, które musiały gdzieś istnieć i łączyć Mercadów z przemytem.

Z jednej strony miło było wiedzieć, że Cole też o niej myśli wcale nie w związku z pracą. Ale z drugiej, uparcie trzymała się zasady, że ludzie pracujący razem nie powinni romansować ze sobą.

Technicznie rzecz biorąc to ona nie pracowała z Cole'em. On był agentem ATF, ona FBI. Jego centrala znajdowała się w Las Vegas, ona miała przydział do

biura w Wirginii. Nawet nie współpracowali w sprawie Mercadów. Powiedział, że pracuje sam i nie ma w zwyczaju dzielić się informacjami. I, jak na razie, był konsekwentny. Nie pisał ani słówka.

Ale to było dzielenie włosa na czworo. Oboje mieli przydzielony do tej samej sprawy, nawet jeśli pracowali nad nią osobno. I trzeba było pamiętać, że zdarzało im się pracować nad wspólnymi sprawami i mogło się to w przyszłości powtarzać.

Niestety, najważniejszy powód, dla którego nie mogła wiązać się z Cole'em, nie miał nic wspólnego z pracą, a wszystko z obawą przed zranieniem. Przeczynała, że jeśli nie będzie uważać, może się zakochać po uszy.

- Mogę dołączyć?

Podniosła oczy, słysząc głos Cole'a. Dlaczego jej serce zaczęło walić jakby przed chwilą skończyła maraton? Patrząc na niego, zagryzła dolną wargę. Doskonale wiedziała, dlaczego jej serce bije jak szalone, a wszystkie nerwy nagle ożyły. Już się zakochała w Cole ^ Jaskiniowcu.

- Elise, nic ci nie jest? - spytał, kucając przy niej.

Może i nic by jej nie było, gdyby nie zrobił tej jednej rzeczy, która sprawiała, że topiła się jak wosk i nie miała siły walczyć - nie położył delikatnie dłoni na jej policzku.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, ale skinęła głową z nadzieją, że jej twarz nie zdradza burzy uczuć, jąkająco ogarnęła.

- Jesteś pewna? - spytał zaniepokojony.

- T-tak, wszystko w porządku.

- Mogę popatrzeć z tobą na fajerwerki? - zapytał znowu.

Powinna wstać, zabrać pożyczony koc i uciekać. Zamiast tego pokiwała głową.

- Cole, musimy porozmawiać o tym, co...

- Nie teraz - przerwał, siadając za nią i wciągając ją między swoje kolana, aż oparła się o jego pierś. Objęły ją silne ramiona. Rozejrzała się po siedzącej na trawniku publiczności. Nigdzie nie widziała Johna Valentego, ale było ciemno.

- To na użytek Valentego?

- Nie - szepnął jej do ucha. Dostała gęsiej skórki od jego ciepłego oddechu. - Zdecydowałem, że mamy dzisiaj wolne. Nie ma agenta Yardleya i agentki specjalnej Campbell. Tylko Cole i Elise.

- Zwariowałeś. Powinniśmy...

- Ciii - pocałował jej skroń. - Potem porozmawiamy. Zaraz się zacznie,

Rozległ się huk, po czym niebo rozświetliła eksplozja kolorowych gwiazd - rozpoczął się pokaz. Zapadła cisza, a w górze błyskały coraz to nowe kolorowe światła. Tylko czasami słychać było okrzyk jakiegoś podekscytowanego dziecka.

Podczas pokaz był rzeczywiście niezwykły, ale Elise ledwo go zauważyła. Pochłonęły ją myśli o tym, co robi Cole i jak ona to odbiera. Nagle przestała ją interesować rodzina Mercado, przemyt broni i fakt, że właśnie łamie swoją główną zasadę.

W górę pomknęła żółto-niebieska wstęga, która po chwili rozbłysła w świetlną kulę. Cole przyciągnął Elise

bliżej i wsunął ręce pod jej bluzkę. Pogładził jej brzuch, w potem przesunął ręce na piersi. Niemal przestała oddychać.

- Co... co ty robisz? - zapytała jak najciszej, by nikt nie usłyszał.

- Cicho, skarbie. Oglądaj pokaz.

- Gdyby ktoś spojrzął, wyszłoby na to, że to my robimy pokaz.

Zaśmiał się cicho.

- Nikt na nas nie patrzy. A poza tym nic mnie to nie obchodzi.

Rozpiął jej zapinany z przodu stanik. Kiedy przesunął kciukami po stwardniałych sutkach, jej serce zamarło.

Zamknęła oczy i oparła głowę o jego ramię. Nie była w stanie powstrzymać cichego jęku.

- Podoba ci się, skarbie? - szepnął.

Skinęła głową.

- Nie powinieneś tego robić.

- Mam przestać?

- Tak - powiedziała, ale zdradziło ją westchnienie.

Delikatnie przycisnął jej sutki palcami.

- Jesteś pewna?

- Nie. To znaczy... tak. - W ogóle nie mogła myśleć.

Siedziała między jego nogami, więc poczuła dokładnie, w której chwili jego ciało zaczęło się zmieniać pod wpływem tego samego napięcia, które ona czuła.

Zatraciła się w doznaniach, które Cole powodował, więc była zaskoczona, gdy nagłe wyjął ręce spod jej

bluzki i obrócił ją w swoich ramionach. Przesunął jej nogi nad jedną ze swoich, przytulił ją i przyglądał się jej przez chwilę, zanim ją pocałował.

Uniosła się, by odwzajemnić pocałunek, objęła go za szyję i całkowicie się mu poddała. Gdyby mogła myśleć, byłaby zaszokowana swoją entuzjastyczną reakcją. Ale w tej chwili jej umysł przestał pracować. Chciała tylko czuć bliskość Cole'a.

Pod wpływem reakcji Elise krew w żyłach Cole'a popłynęła szybciej. Pragnął jej z taką siłą, że jego samego to zaskoczyło. Chciał połączyć ich ciała, ale jeszcze bardziej chciał połączyć ich dusze - by uczynić Elise swoją raz na zawsze.

Powinno go to śmiertelnie przerazić. Jednak gdy trzymał w ramionach jej delikatne ciało, czuł smak jej słodkich warg, czuł się tak, jakby mógł przenosić góry.

Podniósł głowę, by na nią popatrzeć i uśmiechnął się.

- Uwierz mi, skarbie, pragnę cię tak bardzo, że nie mogę myśleć.

Kolejny gwiazdzisty rozbłysk oświetlił jej uroczą twarz. Pożądanie nadało barwy porcelanowym policzkom, a w zielonych oczach widać było ogromne pragnienie. Jego serce waliło jak młot.

- Wracajmy do hotelu - powiedział nagle.

Patrzyła na niego chyba przez całą wieczność, zanim powoli skinęła głową.

Cole wstał i wyciągnął rękę, by jej pomóc. Gdy zaczęła składać koc, odebrał jej go, zwinął i wziął pod pachę. Chwycił ją za rękę i poprowadził przez labirynt ludzi siedzących na kocach i krzesłach.

Kiedy dotarli do jej samochodu, przyciągnął ją i pocałował szybko.

- Pojadę za tobą.

Począł, aż zamknęła drzwiczki, po czym pobiegł do swojego samochodu. Sporo przemyślał, gdy się rozstali po południu i stwierdził, że ma wybór. Mógł próbować zignorować istniejące między nimi przyciąganie i szybko oszaleć. Albo mógł mu się poddać, cieszyć się czasem, jaki spędzą wspólnie w Mission Creek, a o swoje zdrowie psychiczne martwić się po powrocie do Vegas.

I kto wie, co się może wydarzyć? Zawsze była możliwość, że po powrocie do swoich biur raz na jakiś czas spędzą razem weekend.

Na hotelowym parkingu zaparkował obok samochodu Elise i podszedł, by pomóc jej wysiąść. Jak tylko otworzyła drzwiczki wiedział, że zaczęła mieć wątpliwości.

- Cole, chyba nie byłoby mądrze, gdybyśmy poszli do łóżka - oznajmiła bez wstępow.

Odetchnął głęboko parę razy i pogodził się z myślą o zimnym prysznicu i pustym łóżku. Skinął głową i położył dłoń na jej plecach, by poprowadzić ją do drzwi.

- Pewnie masz rację.

Milczeli, jadąc windą na drugie piętro.

Gdy zatrzymali się przed drzwiami Elise, uśmiechnęła się smutno.

- Skomplikowalibyśmy tylko sprawy, które na razie były względnie proste.

Nie był pewien, czy usiłowała przekonać jego, czy siebie. Włożył ręce do kieszeni dżinsów, by nie dotknąć jej.

- Zgadzam się w zupełności.

Patrzyła na niego przez chwilę zanim otworzyła drzwi.

- No to... dobranoc.

- Dobranoc — odpowiedział, idąc do drzwi swojego pokoju.

Niczego bardziej nie pragnął, jak chwycić ją w ramiona i całować do utraty zmysłów, sprawić, by pragnęła go tak bardzo, jak on wciąż pragnął jej. Ale to byłoby błąd. Rano żałowałyby wszystkiego.

Wszedł do siebie i przez kilka długich sekund patrzył na drzwi między ich pokojami. Ciało Elise usiłowało jej powiedzieć, że była gotowa na zrobienie z nim kolejnego kroku, jednak umysł nie pogodził się jeszcze z tym, co Cole uważał za nieuniknione.

Nie chodziło o to, czy będą się kochać, a tylko o to, kiedy.

Elise zakryła oczy i usiłowała myśleć o swojej głównej zasadzie. Nie będziesz się umawiać z kolegą z pracy.

Jeśli powtórzy to zdanie wystarczającą ilość razy, może przypomni sobie, po co właściwie przyjęła ową zasadę i dlaczego była ona taka ważna. W tej chwili nie potrafiła znaleźć ani jednej przyczyny, dla której postanowiła kierować się taką filozofią.

Cole pragnął jej, a ona jego tak mocno, że ledwo

mogła oddychać. Wystarczyło, żeby otworzyła drzwi między pokojami i...

Jęknęła, odrzuciła prześcieradło, usiadła na brzegu łóżka i głęboko oddychała, by się uspokoić. Nie mogła spać przez Cole'a Jaskiniowca. A przecież wystarczyło, by spędzili pięć minut w jednym pokoju, żeby zaczęli się kłócić.

Teraz usiłowała rozszyfrować swoje sprzeczne emocje. Przypomniała sobie jego pocałunek i dłonie błądzące po jej ciele. Miała wrażenie, że tonie. I wtedy zrozumiała. Czyżby to przyciąganie istniało między nimi od zawsze?

Zagubiona w tych niepokojących domysłach, podskoczyła, gdy otworzyły się drzwi łączące ich pokoje.

- Też nie możesz spać? - spytał Cole, podchodząc do niej.

Widok jego w samych tylko bokserkach podziałał na nią błyskawicznie.

- Ja... ja... - Musiała przerwać, by oderwać myśli od tego cudownego ciała i skupić się na pytaniu. - Jakoś nie.

Pokręcił głową.

- Ja też nie. Nie mogę zapomnieć twoich pocałunków. - Potarł dłonią kark i popatrzył na nią. - To szaleństwo, ale pragnę cię bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w życiu.

Jej serce zamarło na te słowa.

- Zgadzam się. To kompletne szaleństwo.

- To każ mi dać ci spokój i wynosić się stąd.

Czy tego naprawdę chciała? Kazać mu się wynosić?

Wstała i wzięła głęboki oddech.

- Nie mogę, Cole.

Słyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze, widziała, jak ciemnieją orzechowe oczy.

- Dlaczego, Elise? Dlaczego nie możesz kazać mi odejść?

Miała wrażenie, że zamierza skoczyć w przepaść, nie wiedząc, co czeka w dole. Ale nie mogła o tym myśleć. Wiedziała tylko, że nigdy nie pragnęła niczego bardziej niż objąć Cole'a.

- Nie mogę kazać ci odejść, bo nie mam siły - powiedziała cicho. - Nie potrafię dłużej walczyć. Kochaj się ze mną, Cole, proszę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jesteś pewna? - spytał Cole, nie do końca przekonany, czy chce usłyszeć odpowiedź. Gdyby zaprzeczyła, to pewnie w Mission Creek zabrakłoby wody na ten zimny prysznic, który byłby mu potrzebny.

Od jej uśmiechu zakręciło mu się w głowie.

- Tylko tego jestem pewna.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował, pozbawiając oboje tchu.

- Chodźmy do mojego pokoju, skarbie - powiedział, biorąc ją na ręce. Objęła go i popatrzyła ze zdziwieniem.

- Dlaczego mnie niesiesz?

- Bo taki jest zwyczaj jaskiniowców - oznajmił.

- Sądziłam, że ciągnęli kobiety za włosy. - Uśmiechnęła się. Był zachwycony małutkimi dołeczkami, które przy uśmiechu pojawiały się na jej policzkach.

- Masz za krótkie włosy. - Postawił ją przy swoim łóżku i wplótł palce w delikatne kasztanowe loki. - I za miękkie, i za śliczne. - Uśmiechnął się. - Poza tym nigdy w życiu nie chciałbym cię skrzywdzić, Elise.

Pocałował ją w czoło i w czubek nosa, zanim dotarł do ust. Były miękkie, wilgotne i słodkie.

- Chcę cię całą wycałować, skarbie - powiedział

ochryple. Delikatnie skubał wargami jej szyję i obojczyk, rozpinając nocną koszulę.

Kiedy rozsunął atłas, stracił niemal oddech.

- Jesteś doskonała.

Objął dłońmi jej piersi, przesunął kciukami po twardych koniuszkach, patrzył, jak Elise zamyka oczy i odchyła głowę.

- Podoba ci się, skarbie?

Otworzyła oczy. Pożądanie w jej spojrzeniu sprawiło, że zaschło mu w ustach.

- Uwielbiam, kiedy mnie pieścisz. - Z uśmiechem przesunęła dłońmi po jego ramionach i piersi. - Chciałam to zrobić, odkąd zobaczyłam cię rano w basenie.

Pod wpływem jej delikatnego dotyku mięśnie Cole'a na brzuchu i poniżej napięły się mocno.

- Nie masz pojęcia, jakie to miłe.

- Chyba mam - mruknęła, zerkając na jego bokserki. Zaśmiał się.

- Raczej trudno to ukryć, skarbie. - Zsunął koszulę z jej ramion i odsunął się, by popatrzeć. Kiedy spojrzął w końcu w jej oczy, miał wrażenie, że brakło w nich pewności. Wzruszyło go to. - Jesteś piękna, Elise.

- Ty też - odpowiedziała, kładąc miękką dłoń na jego policzku.

Wziął ją w ramiona. Przesunęła rękami po jego plecach i bokach, powiodła palcami po gumce bokserek. Serce Cole'a waliło tak mocno, że nie zdziwiłby się, gdyby wyskoczyło mu z piersi.

- Może się położymy, bo za chwilę upadnę - wymruzczał, opuszczając ją na materac. - Zaraz wrócę.

Wrócił z łazienki z zabezpieczeniem, wsunął foliowy pakiecik pod poduszkę i położył się przy niej. Oparł się na łokciu i pochylił, by pocałować, okazując uczucia, które go przepełniały, chociaż nie umiał ich nazwać.

Elise objęła Cole'a za szyję i poddała się cudownemu pocałunkowi. Dzisiaj zapomni, że jest agentką FBI, a Cole agentem ATF. Dzisiaj w nocy byli po prostu mężczyzną i kobietą, badającymi wzajemnie przyciąganie, którego nie dało się już ignorować.

Powoli zsunął rękę z jej piersi do kolana i przesunął z powrotem, po wewnętrznej stronie uda. Zadrżała z podniecenia, gdy wsunął palce pod majteczki.

Chciała poznać jego ciało tak samo jak on badał jej. Dotknęła potężnych mięśni karku, szerokich ramion. Zadrżał, gdy przesunęła palcami po jego plecach aż do gumki bokserów. A gdy wsunęła palce dalej, by zbadać twardość pośladków, jęknął z rozkoszy.

- Zabijesz mnie - powiedział. Sam wsunął palce pod gumkę jej majteczek. Uniosła się trochę, a on zsunął je, po czym podniósł się, by pozwolić jej na to samo.

Obsypywał drobnymi pocałunkami jej piersi, a jednocześnie przesunął rękę niżej i dotknął kępki włosów u zbiegu ud. Wciągnął do ust jeden z napiętych sutków i w tej samej chwili sięgnął dalej. Elise myślała, że spłonie od tych doznań. Objęła jego twardą męskość. Jęknął cicho.

- Skarbie, dałbym wszystko, żebyś nie przestawała - powiedział, uśmiechając się do niej. Jednak gdy pieściła go dalej, zamknął oczy, a uśmiech zniknął z twa-

rzy. Chwytał jej rękę. - Może to jednak nie taki dobry pomysł.

- Myślałam, że mam nie przestawać - mruknęła, zastanawiając się, czy ten gardłowy głos naprawdę należy do niej.

Wtedy on też przesunął rękę niżej i wsunął palec do jej wnętrza. Natychmiast stała się bezwolna i nie była w stanie powstrzymać jęku rozkoszy.

- Cole, ja...

- Powiedz mi, czego chcesz, skarbie.

- C-ciebie.

Pocałował ją tak czule, że poczuła łyzy w oczach i sięgnął pod poduszkę po foliowy pakiecik. Gdy zadbał o zabezpieczenie, wziął ją w ramiona, rozsunął kolanem jej nogi i zagarnął ją pod siebie.

Jej ciało powitało go z radością. Jego orzechowe oczy pociemniały jak czekolada.

- Cudownie, skarbie. - Czuła, jak przeszył go dreszcz. - Chyba nie mogę czekać dłużej - dodał. - Czy wszystko... w porządku?

- Cudownie - odpowiedziała, obejmując go.

Narzucił powolny, leniwy rytm i po chwili musiała zagryzać wargi, by nie krzyknąć. Cole okazywał jej tyle troski.

Przyspieszył ruchy i Elise czuła, jak zbliża się do szczytu. Przywarła do niego jak najmocniej. Nigdy jeszcze fizyczna miłość nie była tak wszechogarniająca, nie sięgała samej duszy.

Szczyt był niesamowity. Niemal natychmiast Cole zeszytniał i poddał się własnemu orgazmowi. Kiedy

burza ucichła, opadł na nią i wtulił twarz w jej szyję. Przytuliła go mocno, rozkoszując się ciężarem jego ciała, promieniującym z niego ciepłem. Nie mogła temu dłużej zaprzeczać - zakochała się w Cole'u.

- Jestem za ciężki.

- Nie - odparła, usiłując powstrzymać łzy. Najwyraźniej usłyszał drżenie w jej głosie.

- Co się stało? - spytał, podnosząc się na łokciach.

- Zrobiłem ci krzywdę?

Zaniepokojenie na jego twarzy, troska w głosie, wszystko to sprawiło, że jedna łza popłynęła jej po policzku.

- Nie.

- No to co się stało, skarbie? - Delikatnie odgarnął jeden lok z jej czoła. - Elise, powiedz mi.

Z trudem przełknęła kulę z gardle i uśmiechnęła się do niego słabo.

- To było piękne.

Pokręcił głową.

- Zgadza się, że było nieźle, ale za bardzo się pośpieszyłem. - Pocałował ją w czubek nosa. - Obiecuję, że następny raz będzie jeszcze lepszy.

Z uśmiechem obrócił się na bok. Jego zadowolenie natychmiast zniknęło i usiadł gwałtownie.

- Cholera jasna!

Zaniepokojona Elise usiadła i owinęła się prześcieradłem.

- Nic ci nie jest?

- No... możemy mieć problem - powiedział z wahaniem..

Poczuła dreszcz niepokoju na widok jego miny.

- Co się stało?

- Prezerwatywa pękła. - Zamknął powieki i odetchnął głęboko. Potem spojrzał jej prosto w oczy. - Powiedz, że bierzesz pigułki.

- N-nie. Nie było powodu. Nie byłam z nikim od...
- urwała.

- Od kiedy?

Poczuła, jak płoną jej policzki. Nie wyobrażała sobie, że po najbardziej niesamowitym doświadczeniu życia mogłaby odpowiadać na pytania dotyczące swojego życia miłosnego, czy, dokładniej, jego braku.

- Obawiam się, że nie mam dużo... doświadczenia. Ja... nie byłam z nikim od czasu studiów.

Dotarło do niej, że sytuacja jest poważna i zagryzła dolną wargę, żeby nie drżała. A jeśli zaszła w ciążę?

Musiał zauważyć jej niepokój, bo chwycił ją w ramiona.

- Skarbie, wybacz! Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak przesłuchanie. - Pocałował ją w czubek głowy, tuląc do siebie. - Pytałem tylko, bo gdybyś zaszła w ciążę, to bez żadnych wątpliwości ja byłbym ojcem.

- Jestem prawie pewna, że szanse są niewielkie. - Oby.

- Pewnie masz rację. - Puścił ją i ujął dłońmi jej twarz. - Ale musisz wiedzieć, że jeśli zajdziesz w ciążę, razem przez to przejdziemy. Będę przy tobie przez cały czas.

Widziała szczerłość w jego spojrzeniu i nie wątpiła,

że mówi prawdę. Teraz. Ale co z codziennością opieki nad dzieckiem? Finanse to jedno, ale czy byłby przy niej, gdyby trzeba było decydować w wypadku chorób, szkoły, dyscypliny? Czy sama musiałaby radzić sobie z macierzyństwem i z pracą?

Zamknęła oczy, bo zakręciło jej się w głowie. Nie miało sensu zastanawiać się nad czymś, co prawdopodobnie było nieistotne.

- Możesz mi podać koszulę? - spytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Po co?

- Chyba będzie lepiej, jeśli wrócę do siebie.

- Nie sądzę. - Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Dlaczego?

- Nie powinnaś być teraz sama. Będziesz się tylko zamartwiać całą noc. - Posadził ją sobie na kolanach i pogładził palcem po policzku. - Kochanie, teraz nie mamy na to wpływu. Nie ma sensu nad tym rozmyślać.

- Pocałował ją tak czułe, że zupełnie się odprężyła.

- Zostań ze mną.

Jego silne objęcia, delikatny dotyk, uspokajające słowa, sprawiły, że w ogóle nie miała ochoty się ruszać. Poza tym miał rację. Nie spałaby, myśląc o możliwych następstwach ich zbliżenia, a naprawdę chciała leżeć w jego ramionach.

- Ale jeśli mam spać w twoim łóżku, a i tak potrzebna mi koszula.

Pokręcił głową i rzucił jej przewrotny uśmiech,

- Wolę to, co masz na sobie teraz.

- Prześcieradło? - roześmiała się.
- Nie. Uśmiech.

Długo po tym jak Elise zasnęła, Cole leżał, tuląc ją do siebie. A jeśli zaszła z nim w ciążę? Czy był gotów na zostanie ojcem? Czy byłby dobrym rodzicem? Jak pozna, czy dobrze mu idzie?

Mógł czerpać doświadczenia tylko z własnego dzieciństwa, a ono nie było całkiem normalne. Wychowywał go żołnierz piechoty morskiej, wiecznie przenoszący się z miejsca na miejsce.

Ale jego ojciec starał się jak mógł i wpoił Cole'owi wartości, które przydały mu się przez te trzydzieści lat. Zawsze postępował zgodnie z prawem, służył swojemu krajowi z godnością i honorem, starał się być uczciwym, porządnym obywatelem. Czyż nie takie wartości należy przekazywać dzieciom?

Powinien być śmiertelnie przerażony. Jednak w sumie był dziwnie spokojny wobec możliwości, że Elise miałyby zająć w ciążę.

Spojrzał na jej głowę wspartą na jego ramieniu i zastanawiał się, co ona myślałaby o zostaniu matką jego dziecka. Czy cieszyłaby się z macierzyństwa?

Poruszyła się przez sen i wymruczała jego imię, a on poczuł ciepło, którego źródła nie umiał rozpoznać i bał się analizować. Czas da mu odpowiedzi na wszystkie pytania. Wystarczy poczekać.

Ziewnął, czując, że ogarnia go sen. Na razie skończy śledztwo i zaaresztuje człowieka odpowiedzialnego za przemyt broni do Mezcayi.

A każdej nocy, dopóki będą w Mission Creek, zajmie się najbardziej pociągającą kobietą, jaką znał.

Elise usiadła i przyjrzała się wydrukowi danych Mercado Trucking. Przewozili towary do Mezcayi dla firmy Superior Produce. To samo w sobie nie było dziwne. Mercado Trucking było największą firmą przewozową poza Corpus Christi, a Superior jedyną firmą ogrodniczą w obrębie trzech hrabstw.

Pozornie wszystko wydawało się w porządku. Jednak jej instynkt przebudził się na widok sum, które Superior Produce odpisywało sobie jako koszty zepsutych towarów. Dlaczego firma z uporem eksportuje produkty, jeśli trzy czwarte zdąży się zepsuć, zanim dotrze na miejsce?

To nie miało sensu, chyba że...

Elise uśmiechnęła się.

- Chyba znalazłam trop.

- Co takiego? - zawołał Cole przez otwarte drzwi między pokojami.

Przekonana, że wpadła na właściwy trop, zapisała cyfry widoczne na ekranie kalkulatora i wyłączyła go. Pracowała cały dzień i większość wieczoru. Potrzebna jej była przerwa.

Przeszła do pokoju Cole'a.

- Mówiłam do siebie.

Cole siedział na łożku, oparty o wezglowie. Poklepał materac.

- Myślałem, że może odkryłaś coś, co łączy broń i Mercadów.

- Myślisz, że ci powiem? - Roześmiała się.

Zawarli coś w rodzaju porozumienia i oddzielili swój związek od pracy. Nie dzielili się informacjami i wątpiła, by to nastąpiło. Ona skupiała się na dokumentach, a Cole na materialnych dowodach.

Kiedy usiadła obok niego, ujął ją za rękę.

- Może zamówimy coś do pokoju i spędzimy resztę wieczoru tutaj?

- Nie chcesz iść do klubu na festiwal? - spytała, rozgrzewając się pod jego spojrzeniem.

Pokręcił głową i przyciągnął ją do siebie.

- Spędziłem w klubie cały dzień, łażąc za Mercedem od pola golfowego do sali bilardowej, a potem na pokera. Mam dosyć tego miejsca na jakiś czas.

- Odkryłeś coś? - spytała, wiedząc, że i tak by jej nie powiedział.

- Tak - odparł, zaskakując ją.

- A co takiego?

- Odkryłem, jak bardzo za tobą tęsknię. - Pocałował ją w czoło. - Wciąż myślałem o ostatniej nocy i o tym, co ci obiecałem.

- Obiecałeś? - Czyżby chciał jej powiedzieć, że zmienił zdanie? Że jeśli zajdzie w ciążę, musi sobie radzić sama?

- Nie pamiętasz? - uśmiechnął się. - Powiedziałem ci, że następny raz będzie jeszcze lepszy? - Wsunął rękę pod jej koszulkę. - Nie zdążyłem ci pokazać.

Dotyk jego ciepłej dłoni na brzuchu sprawił, że całe jej ciało ożyło.

- Nie chcesz oglądać sztucznych ogni? Dzisiaj jest ostatni...

Pokręcił głową.

- Wolałbym zostać. Urządzimy sobie własne fajerwerki.

Kiedy ją pocałował, Elise zapomniała o obchodach w klubie. Pod jej zamkniętymi powiekami tańczyły iskierki, a w żyłach pulsowało gorąco. Poczowała dotyk dłoni Cole'a na nagiej piersi, muśnięcie kciuka na stwardniałej sutce, iskrę pożądania zmieniającą się w płomień najgorętszego pragnienia.

Cole przerwał pocałunek, żeby ściągnąć Elise koszulkę, po czym przylgnął ustami do jej piersi. Ułożył Elise na materacu, a ona westchnęła cicho, gdy zaczął pieścić drugą pierś. Sprawianie jej rozkoszy było bardziej podniecające niż najlepszy afrodyzjak.

Pociągnęła go za koszulkę. Podniósł głowę.

- Nie zrobiłem ci krzywdy?

- Nie, ale nie wydaje ci się, że masz za dużo na sobie? - spytała.

- Może i masz rację - zaśmiał się. Wstał z łóżka i szybko pozbył się całego ubrania. - A teraz kto ma za dużo na sobie?

- Pewnie ja. - Obdarzyła go uśmiechem, który rozpalił go do czerwoności. - Co zamierzasz z tym zrobić?

- Daj mi minutkę, to ci pokażę - zapewnił, rozpinając jej obcięte dzinsy.

Patrząc jej w oczy, ściągnął jej szorty i majteczki. Pochylił się i przycisnął wargi do jej płaskiego brzucha.

- Skarbie, masz skórę jak aksamit.

Czuł drżenie w swoim głosie.

- Nie... powinieneś-jęknęła, kiedy przycisnął wargi do wewnętrznej strony jej uda.

- Dlaczego nie? - spytał, nie przerywając.

- Nikt nigdy...

- Ufasz mi, Elise?

Ku jego satysfakcji, nawet się nie zawahała.

- Tak.

- No to pozwól mi się kochać, skarbie.- I kiedy dał jej coś, czego nie dał jej żaden mężczyzna przedtem, wielką przyjemność sprawiły mu jej ciche jęki.

- P-proszę, Cole. - Poruszała się niespokojnie. - Już dłużej... nie wytrzymam.

Kiedy podniósł głowę, uznał, że chyba nigdy nie widział piękniejszego widoku niż rumieniec pożądania na jej porcelanowych policzkach, pragnienie w wyrazistych, zielonych oczach.

- Powiedz, mi, czego potrzebujesz.

- C-ciebie. Teraz!

Nagle ogarnęło go niepohamowane pragnienie, by znowu należała do niego. Otworzył szufladę w nocnym stoliku i zadbał o zabezpieczenie.

Niemal stracił dech na widok jej ciała, czekającego na niego i gotowego sprawić, by poczuł się, jakby odnalazł drugą połowę siebie. Cole zamknął na chwilę oczy, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. To ma być najpiękniejsza noc w jej życiu, niezależnie od tego, ile miało go to kosztować.

Chwytał Elise w ramiona i połączył ich ciała jednym ruchem. Nie ruszał się. Chciał, żeby to trwało jak najdłużej.

Ale kiedy owinęła długie nogi wokół jego bioder, by przyciągnąć go i zatrzymać, stracił resztki samokontroli. Ich ciała były idealnie dopasowane. Wkrótce poczuł, że ona zbliża się do kulminacji, której oboje pragnęli. Przyspieszył tempo i po chwili odczuł głęboką satysfakcję, słysząc jej krzyk rozkoszy.

Sam Cole nie pozostał za nią daleko w tyle. Miał wrażenie, że stali się jednym ciałem, jedną duszą, jednym umysłem.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego popołudnia Cole pojechał na zachodni kraniec Mission Creek, gdzie znajdowało się kilka pustych magazynów. Od paru dni miał zamiar rzucić na nie okiem, ale był zbyt zajęty przesłuchiowaniem pracowników klubu golfowego, którzy mieli dostęp do zabudowań, gdzie znaleziono broń.

Miał jednak przecucie, że broń podrzucono do klubu, by odwrócić uwagę od właściwego centrum operacyjnego. Teraz musiał tylko znaleźć dowody potwierdzające tę teorię.

Zaparkował przed magazynami, które wyglądały na nie używane od lat. Przeszedł się od jednego do drugiego. Wszystko wyglądało zwyczajnie. Przed drzwiami rosły dzikie krzaki, a w pierwszych dwóch budynkach powybijano okna. Jednak gdy obszedł drugi z nich, zamarł. Promień słońca odbijający się od podwójnych drzwi przyciągnął jego uwagę. Zadziałał instynkt śledczy. Metal był przerdzewiały, jednak wokół klamek owinięto najwyraźniej coś błyszczącego.

Gdy szedł od budynku do budynku, zwrócił uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze, na bitej drodze widać było ślady opon ciężarówki, i to wyraźnie, co sugerowało, że pojazd był wyładowany.

Potem obejrzał drzwi magazynu. Wokół klamek owinięto gruby łańcuch, który spięto wielką kłódką. Jedno i drugie było nowe. Dotknął czubkiem buta krzaka i odkrył, że rośliny przed wejściem położono, by wyglądały tak, jakby tu właśnie wyrosły.

Obszedł budynek, znajdując po drodze kilka niedopałków. Wyjął z kieszeni plastikową torebkę i ostrożnie zebrał do niej niedopałki. Wyśle je do laboratorium - może mają w aktach DNA osoby, która je wypaliła.

Miał wrażenie, że właśnie wpadł na pierwszy ważny ślad. Dałby głowę, że tu było centrum przemytniczych operacji.

Wrócił do samochodu po cyfrowy aparat i zrobił kilka zdjęć śladów opon, zamkniętych drzwi i całego magazynu. Teraz musiał tylko ustalić, kto jest właścicielem magazynów i zdobyć nakaz przeszukania budynków.

Jednak gdy jechał do domu, miał mieszane uczucia. Z jednej strony był przekonany, że jest o krok od rozwiązania sprawy. Ale z drugiej znaczyło to, że jego czas spędzony z Elise dobiegał końca.

Poczuł dziwne ściskanie w brzuchu na myśl, że nie będzie trzymać jej w ramionach każdej nocy, nie będzie widzieć jej ślicznej twarzy zaraz po przebudzeniu. Jak to się stało tak szybko? Czy naprawdę zaczęło się tydzień temu, kiedy zobaczył, jak John Valente łapie ją za ramię w klubie? A może dużo wcześniej?

Kiedy przed dwoma laty pracowali nad tą samą sprawą, uważał, że Elise jest śliczna, ma niesamowite nogi i piękny uśmiech. Ale wystarczyło, że spędzili trzy minuty w jednym pokoju, by zaczęli się kłócić. Uśmiech-

nał się. Skarżył się na jej ostry język, ale podobały mu się te starcia. Elise to bystra, inteligentna osoba, która jest znakomitą agentką. Jej wiedza o finansach okazała się kluczowa dla tamtej sprawy w El Paso.

Spoważniał. Z jego punktu widzenia praca Elise była jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem. Przez nią się poznali i byli razem w Teksasie. Ale jednocześnie najbardziej mu przeszkadzała. Myśl, że kiedyś może Elise będzie musiała wyjąć broń i wykorzystać swoje szkolenie, by bronić się przed facetem w rodzaju Valentego, sprawiała, że robiło mu się niedobrze. Go się stanie, jeśli jego zabraknie wtedy w pobliżu?

Zaparkował przed sądem i kilka minut siedział w samochodzie, zastanawiając się, co robić. Żeby zapewnić Elise bezpieczeństwo, musiał rozwiązać sprawę, zamknąć przemytników i - jak dobrze pójdzie - usunąć z obiegu rodzinę Mercado, póki Elise siedziała w hotelu nad księgami.

Spojrzał na zegarek. A niech to! Sąd zaraz kończy pracę.

Wyjechał z parkingu. Jutro przyjdzie sprawdzić, do kogo należą magazyny. Na razie zamierzał wrócić do hotelu, wziąć Ehse w ramiona i kochać się z nią, aż oboje padną z wyczerpania.

Elise zerknęła na wyciągi i na kalkulator. Nie miała wątpliwości, że Mercado Trucking i Superior Produce są jakoś zamieszane w przemyt broni - albo transportują towar, albo piorą pieniądze. Albo jedno i drugie. Superior regularnie wysyłało owoce i warzywa do Mez-

cayi za pośrednictwem Mercado Trucking, ale i tak nie wykazywało dochodów. Listy przewozowe ciężarówek wymieniały banany, kawę i cukier. Dlaczego Superior wysyłało je do państwa, które żyło głównie z eksportu dokładnie tych samych produktów?

Ale jak miała udowodnić powiązania między firmami Mercadów a bronią przemycaną do Mezcayi? Musiała dowiedzieć się, co dokładnie znajduje się w ciężarówkach, a jedynym na to sposobem było znaleźć się na miejscu, gdy będą rozładowywane.

Sprawdziła daty w papierach firmy transportowej. Jeżeli się zgadzały, kolejny transport dotrze do Mezcayi w ten weekend.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła po telefon. Będzie musiała uzyskać zgodę na wyjazd, ale to nie powinno stanowić problemu. Szef powiedział, żeby robiła wszystko, co będzie konieczne, by znaleźć dowody.

Godzinę później z zadowolonym uśmiechem odłożyła słuchawkę. Pojutrze wylatuje do Mezcayi.

Kiedy już znajdzie się w malutkim południowo-amerykańskim kraju, spotka tajnego agenta, który będzie jej przewodnikiem i tłumaczem. Zabierze ją do wiosek w dżungli, gdzie podobno silne były wpływy El Jefe. Tam Elise będzie udawać przedstawicielkę firmy eksportowej poszukującą ręcznie wyplatanych koszyków, ceramiki i innych wyrobów ludowych.

Nie kazano jej w Mezcayi podejmować żadnych działań, tylko mieć oczy i uszy otwarte oraz starać się odkryć, co naprawdę przewoziły ciężarówki. Będzie miała na to trzy dni. Potem będzie musiała wrócić do

Mission Creek i przekazać wszystko grupie specjalnej. To oni zajmą się śledzeniem podejrzanych, zbieraniem dowodów i, w odpowiedniej chwili, aresztowaniem.

Pozostały jej tylko trzy rzeczy do zrobienia: zadzwonić do banku, by odblokowali konta Ricky'ego Mercado, gdyż z wyciągów jasno wynikało, że nie ma nic wspólnego z przemytem. Potem zadzwonić do niego samego i powiedzieć, że został oczyszczony z podejrzeń.

Trzecie i najważniejsze zadanie nie będzie takie proste. Jak ma powiedzieć Cole'owi o swoim wyjeździe?

Podejrzewała, że jak tylko usłyszysz o wyjeździe do Mezcayi, weźmie górę jego jaskiniowa natura i będzie próbował ją powstrzymać. Albo, co gorsza, postanowi pojechać z nią. Uwielbiała znajdować się w jego ramionach, kochać się z nim co noc, ale nie było jej potrzebne jego przymusowe towarzystwo w Ameryce Południowej.

Elise westchnęła. Zresztą musiała pobyć trochę sama, pogodzić się z myślą, że może już nosić jego dziecko.

Wstała i wyjęła z torebki kalendarzyk. Jej okres miał się zacząć w przyszłym tygodniu, za wcześniej więc na kupowanie testu ciążowego.

Jednak w głębi serca wiedziała, że test to tylko formalność. Niezależnie od tego, jak mało prawdopodobne było, by tamtej nocy zaszła w ciążę, czuła, że poczęła dziecko.

Położyła rękę na płaskim brzuchu. A jeśli to prawda? Jak ma powiedzieć o tym Cole'owi? Jak on się zachowa? Czy będzie nalegał na ślub?

Zagryzła dolną wargę, by powstrzymać jej drzenie.

Skąd ma wiedzieć, czy prosi ją o rękę z miłości, czy z poczucia obowiązku wobec dziecka?

Wezmą ślub czy sama będzie wychowywać ich córkę lub syna, nie ma rady, jej życie ulegnie zmianie. Nie ma mowy, żeby mogła podróżować i prowadzić takie sprawy jak ta.

- Co się stało, skarbie? - spytał Cole, stając obok niej. - Masz okropnie poważną minę.

Ależ ze mnie agentka, pomyślała z obrzydzeniem. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do pokoju.

Objęła go za szyję. Na analizowanie i podjęcie decyzji będzie miała mnóstwo czasu w samolocie do Mezycayi. Na razie nie chciała myśleć o przyszłości.

- Nic się nie stało, jaskiniowcu - zapewniła, stając na palcach, by pocałować jego wargi. - Myślałam tylko, co powie pani Carter, jeśli znowu zamówimy kolację do pokoju.

- Pewnie nic - uśmiechnął się. - Będzie wniebowzięta, że nas wyswatała.

- No to co zamówimy dzisiaj? - spytała.

- Nieważne. Pani Carter i tak przyśle dwie porcje tego, co, jej zdaniem, powinniśmy zjeść.

- Fakt. Ciagle zamawiam sałatki, a ona przysyła stek, smażonego kurczaka czy coś podobnego. Nie sądzę, żeby pani Carter czytała te wszystkie artykuły o cholesterolu, smażonych potrawach i rozsądnej diecie; - Elise zmarszczyła czoło. - Będę miała szczęście, jeśli nie przybędzie mi w Mission Creek dziesięć kilo.

Cole rzucił jej takie spojrzenie, że nogi się pod nią ugięły.

- Nie musisz martwić się o wagę. Będziesz cudowna niezależnie od tego, ile ważysz.

Teraz tak mówi, ale jeśli jestem w ciąży? Czy nadal będę mu się podobać? Ta myśl opuściła ją szybko, gdy Cole pocałował dołek za uchem.

- Jestem głodny - mruknął. Podniósł głowę i spojrział na nią. - Ale nie chodzi mi o jedzenie.

Wsunął ręce pod jej bluzkę i przytulił ją mocniej. Pocałował z taką czułością, że musiała się go chwycić, by nie upaść. Przesunął ręce do góry, nie wypuszczając jej bluzki.

- Podnieś ręce, skarbie.

Bez słowa protestu spełniła polecenie, a on zdjął jej koszulkę przez głowę. Przesunął rękami po jej ramionach, plecach i biodrach.

- Uwielbiam, kiedy nie masz stanika - uśmiechnął się, muskając boki jej piersi.

- Zawsze uważałam, że to narzędzia tortur - powiedziała drżącym głosem. - Zwłaszcza te z fiszbinami.

Przesunęła palcem po literach ATF pośrodku jego koszulki. Mięśnie pod materiałem naprężyły się.

- Uwielbiam cię w tych czarnych koszulkach.

- Mówiłem ci, że świetnie w nich wyglądam. - Odychał z trudem.

- Tym razem muszę się z tobą zgodzić, jaskiniowcu. Wyglądasz w nich rewelacyjnie.

Też ściągnęła mu koszulkę przez głowę. Gdy przyciągnął ją do nagiej piersi, zrobiło jej się ciepło. Ale kiedy pochylił się, by chwycić sutek wargami, ciepło zamieniło się w ogień.

Położyła dłonie na jego szerokiej piersi, delikatnie przesunęła nimi po sutkach, Nabrzmiały pod jej dotykiem i poczuła, jak zadrżał.

- Podoba ci się? - spytała.

- S-skarbie... - Wyprostował się i odchrząknął. - Nawet nie masz pojęcia...

Byli tak blisko, że czuła jego podniecenie.

- No, jakieś pojęcie chyba mam...

Przesunęła palcem po jego gładkiej piersi, płaskim brzuchu, do pępka, a potem wzdłuż wąskiej linii włosów znikającej pod paskiem dżinsów. Rozpięła pasek, potem guzik. W jego zmrużonych oczach widziała wyzwanie.

Jego brzuch napiął się, gdy musnęła palcami skórę. Przesunęła paznokciem po zamku błyskawicznym w dół i w górę. Zachęcona jego jękiem rozkoszy, powoli otworzyła zamek i uwolniła go.

- Przez ciebie dostanę zawału - powiedział ochryple.

Zachęcona namiętnością, której nie mógł ukryć, przesunęła palcem po gumce bokserek.

- Może powinnam przestać.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Wtedy na pewno padnę trupem. Nie chciałybyś mieć mnie na sumieniu, co?

- Nie, chyba nie. - Udawała, że się zastanawia. - Ale nie chcę też, żebyś miał problemy z sercem.

- Na tę chorobę jest bardzo proste lekarstwo.

- Naprawdę? - Dotknęła twardego wybrzuszenia w materiale. - Myślisz, że je mam?

- Skarbie, jesteś jedynym lekarstwem na to, co mnie dręczy. - Pokiwał głową. - Więc nie przestawaj.

Wzięła głęboki oddech i zsunęła dzinsy z bokserkami z jego bioder. Cole położył ręce na jej ramionach, by nie upaść. Na szczęście zdjął buty przed wejściem do pokoju. Pewnie dlatego nie słyszała, jak wchodził, domyśliła się, rzucając jego ubranie na swoje.

Odwróciła się z powrotem i straciła oddech na jego widok. Cole był wspaniały. Gdy zobaczyła jego pożądanie, poczuła się pełna kobiecej władzy.

- Jesteś naprawdę piękny - oświadczyła, patrząc mu w oczy.

Pokręcił głową, podchodząc do niej. Przesunął palcem po jej policzku i uśmiechnął się.

- Ja nie. Ty.

Zamknęła oczy. Próbowała temu zapobiec, ale kochała się po uszy w Cole'u Yardleyu. A jeśli miała być całkowicie szczerą, to kochała się w nim, odkąd ją pierwszy raz pocałował. Tylko była zbyt uparta, by to dostrzec.

Kiedy otworzyła oczy, patrzył na nią jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie. Zdjęła szorty i majteczki, rzucając je na stos ubrań na podłodze.

Wyciągnął ramiona, a ona bez chwili wahania wsunęła się w jego objęcia. Nie była w stanie mu się oprzeć. Przesunęła dłońmi po jego ciele.

- Skarbie, jeśli będziesz tak robić... to może... nigdy nie będę mógł chodzić. - Mówił z trudem.

- Dopiero zaczęłam - odparła, całując jego pierś, i brzuch.

- Elise?

- Cii, kochanie - powiedziała, zanim obdarzyła go tą ostateczną pieszczotą.

Cole chwycił ją za ramiona i pociągnął do góry, by pocałować tak, że całkowicie opadła z sił. Pokój zawirował, a Cole wstał i zrozumiała, że wziął ją na ręce.

- Co ty robisz? - spytała bez tchu.

- Znowu cię ciągnę do swojej jaskini - oznajmił z uśmiechem, który nie pozostawiał jej najmniejszych wątpliwości co do jego planów.

Ułożył ją na łóżku i rozerwał foliowy pakiecik. Przyglądał się jej przez chwilę. Potem położył się przy niej, obrócił ją twarzą do siebie i ułożył jej nogę na swoich. Najwyraźniej wyczuł jej dezorientację.

- Chcę, kochając się z tobą, widzieć twoją twarz.

Poczuła przypływ miłości. Żadne z nich nie będzie dominować, oboje będą równi. Zamknęła oczy, rozkoszując się doznaniem.

- Elise? Popatrz na mnie - jego głos brzmiał szorstko. Wiedziała, że z trudem nad sobą panował. Zrobiła, o co prosił. - Chcę widzieć, jak twoje oczy błyszczą, skarbie. Wiedzieć dokładnie, kiedy nie będziesz już mogła się powstrzymać.

Powiedziałyby mu, że ona też tego pragnie, ale gdy zaczął się powoli poruszać, słowa okazały się zupełnie niepotrzebne.

Jej miłość do niego była nieogarniona, a namiętność rosła. Ponieważ Cole nie odrywał wzroku od jej oczu, widziała, że jego ogarnia to samo napięcie.

Gdy doznania zmieniły się w rozkoszny ból, walczy-

ła, by trwały jak najdłużej. Jednak Cole musiał wyczuć jej gotowość, bo przesunął dłoń w dół i pogładził ją delikatnie. Nagle spirala zaczęła się rozkręcać, a ona straciła kontrolę. Słyszała własny jęk, gdy fale rozkoszy zalewały ją raz za razem. Gdy jej ciało drżało, poczuła, jak ramiona Cole'a zaciskają się wokół niej, gdy znalazł własne spełnienie.

Ogarnęło ją słodkie rozleniwienie, gdy tuliła się do jego silnych ramion, powoli wracając do rzeczywistości. Przyznała, że kocha Cole'a sercem i duszą, a jeśli mogła czytać z jego oczu, on również żywił do niej uczucia.

Uznała, że właśnie dlatego nie powinno być między nimi żadnych tajemnic. Dwoje ludzi, którzy się kochali, nie powinno nic przed sobą ukrywać.

Próbowała stłumić ziewnięcie, tuląc się do niego. Odpocznie chwilę, a potem powie mu o wyjeździe do Mezcayi. Cole na pewno ją zrozumie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Cole uśmiechnął się do kobiety spokojnie śpiącej w jego łóżku. Elise wyglądała tak słodko i bezbrinnie, że z największym trudem zmusił się do ubrania i wyjścia. Powinna odpocząć, a on musiał zabrać się do szukania informacji i rozwiązywania sprawy przemytu broni.

Kiedy dotarł do gmachu sądu, pomyślał o ich wspólnej nocy. Przez cały wieczór, aż do rana, raz za razem kochali się z największą namiętnością, jakiej zaznał w życiu. Byli tak zajęci sobą, że zapomnieli nawet o kolacji.

W pewnym momencie Elise wspomniała, że musi z nim o czymś porozmawiać, ale pocałował ją i zapomniała, co miała mu powiedzieć.

Uśmiechał się, parkując samochód i idąc do biura. Dzisiaj wieczorem będą mieli mnóstwo czasu na dyskusję o tym, co Elise miała mu do powiedzenia. Na razie miał robotę. Musiał dowiedzieć się, kto jest właścicielem magazynów na skraju miasta, zobaczyć się z sędzią i zdobyć nakaz przeszukania, a potem dokładnie obejrzeć wszystkie budynki.

Dwadzieścia minut później wyszedł z biura z zadowoloną miną. Wcale nie zdziwiła go wiadomość, że przed paru miesiącami magazyny zostały zakupione

przez Ricky'ego Mercado. Kilka tygodni po tym, jak wrócił z misji ratunkowej Phillipa Westina w Mezcayi.

Jednak gdy czekał na sędzię, coś nie dawało mu spokoju. Mercado miałby kupować magazyny na przechowywanie broni, skoro wiedział, że ATF i FBI obserwują każdy jego ruch? To nie miało sensu. Mercado nie był głupi. Musiał wiedzieć, że pierwsze, co zrobią, to przeszukają wszystkie należące do niego budynki, a zwłaszcza tak wielkie jak magazyny.

Nie, to zbyt proste, zbyt oczywiste. Jednak Cole był gotów założyć się o cokolwiek, że jeśli dostanie się do budynków, znajdzie w nich cały arsenał.

Zmarszczył brwi. To by znaczyło, że Mercado mówił prawdę i nie był zaangażowany w przemyt i że ktoś go wrabiał.

Ale jeśli Ricky Mercado nie stał za wszystkim, to kto? Cole'owi przyszło na myśl jedno nazwisko, a jego ręce zacisnęły się w pięści. John Valente.

Teraz musiał tylko znaleźć dowody i zamknąć drania.

Ricky Mercado dojeżdżał do Mission Creek, podśpiewując razem z radiem. Jego życie nie wyglądało w tej chwili ciekawie, ale wyjazd do Nuevo Laredo, po drugiej stronie meksykańskiej granicy, udał się. Ręcznie wykonane meksykańskie kafelki do jego nowej kuchni zostały zamówione i za parę tygodni będą gotowe. Poszło szybciej niż myślał i miał jeszcze czas zamontować nowe poręcze na ganku z tyłu domu.

Oczywiście, kiedy się do tego weźmie, szop mieszkający pod gankiem będzie wściekły. Ale trudno. Mógł

sobie syczeć i parskać, ile chciał. Będzie musiał się przyzwyczaić do dzielenia domu z człowiekiem.

Zbliżając się do magazynów, które kupił przed paroma miesiącami, dostrzegł przy bramie czarny samochód terenowy. Zwolnił. Za często widywał ten pojazd, żeby nie rozpoznać auta Cole'a Yardleya.

Dlaczego Yardley kręcił się koło tych ruder? Od lat niczego tu nie przechowywano, za parę tygodni miały być zburzone.

Chyba że agenci odkryli coś, o czym Ricky nie wiedział.

Ricky postanowił zaczekać, aż Yardley odjedzie i udał się do domu. Potem wróci i sprawdzi, co go tak zainteresowało w rozpadających się budynkach.

Cole zaklął, gdy zadzwoniła jego komórka. To musiał być ktoś z biura w Vegas. Tylko oni znali ten numer.

- Co?

- Jak słyszę, jesteś w tradycyjnie miłym nastroju - zabrzmiał głos Drew Monahana.

- Co się dzieje? - spytał Cole, rozglądając się po wielkim magazynie. Było tu ciemno, ale dostrzegał na drugim końcu stos drewnianych pudeł. Ruszył w tamtą stronę.

- Informator powiedział coś ciekawego, o czym powinieneś wiedzieć - poinformował go Monahan. Jego głos nagle zabrzmiał poważnie.

- Który? - spytał Cole, usiłując w myślach ustalić, które z ich źródeł jest najbardziej wiarygodne.

- Angel Sanchez.

Cole zamarł. Wiedział, że informacja od Angela będzie w stu procentach prawdziwa.

- I co miał do powiedzenia?

- Wydano rozkaz usunięcia kogoś, kto jest za blisko rozwiązania sprawy w Mission Creek - oznajmił Monahan.

To był cios. Musiało chodzić o niego albo o Elise. Byli najbliższymi sprawcami. O siebie się nie martwił. Przez te osiem lat w ATF wywinął się z gorszych tarapatów. Ale Elise też pracowała nad sprawą. Chociaż nie dzielili się informacjami o wynikach swoich śledztw, wiedział, że musiały być blisko znalezienia tych dowodów w dokumentach.

- Angel nie powiedział, kto wydał rozkaz?

Monahan westchnął.

- Właśnie o to chodzi. Sprawdziliśmy wszystkie kontakty stąd do Nowego Orleanu i dowiedzieliśmy się tylko tego, że polecenie przyszło z Mission Creek. Pracujemy nad tym, ale dochodzenie jeszcze trochę potrwa.

Cole odwrócił się i ruszył do wyjścia.

- Dzięki, Monahan. Jestem ci winien przysługę.

- Niejedną - odparł Monahan. - Ale to na razie nieważne. Uważaj na siebie, Yardley.

- Jasne - Cole przerwał połączenie. Chciał zadzwonić do Elise, ale w tym momencie rozładowała się bateria.

Biegiem dotarł do samochodu. Musiał wrócić do hotelu i kazać Elise siedzieć w pokoju. Będzie tam bezpieczniejsza.

Jadąc przez miasto, zastanawiał się, ile powinien jej powiedzieć. Jeśli powie o zleceniu morderstwa i będzie nalegał, żeby siedziała w hotelu, pewnie powie mu, co

sobie może zrobić z taką radą. Albo, co gorsza, weźmie broń i pójdzie szukać tego, kto wydał rozkaz.

Na samą myśl krew ścięła mu się lodem w żyłach. Nie, nie mógł jej kazać, by we wszystkim zdała się na niego. To byłoby najgorsze.

Ale jeśli jej nie ostrzeże, a coś złego się stanie, nigdy sobie nie wybaczy.

Uznał, że czas wezwać posiłki i zaparkował przed biurem szeryfa. Powie Wainwrightowi o całej sytuacji i razem wymyślą jakiś plan.

Godzinę później Cole wyszedł z biura szeryfa dużo spokojniejszy o bezpieczeństwo Elise. Wainwright wysłał do hotelu pracownika. Jack Bennett był weteranem po piętnastu latach pracy w policji Houston, niedawno dołączył do ekipy w Mission Creek i miejscowi jeszcze go nie znali. Przyjmie posadęmajster-klepki, którego poszukiwała pani Carter i zamieszka w hotelu pod pretekstem kłopotów ze znalezieniem mieszkania w mieście. Cole wiedział, że nie jest to idealny plan, ale lepszy taki niż żaden.

Elise zagryzła wargę, usiłując wymyślić sposób powiedzenia Cole'owi o swej podróży do Mezcayi. Nie ważne, jak to ujmie, i tak mu się nie spodoba. Ciągłe powtarzał, jak to dobrze, że na co dzień siedzi za biurkiem i nie naraża się na kłopoty.

Pokręciła głową i westchnęła ciężko. Była pewna, że na wieść o wyjeździe zamieni się w jaskiniowca, będzie jej próbował tego zabronić i w końcu się pokłóca. A chociaż go kochała, nie zamierzała zaniedbywać swojej pracy tylko dlatego, że Cole jest nadopiekuńczy.

Ale może gdyby zaplanowała coś specjalnego na ten wieczór, znalazła idealny moment na wyznania, okazałby się bardziej wyrozumiały. Wiedziała, że ryzykuje, ale czas mijał, a ona nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

Zadzwoiła do pani Carter, której romantyczna dusza zrozumiała wszystko. Pomogła Elise zaplanować taki wieczór, który - jak miała nadzieję - nie tylko byłby dla Cole'a przyjemny i relaksujący, ale też wprawiłby go z odpowiedni nastrój.

Kiedy półtorej godziny później Cole pojawił się w drzwiach łączących ich pokoje, przygotowały już z panią Carter altanę, a Elise przebrała się w zieloną sukienkę.

- Jaki miałeś dzień? - spytała, nagle tracąc pewność siebie. Wyglądał na zaniepokojonego. - Wszystko w porządku?

- Dzień jak co dzień - odparł, wzruszając ramionami. Wziął ją w ramiona i pocałował. - A jaki był twój, skarbie?

- Taki sobie. - Uśmiechnęła się. - Ale chciałabym ci coś pokazać w ogrodzie.

Poczuła nagłe napięcie jego ramion.

- Co takiego?

- To nic strasznego - zapewniła, odsuwając się. Czekwała, aż Cole zdejmie broń, jak to zawsze robił wieczorem w pokoju. Ale on tylko na nią patrzył.

- Co? - spytał, marszcząc czoło.

- Nie zdejmiesz broni?

Spojrzał na służbowy pistolet i pokręcił głową.

- Nie dzisiaj. Ja... No, może będę musiał iść coś sprawdzić.

Uśmiechnęła się.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytała, z góry znając odpowiedź.

- Nie.

- No to chodź ze mną - powiedziała, biorąc go za rękę.

Kiedy, wychodząc, zatrzymali się przy recepcji, pani Carter rozmawiała z mężczyzną, którego Elise nigdy dotąd nie widziała.

- Proszę, kochanie - powiedziała pani Carter, podając Elise klucz do drzwi prowadzących do ogrodu. Elise miała je zamknąć, kiedy znajdują się z Cole'em w środku, aby nikt im nie przeszkadzał. - A przy okazji przedstawię Jacka Bennetta. Zajmie się drobnymi naprawami. Powiem, żeby z samego rana naprawił ten zamek między waszymi pokojami.

Elise uśmiechnęła się. Nie zamierzała wyjaśniać pani Carter, że nawet jeśli zamek zostanie naprawiony, niczego to już nie zmieni.

- Miło cię poznać, Jack.

- A jak już się do tego zabierzesz, mógłbyś sprawdzić łańcuch na moich drzwiach? - spytał Cole, podając mu rękę. - Chyba jest trochę za luźny. I łańcuch pani Campbell też.

- Dodam to do listy spraw - skinął głową Jack.

- Bawcie się dobrze - powiedziała pani Carter, uśmiechając się od ucha do ucha.

- O co jej chodziło? - spytał Cole, gdy się oddalili.

- Zobaczysz. - Elise zaczęła, aż Cole otworzy drzwi na zewnątrz, a potem zamknęła je na klucz za nimi.

- Hej, co ty robisz? - wydawał się zaniepokojony.

- Spokojnie, jaskiniowcu. Tylko się upewniam, że nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Nie podoba mi się to zamykanie na klucz - oznajmił, rozglądając się po ogrodzie, jakby spodziewał się kogoś zobaczyć.

Ruszyła wąską ścieżką.

- Musiałeś mieć ciężki dzień.

- Dlaczego tak mówisz? - spytał, idąc za nią.

- Nigdy nie widziałam, żebyś był taki spięty. - Odwróciła się i obdarzyła go szybkim pocałunkiem. - Może spróbujesz się odprężyć?

Cole uśmiechnął się.

- Chyba będę musiał, skoro tak ładnie prosisz.

Słońce schowało się za hotelem i ogród był w cieniu. Elise uśmiechnęła się, wchodząc po schodkach do altanki. Świece zaproponowane przez panią Campbell przydadzą się idealnie.

- Co to? - spytał, zerkając na kosz piknikowy i świece na podłodze i poręczach altanki.

- Zapraszam pana na randkę, panie Yardley.

- Ale...

Położyła mu palec na wargach.

- Widać, że miałeś ciężki dzień i musisz się odprężyć.

Ale Cole musiał pozostać maksymalnie skupiony. Życie jego albo jej mogło od tego zależeć.

- Usiądź sobie na huśtawce, a ja pozapalam świece - powiedziała, zapalając długą zapałkę.

Cole usiadł na huśtawce. Nie widział innego wyjścia, jak tylko postępować wedle jej planu. Musi tylko bardzo uważać na otoczenie.

- -Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu? - spytał, podziwiająco, jak jej spódnica faluje wokół kształtnych łydek.

Elise uśmiechnęła się.

- Pomyślałam, że to będzie miła odmiana.

Zapaliła świece i wzięła kosz, a on poczuł się jak drań. Całował ją. Kochał się z nią. Ale nie uwodził jej, nie zrobił nic, by okazać, jak szczególnie był dla niego ten wspólny czas.

- Chodź tu, skarbie - powiedział, obejmując ją w tali.

Ze śmiechem dała mu się posadzić na kolanach.

- Widzę, że znowu stajesz się jaskiniowcem.

- Jak coś ci dobrze idzie, rób to jak najczęściej.

- Wyszczrzył do niej zęby. - A ty ciągle powtarzasz, że jestem prawdziwym jaskiniowcem.

Objęła go.

- Nie będę się o to kłócić. Naprawdę świetnie ci to idzie.

Pocałował jej smukłą szyję.

- Wiesz, czasami bycie neandertalczykiem ma swoje zalety.

- Jakie?

Poczuł, jak zadrżała, gdy delikatnie ugryzł płatek jej ucha.

- Wolno mi zawlec kobietę do jaskini i robić z nią, co zechcę.

- Muszę przyznać, że to też robisz naprawdę dobrze - westchnęła cicho.

- Tylko z tobą, skarbie. - Odchylił się, by spojrzeć na nią. - Masz pojęcie, jaka jesteś niezwykła?

- Ja nie - odparła. - Ty jesteś niezwykły.

Cole pokręcił głową.

- Nie. Ja jestem tylko szczęściarzem, którego obdarzyłaś swoim pięknym uśmiechem. Jesteś najbardziej niezwykłą, namiętą kobietą jaką spotkałem i przysięgam, że twoje pocałunki są uzależniające.

Pocałował ją. Kiedy odwzajemniła pocałunek, jego ciało zareagowało gwałtownie. Był podniecony i pragnął jej bardziej, niż czegokolwiek w życiu. Żadna inna kobieta nie działała na niego tak, jak Elise. Wystarczyło, że się do niego uśmiechnęła, dotknęła jego dłoni, a jego hormony szalały.

Może znalazłby jakiś sposób, by walczyć z pożądaniem i zapanować nad swoim ciałem, gdyby spokojnie leżała w jego ramionach i tylko dawała się całować. Ale kiedy wyciągnęła jego koszulkę z dżinsów, by położyć mu dłoń na brzuchu, a potem na bijącym mocno sercu, zapomniał o wynajętych mordercach i niebezpieczeństwie, w którym oboje mogli się znajdować.

- Skarbie, jeśli nie przestaniesz, nie mogę odpowiadać za to, co się wydarzy - wychrypiął, przerywając pocałunek.

- To nie odpowiadaj. - Uśmiechnęła się.

Cole zamknął oczy, walcząc z pragnieniem wzięcia jej tutaj, zaraz. Ale ona najwyraźniej miała inne plany.

- Elise, co ty robisz? - zapytał, gdy rozpięła mu pasek. Pożądanie, które widział w jej szmaragdowych oczach, zdradziło mu dokładnie, o co jej chodzi. - Nie sądzę... żeby to był dobry pomysł.

Rozpięła mu rozporek.

- Masz rację, to nie jest dobry pomysł. To świetny pomysł.

Cole usiłował sobie przypomnieć, dlaczego jest temu przeciwny, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Dał sobie spokój. Kochanie się z Elise było dla niego tak naturalne, jak oddychanie.

Pocałował ją znowu. Wsuwając ręce pod jej spódnice, pogładził jej kolano, udo, dotknął majteczek. Wsunął palce do środka i pogładził ją delikatnie. Była gotowa, co sprawiło, że serce zabiło mu gwałtownie. Uniosła biodra, by mógł się pozbyć kawałka jedwabiu i koronki, a jej zaufanie sprawiło, że stracił resztki samokontroli.

Ale kiedy delikatnie pogładziła twarde wybrzuszenie w jego bokserkach, zamknął oczy i zacisnął mocno zęby.

- Skarbie, może będzie lepiej, jeśli od razu przestaniez.

- Dlaczego? - Była równie podniecona jak on.

Otworzył oczy i rzucił jej znaczące spojrzenie.

- Bo jeśli dalej mnie będziesz tak dotykać, nie wytrzymam trzech sekund. - Chwycił jej dłonie i podniósł do warg. - Daj mi chwileczkę.

Posadził ją obok siebie na huśtawce, wyciągnął z tylnej kieszeni portfel, a z niego prezerwatywę. Potem chwycił ją znów w ramiona i posadził okrakiem na swoich biodrach. Sukienka Elise opadła na nich jak jasnozielona chmura, gdy połączyli się ze sobą.

Cole miał wrażenie, że odnalazł swoją drugą połowę. Pojawiły się uczucia, których nie mógł jeszcze rozpoznać, nie był na to gotowy. Starał się nawet o nich nie myśleć. Rozkołysał huśtawkę. Ich ciała poruszały się

w rytm kołyszącej się huśtawki. Przytulił ją mocniej do siebie i poczuł, jak ogarniają fala rozkoszy. Znalazł się tam zaraz po niej.

Oddychając ciężko, zamknął oczy. Podjął duże ryzyko, kochając się tak z nią na dworze i gdyby coś się stało, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Pocałował Elise, wkładając w to wszystkie uczucia, których nie umiał wypowiedzieć, po czym pomógł jej wstać. Poprawiła ubranie, a on zdmuchnął świece.

- Zabierzmy to do mojej jaskini, skarbie - powiedział, biorąc kosz piknikowy i chwytając Elise za rękę. - Chcę cię teraz kochać powoli i z pewnością nie na huśtawce.

- Moim zdaniem huśtawka była bardzo inspirująca - powiedziała Elise z uśmiechem, który znowu podniósł mu ciśnienie.

Szybko pocałował jej miękkie wargi i pociągnął ją za sobą w stronę hotelu.

- Poczekaj, aż dotrzemy do pokoju. Znajdziemy nowe inspiracje.

Nie tylko chciał znaleźć się z nią w budynku, gdzie było bezpieczniej, ale chciał kochać się z nią na sposoby niemożliwe na huśtawce w altanie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ricky Mercado uznał, że będzie lepiej, jeśli jego samochód nie zostanie zauważony w okolicy magazynów tego samego dnia, w którym Yardley się tam kręcił. Zaparkował więc koło budynku Mercado Trucking Company. Benito Pascal, szef, przyzwyczyił się, że Ricky tam parkuje, ile razy wyjeżdża z miasta. Oczywiście było to dawno temu, zanim oficjalnie opuścił rodzinę i zabrał się do prostowania swojego żałosnego życia. Ale Benito nic to nie będzie obchodzić. Jak wszyscy inni uzna po prostu, że Ricky naprawdę wcale nie oszczędził i pojechał załatwiać jakieś sprawy dla Valentego.

Ricky zaklął pod nosem. Co za bzdura!

Sięgnął do schowka po niewielką latarkę i wysiadł. Ruszył na parusetmetrowy spacer w stronę magazynów. Mijając stację benzynową - jedyną między Mission Creek a Laredo - uważał, by trzymać się w cieniu. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, że kręci się tu po ciemku, nawet jeśli zamierzał sprawdzić należące do niego budynki.

Odgłos jego kroków, gdy szedł po zwirowej drodze do pierwszego magazynu zakłócił nocną ciszę i wywołał przypływ niepokoju. Zignorował to.

Niełatwo było go przestraszyć. Miał za sobą pobyt j

w dżungli pełnej partyzantów, nocą, wśród roślinności tak gęstej, że wokół panowała kompletna ciemność i nie widział własnej ręki na pięć centymetrów od własnego nosa. Co się z nim teraz dzieło?

Dzisiaj coś mu nie pasowało. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go obserwuje, odkąd zaparkował samochód.

Zmrużył oczy i rozejrzał się wokół. Nic nie widział, ale to nie znaczyło, że nikt się nie chowa w którymś z budynków lub za nimi.

Zatrzymał się przy wyrwanych drzwiach pierwszego budynku i rozświetlił latarką jego wnętrze. Przestraszył tym pancernika kopiącego pod stosem butwiejących desek. Jednak oprócz niego nic ciekawego nie zauważył.

Wciąż czując się, jakby ktoś go śledził, Ricky ruszył do drugiego magazynu, uważając na jakikolwiek ruch, na cienie kryjące się w ciemnościach. Gdy otworzył drzwi, by zajrzeć do środka, usłyszał głuchy stuk i jednocześnie poczuł oślepiający ból z tyłu głowy. Latarka wypadła mu z ręki i opadł na kolana, a potem na ziemię. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, nim ogarnęła go ciemność, był snop światła latarki, która wylądowała nieco dalej.

- Obudź się, ty przeklęty sukinsynu.

Ktoś uderzył Ricky'ego w twarz z obu stron. Ból eksplodował za zamkniętymi powiekami i pomógł mu oprzytomnieć.

- K-kim... do cholery... jesteś? - zapytał, wolno otwierając oczy.

Jego powieki ważyły tonę i z największym wysiłkiem powstrzymał się od powrotu w niebyt. Nastąpiła kolejna eksplozja bólu, gdy ten, kto usiłował go obudzić, znowu go uderzył.

- Powiedziałem, że masz się obudzić - rozległ się czyjś głos koło twarzy Ricky'ego. Nieświeży oddech mężczyzny sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

Otworzył oczy. Pokój zawirował. Kiedy wreszcie zdołał skupić wzrok na twarzy obcego, odkrył, że patrzy prosto w najzimniejsze oczy, jakie w życiu widział. Były to lodowato niebieskie, bezlitosne oczy mordercy.

- Nie możesz go po prostu załatwić i mieć to z głowy? - zapytał drugi głos gdzieś poza plecami Ricky'ego.

Wynajęci mordercy. Ale kto wyznaczył cenę za jego głowę? I dlaczego? Ricky próbował się odwrócić i zobaczyć, kto jest za nim, ale nie mógł się ruszyć. Wtedy zrozumiał, że drań trzyma mu ręce za plecami. Ricky czuł, że tamten jest niższy od niego i spróbował się uwolnić. Jednak mężczyzna był bardzo silny i starania Ricky'ego na nic się nie zdały.

Ricky spojrział znowu na zimnookiego i przyjrzał się przeciwnikowi. Był mniej więcej jego wzrostu i wagi, w dodatku w niezłej formie.

- Kto was wynajął? - spytał Ricky. Musiał zyskać trochę czasu, zdobyć przewagę. Jeśli jej nie zdobędzie, ; stanie się niebawem martwy.

Zimnooki pokręcił głową.

- Nie twój interes. - Zwinął rękę w pięść, która wylądowała mocno na szczęcie Ricky'ego. - Ale kazał nam

trochę uszkodzić tę twoją buźkę, zanim cię wykończymy. - Kolejny cios wylądował na nosie i ustach Ricky'ego.

Poczuł, jak coś spływa mu z nosa. W ustach poczuł słony smak własnej krwi.

- A powiedział dlaczego?

- Nieważne - odpowiedział Mały. - Zapłacił najwyższą cenę.

Ricky usiłował znaleźć sposób na wydostanie się z uścisku prześladowcy. Jeśli się nie uwolni, i to szybko, nie ma najmniejszych szans.

Przewidział następny cios i odwrócił głowę, tak że pięść musnęła tylko jego policzek. To jeszcze bardziej rozwścieczyło mordercę. Podeszedł bliżej i wbił mu łokieć w brzuch.

Ricky zgiął się i jego ciężar okazał się za duży dla trzymającego go mężczyzny. Kiedy opadł na czworaki, zimnooki kopnął go w bok.

Ricky zacisnął zęby z bólu i czekał. Kiedy morderca chciał go znowu kopnąć, dostał szansę, na którą czekał. Chwycił but napastnika i szarpnął. Mężczyzna padł obok niego na podłogę, a Ricky podniósł się na kolana, by przyłożyć mu pięścią w brzuch, po czym spróbował wstać, gdy tamten usiłował złapać oddech.

Wtedy drugi napastnik uderzył go czymś w tył głowy. Ricky zobaczył gwiazdy pod powiekami. Zdołał się odwrócić i przyłożyć niższemu bandycie w twarz, wpychając go na stos desek.

Zignorował ból w dłoni i rzucił się w stronę drzwi. Usłyszał syk kuli wystrzelonej z broni z tłumikiem, gdy

świsnęła mu koło ucha. Skulił się. Wypadł przez drzwi, półprzytomny. Musi być szybki, inaczej nie ujdzie z życiem. Biegł z wysiłkiem i odruchowo zwrócił się w stronę odległych światła.

Miał tylko jedną szansę na milion, ale musiał dotrzeć do stacji benzynowej.

Elise ogarnęła złość. Zamierzała w nocy powiedzieć Cole'owi o wyjeździe do Mezcayi. Jednak on tak uparcie odrzucał wszystkie próby rozmowy o śledztwie, że w końcu dała spokój. Poprzedniej nocy także nie dał jej zbyt wielu okazji do rozmów.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak spędzili wieczór i większą część nocy.

Kiedy obudziła się rano, jego już nie było. Zostawił jej na poduszce kartkę, że za nią bardzo tęskni i wróci na obiad. Ale ona będzie wtedy na lotnisku w Corpus Christi.

Zerknęła na zegarek, westchnęła i otworzyła szufladę biurka. Nie dał jej numeru komórki, musiała więc zostawić mu liścik. Szybko zapisała informacje o wyjeździe i kiedy wróci. Włożyła list do koperty i zakleiła ją.

Gdzie to zostawić? zastanawiała się, rozglądając się po pokoju. Lepiej nie ryzykować, że Cole przeoczy list, złapała torbę i wyszła do holu. Zostawi go pani Carter. Elise nie miała najmniejszych wątpliwości, że właścicielka hotelu z całą pewnością wręczy Cole'owi list, jak tylko ten się pojawi.

- Pani Carter, czy mogłaby pani wyświadczyć mi ogromną przysługę? - zapytała, podchodząc do recepcji.

- Ależ oczywiście, kochanie. Czego ci trzeba?

Elise podała jej kopertę.

- Muszę wyjechać na parę dni. Jeśli to nie za duży kłopot, to czy mogłaby pani dać to agentowi Yardleyowi, kiedy wróci na obiad?

- Bardzo chętnie - odparła pani Carter, wsuwając kopertę do kieszeni. Elise nie miała wątpliwości, że będzie niecierpliwie czekać na przybycie Cole'a.

- Dziękuję, pani Carter.

- To żaden problem, kochanie. - Oczy pani Carter rozbłyły. - A swoją drogą, jak poszło wczoraj? Podobał mu się piknik w altance?

Elise tylko się uśmiechnęła i skinęła głową. Nie mogła powiedzieć pani Carter, jak bardzo Cole'owi się podobał wczorajszy piknik, nie wprawiając jej w osłupienie.

- Muszę pędzić, pani Carter. Będę wdzięczna, jeśli odda pani list Cole'owi... agentowi Yardleyowi.

Zadzwoił telefon. Pani Carter sięgnęła po słuchawkę, żegnając Elise machnięciem ręki.

- Nie martw się, kochanie, dam mu go, jak tylko stanie w drzwiach.

Kiedy Cole zaparkował przed hotelem, poczuł jakby ktoś dzielił go w głowę. Samochodu Elise nigdzie nie było widać.

Odetchnął głęboko, mówiąc sobie, że to jeszcze nie znaczy, iż coś jej się stało. Detektyw Bennett od Wainwrighta był w hotelu jako człowiek do wszystkiego i wiedział, że jeśli Elise z jakiegoś powodu wyjdzie, ma nie spuszczać jej z oka.

Jednak gdy Cole wszedł do hollu i zobaczył Bennetta za stołem w recepcji, poczuł, jak lodowata dłoń ściska mu serce.

- Gdzie u diabła jest Elise... agentka Campbell?
Bennet wyglądał na zdumionego.

- W swoim pokoju.

Cole pokręcił głową i ruszył do drzwi.

- Nie ma jej wozu.

Detektyw ruszył za nim.

- Niemożliwe. Stoję tutaj, odkąd pani Carter dowiedziała się, że jej córka w Houston zaczęła rodzić przed czasem. - Wszedł z Cole'em do windy. - Od rana nikt nie wszedł ani^s nie wyszedł.

- A zanim pani Carter się dowiedziała o porodzie?
- spytał Cole, wciskając guzik trzeciego piętra. - Wiedziałeś, żeby wtedy ktoś wychodził?

Bennett pokręcił głową.

- Byłem w holu, odkąd rano wyszedłeś. Tylko raz, kiedy... - zaklął gwałtownie. - Pani Carter kazała mi iść do ogrodu po świece, które ktoś zostawił w altance.

- Pokręcił głową. - Nie było mnie może z pięć minut.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Cole biegiem ruszył korytarzem. Modlił się, żeby Elise była w swoim albo jego pokoju. Szybko otworzył drzwi.

- Elise? - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział.

Otworzył drzwi między pokojami. Od razu dostrzegł, że ten pokój też jest pusty. Zajrzał do szafy. Wszystkie jej ubrania wisały w schludnym rzędzie. Kalkulator wciąż leżał na biurku przy stosie wydruków.

- Gdzie, do diabła, ona jest? - spytał, nie spodziewając się właściwie odpowiedzi od Bennetta.

Wrócił na korytarz i wyjął z kieszeni paragon ze sklepu. Wyciągnął pióro z kieszeni koszuli Bennetta, który wciąż deptał mu po piętach.

- To moja komórka - powiedział, zapisując numer.
- Zostań tutaj i daj mi znać, jak tylko Elise wróci.

- A ty dokąd idziesz? - zapytał, biegnąc za nim.

- Przewrócę Mission Creek do góry nogami, aż ją znajdę - odpowiedział, otwierając drzwi na schody. Nie zamierzał czekać na tę powolną windę. Musiał znaleźć Elise, zanim zrobi to ktoś inny.

Dwadzieścia minut później Cole jechał główną ulicą Mission Creek, szalejąc z niepokoju. Myślał, że Elise mogła pojechać do banku po kolejne wydruki. Jednak dyrektor twierdził, że nie widział jej od paru dni. Potem sprawdził klub golfowy, w nadziei że może chciała popływać albo poćwiczyć. Ale na parkingu nikt nie widział samochodu w tym kolorze.

Gdzie ona, u diabła, mogła być?

Zatrzymał się w biurze szeryfa i powiedział Justynowi Wainwrightowi, że Elise zniknęła i poprosił o uznanie jej za zaginioną. Potem zadzwonił do Bennetta, żeby sprawdzić, czy wróciła. Nie wróciła.

Jadąc z powrotem przez miasto, zerknął na zegarek. Musiał szukać Elise, ale musiał także skończyć śledztwo w magazynach, zanim nakaz straci ważność.

Zaklął i ruszył na zachodni kraniec miasta. Sprawdzi budynki i zabierze się znowu do poszukiwania Elise.

Elise zeszła po schodkach z samolotu. Upał i wilgoć w powietrzu były nie do wytrzymania. Spojrzała na niewielką grupkę ludzi, którzy wyszli do samolotu, ale była zbyt podniecona, by coś zauważyć. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracować w FBI, wykonywała zadanie pod przykrywką - zawsze o tym marzyła.

- *Senorita*

Podszedł do niej mężczyzna ubrany jak wieśniak. Był niski i żylasty, miał na sobie luźne, przybrudzone białe spodnie i niewiele czystszą koszulę. Szarmanckim gestem zdjął z głowy brudny biały kapelusz, odsłaniając potargane czarne włosy.

- Czy nie trzeba pomóc z torbą? - zapytał z silnym akcentem.

Elise uśmiechnęła się i pokręciła głową, dalej się rozglądając za współpracownikiem, który miał na nią czekać.

- Nie, dziękuję.

- A może *señorita* potrzebuje przewodnika? - spytał. - Jorge jest *excelente*. Tylko dwadzieścia amerykańskich dolarów, żeby zobaczyć czerwonego motyla.

- Nie.

- Czerwony motyl jest rzadki w Mezcayi.

- Dziękuję za propozycję, ale nie - powiedziała bardziej zdecydowanie.

- Lot czerwonego motyla jest *muy hermoso* - dodała. Zaczynał ją denerwować swoim natręctwem.

- Powiedziałam: nie.

Pochylił się w jej stronę i powiedział tak cicho, że nikt inny nie mógł usłyszeć:

- Słuchaj, Campbell, może byś tak zaczęła współpracować, co? - spytał bez śladu obcego akcentu. - Trzy razy ci podałem hasło.

Elise zamruwała powiekami. Tak się skupiła na szukaniu swojego kontaktu, że w ogóle go nie słuchała.

- Przepraszam.

Czuła się jak skończona idiotka. Ale kiedy chciała coś jeszcze dodać, mężczyzna lekko pokręcił głową, ostrzegając, by uważała, co mówi. Ale z niej tajna agentka.

- Nie, dziękuję, Jorge, nie interesują mnie czerwone motyle. Reprezentuję firmę importową i potrzebuję przewodnika po miejscowych wioskach. Wiesz może, gdzie mieszkańców interesowałaby sprzedaż koszyków i ceramiki?

- Si, *señorita* - odpowiedział, szczerząc zęby i znowu wpadając w ciężki akcent. - Jorge Cortez zna dużo takich wiosek.

Elise skinęła głową, zadowolona, że nie spaliła ich do końca.

- W takim razie zatrudniam cię jako przewodnika i tłumacza, Jorge.

Cortez uśmiechnął się i sięgnął po jej torbę.

- Proszę za mną, *señorita*. Jorge zabierze panią do Tierra del Loro, krainy papug.

Dwie godziny później Elise trzymała się z całych sił, gdy Jorge wjechał antycznym dżipem w kolejną dziurę na drodze w góry. Jechali głębiej w dżunglę, niż się spodziewała, i zaczynała się zastanawiać, w co się właściwie pakuje. Jednak gdy skręcili, Jorge zatrzymał się nagle na polanie pełnej chatek.

Wstrzymała oddech, czując przypływ adrenaliny. Pośrodku maleńkiej wioski stała ciężarówka, a dookoła niej mężczyźni. Obok wozu z logo Mercado Trucking walało się kilka kartonowych pudeł na owoce. A z przyczepy właśnie wyciągano ciężkie, drewniane skrzynie z bronią.

Tak się skupiła na tej scenie, że dopiero po chwili zauważyła długą lufę wycelowaną prosto w swój nos. Na drugim końcu karabinu znajdował się groźnie patrzący wieśniak. Nie wyglądał na zachwyconego spotkaniem.

Kiedy Cole mijał drugi magazyn, kierując się w stronę tego z łańcuchem i kłódką, natychmiast zauważył, że coś się zmieniło. Wczoraj drzwi były zamknięte, krzaki przed nimi nienaruszone. Dzisiaj były otwarte na oścież, a krzak zdeptany.

Wyjął latarkę i ostrożnie wszedł do budynku. Gdy się rozglądał, poczuł mrowienie na karku. Na klepisku z ubitej ziemi widział dwie rysy wiodące od drzwi do środka pomieszczenia, jakby kogoś tu ciągnięto po ziemi. Były też wyraźne ślady walki.

Szybko odpiął kaburę, gotów wyjąć broń w każdej chwili. Rozglądając się, zauważył coś kilka metrów dalej i wstrząsnął nim zimny dreszcz. Wyjął z kieszeni lateksową rękawiczkę i przykląkł. Dotknął ciemnej plamy, po czym poświecił latarką na lepką substancję na palcach rękawiczki.

Serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. To była krew!

Uważając, by nie zatrzeć śladów walki, Cole wyszedł na dwór. Ledwo mógł oddychać. Sięgnął po komórkę.

Czy płatny morderca porwał rano Elise z hotelu? Przywiózł ją tu do magazynów? A jeśli tak, to czy...

Cole nie był w stanie dokończyć tej myśli. Wystukał numer szeryfa.

- Wainwright, zadzwoń do laboratorium, niech przyślą wóz do magazynów po zachodniej stronie miasta - powiedział.

- Yardley, co się dzieje...?

- Możliwe, że mamy... - Cole przełknął z trudnością ślinę, zanim wypowiedział to słowo - ...morderstwo.

- Jest ciało? - spytał Wainwright. - Ściągać koronera?

- Nie... jeszcze nie jestem pewien - stwierdził Cole, usiłując zachować spokój. - Zaraz przeszukam teren.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole spojrział w lustro nad umywalką w łazience, ledwo rozpoznając mężczyznę, którego w nim zobaczył. Potarł trzydniowy zarost pokrywający policzki. Oczy miał tak czerwone z niewyspania, że wyglądał jak po tygodniowym picciu, i tak podkrążone, jakby były podbite. Odetchnął głęboko, z trudem walcząc z chęcią przyłożenia pięścią twarzy w lustrze.

Nienawidził mężczyzny w lustrze. To jego wina, że i Elise zniknęła. Gdyby był bardziej opiekuńczy, bardziej czujny, nie zaginęłaby przed trzema dniami. Byłaby tutaj, w jego ramionach, gdzie jej miejsce. Poczł przy-
pływ uczuć tak silny, że ścisnęły mu gardło. Zamknął oczy i zacisnął zęby. Dlaczego nie powiedział Elise, co do niej czuje? Czemu był takim tchórzem?

Miał mnóstwo okazji, by powiedzieć, że ją kocha, że jest w jego życiu najważniejsza i że chce, by zawsze była przy nim. Ale odkładał to. Przekonał sam siebie że to za wcześnie, że tylko skomplikowałyby sprawy. Ale tak naprawdę tylko siebie okłamywał. Kochał Elise całym sercem i duszą i oddałby wszystko za jeszcze jeden dzień, godzinę, by ją przytulić i powiedzieć, jak bardzo ją pokochał.

Cole zmusił się, by otworzyć oczy i odetchnąć raz i drugi. Poszedł do sypialni, usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Czy właśnie tak czuł się ojciec, kiedy stracił matkę? Przeszedł przez takie piekło?

Jeśli czuł to samo, co Cole w tej chwili, to nic dziwnego, że już nigdy się nie ożenił. Cole wiedział z całą pewnością, że żadna kobieta nie mogłaby zastąpić Elise w jego życiu, sercu, duszy. Reszta egzystencji bez niej będzie tylko piekłem na ziemi.

Kiedy zadzwonił telefon na nocnym stoliku, podskoczył, po czym patrzył na niego przez kilka długich sekund. Nie był pewien, czy chce wiedzieć, kto dzwoni i co ma do powiedzenia. Laboratorium ciągle badało DNA, by sprawdzić, czyją krew znaleziono w magazynie. Jeśli należała do Elise, Cole nie chciał usłyszeć słów potwierdzających, że nie ma już nadziei.

Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy, zanim Cole zdobył się na odwagę.

- Co?

- Yardley? - odezwał się Justin Wainwright. - Masz straszny głos.

- Pewnie dlatego, że tak się czuję - odparł Cole.

- Czego chcesz, Wainwright?

- Mam wiadomość, która cię zainteresuje - oznajmił szeryf.

- Znalazłeś Elise? - spytał Cole bez przekonania, czy chce znać odpowiedź.

- Jeszcze nie - zapewnił szybko Wainwright. - Ale spokojnie, Yardley. Może się jeszcze znajdzie cała i zdrowa.

Cole w to nie wierzył i Wainwright też nie. Zlecenie zabójstwa kogoś, kto zbyt się zbliżył do rozwiązania sprawy przemytu broni i zniknięcie Elise - to nie mógł być przypadek.

Zamknął oczy, usiłując opanować ponure przeczucia.

- No to co masz do powiedzenia? - wykrztusił w końcu.

- Wstępny raport z laboratorium...

- Co mówi? - przerwał Cole. - Wyklucza, że krew w magazynie mogła być Elise?

- Nie.

W takim razie Cole'a nie obchodziło, co jeszcze jest w głupim raporcie.

- No to mnie nie interesuje.

- I tak ci powiem - uparł się Wainwright. - Ekipa znalazła więcej krwi parę metrów od miejsca, gdzie były ślady walki. Według wstępnych badań to inna krew.

- To znaczy tylko, że ktoś z kimś walczył - odparła Cole zmęczonym głosem. Tego by się spodziewał po Elise. Nauczono ją bronić się w każdej sytuacji.

- Jasne. To już wiemy, skoro były ślady walki - zgodził się Wainwright. - Ale odkryliśmy właśnie, że w magazynie ktoś wystrzelił z kalibru 9 milimetrów.

- Znaleźliście pocisk? - spytał Cole.

- Jeszcze nie.

- No to co znaleźliście?

- Łuskę wewnątrz magazynu i jeszcze parę na żywej drodze.

- Chyba ktoś próbował uciekać - podsumował Cole, bojąc się rozbudzać w sobie nadzieję. Jeśli Elise była

bezpieczna, to dlaczego nie było jej w hotelu, w jego ramionach i jego łóżku?

- Tak nam się wydaje - potwierdził szeryf.

- I tyle?

- Na razie tak. - Wainwright westchnął ciężko. - Yardley, wytrzymasz?

Nic nigdy już nie będzie dobrze. Nie bez Elise przy jego boku.

- Jakoś przeżyję - skłamał Cole.

Cole usiadł na huśtawce, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie. Nie miał pojęcia, dlaczego wyszedł do ogrodu. Po prostu nie miał dokąd iść. Wczoraj Wainwright zabronił mu pokazywać się na miejscu zbrodni po tym, jak doprowadził ekipę niemal do szału, powtarzając im, by nic nie przeoczyli i tłumacząc, czego mają szukać. Po telefonie od szeryfa z informacją, że znaleźli łuski z broni w magazynie i dookoła, Cole zaczął mieć wrażenie, że ściany się nad nim zamykają.

Rozglądając się po altance uznał, że popełnił jednak duży błąd. Było tu zbyt wiele wspomnień o jego ukochanej. Śladów kobiety, której może już nigdy nie zobaczyć.

Jego serce zacisnęło się boleśnie i musiał zamknąć oczy. Wzjął głęboki oddech, potem drugi. Jak on będzie żył bez niej?

- Cole, co ty tu robisz?

Dźwięk kobiecego głosu sprawił, że całe powietrze uszło mu z płuc. Otworzył oczy, ale nie mógł im uwierzyć. Jednak nie odważył się mrugnąć, bojąc się, że wizja idącej ku niemu Elise mogłaby zniknąć.

- E-Elise? - wykrztusił. Próbował wstać, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Czy to była naprawdę ona, żywa? A może tak bardzo chciał ją zobaczyć, że w końcu oszalał?

- Kochanie, co się stało? - spytała, wbiegając na schodki altanki. - Jesteś okropnie błądy. Nic ci nie jest?

Cole chwycił ją za ramiona, posadził sobie na kolanach i objął mocno. Czuł dotyk jej miękkiego ciała, delikatną dłoń gładzącą go po karku i to go w końcu przekonało, że to nie sen. Zadrżał i wysłał do nieba milczącą modlitwę dziękczynną.

Odchylił się, by spojrzeć na jej piękną twarz. Tylko mały kawałek gazy przyklejony plastrem nad brwią i siniak na podbródku świadczyły o tym, przez co musiała przejść.

- Mój Boże, Elise, myślałem, że nie żyjesz - wyszeptał z trudem;

Położyła mu dłonie na policzkach i z uśmiechem pokręciła głową.

- Przykro mi, że się martwiłeś. Mało brakowało, ale na szczęście Jorge szybko działa. Ale skąd wiedziałeś?

- Jorge? Pomógł ci uciec? - spytał Cole, przyciskając wargi do bandaża na jej czole.

- To dzięki niemu wydostaliśmy się stamtąd - pokiwiała głową. - Okazało się, że kompletnie głupieję, kiedy ktoś mi podstawia lufę pod nos.-

Cole nie miał pojęcia, kim był Jorge, ale miał zamiar znaleźć go i osobiście podziękować za pomoc w ucieczce Elise.

- Tak mi przykro, skarbie. To wszystko moja wina.

- Niby dlaczego? - zdziwiła się. - Nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Wiedziałem o wynajętych mordercach... ale nic nie powiedziałem - wyjaśnił. - Myślałem, że dzięki temu będziesz bezpieczna. Wybaczysz mi?

- Mordercach? Tu, w Mission Creek?

Skinął głową, a sens jej słów docierał do niego powoli.

- Nie porwali cię?

- Nie. - Zmarszczyła czoło. - Dlaczego tak myślałeś?

- Kiedy znalazłem krew w magazynie... - Cole urwał. - Jeżeli nie porwali cię mordercy, to gdzie ty się podziewała przez trzy dni?

- Byłam w Mezcayi. Pani Carter nie dała ci...

Cole nagle posadził ją obok siebie na huśtawce i zerwał się na równe nogi.

- Mówisz, że sama tam pojechałaś? Sama? W miejscu, gdzie o życiu decyduje ten, kto ma większy karabin i umie go używać?

- Tak, ale...

- A ja tu wariowałem na myśl, że coś ci się stało albo nie żyjesz?

- Nie wiedziałam, że...

- Masz pojęcie, co się mogło stać? Jak niebezpieczny jest w kraju, którym rządzą terroryści z El Jefe?

Elise patrzyła na Cole'a chodzącego tam i z powrotem. Nigdy nie widziała go tak wściekłego.

- Jeśli przestaniesz rzucać pytaniami i dasz mi wyjaśnić, to zaraz się dowiesz, co robiłam.

- Wyjaśnić? - wrzasnął. - Jak możesz wyjaśnić, że nie powiedziałaś mi, dokąd jedziesz?

Teraz Elise była wściekła.

- To bardzo proste - oznajmiła, z trudem zachowując spokój. - Wiedziałam, że ci odbije, jak teraz. Ale próbowałam ci powiedzieć.

- Kiedy? - Pokręcił głową. - Nie pamiętam, żebyś wspominała o wycieczce do Mission Creek, nie mówiąc o innych krajach.

- Próbowałam ci powiedzieć tutaj, w altance, ale miałeś co innego w głowie.

- Mogłaś mi powiedzieć później - oznajmił odrobinię spokojniej.

- Wyszedłeś, zanim się obudziłam - przypomniała mu.

- Ale nie pomyślałaś, jakie piekło będę przeżywał, nie wiedząc, gdzie jesteś i co się stało?

Wstała z huśtawki. Nie miał prawa jej tego wypominać, kiedy sam zataił informację o płaatnym mordercy w Mission Creek.

- Ty mi nie powiedziałaś, że w mieście jest zawodowy morderca.

- To co innego - oświadczył z uporem.

- Naprawdę? Moim zdaniem nie, jaskiniowcu. Specjalnie zataiłeś to przede mną. Poza tym zostawiłam ci list wyjaśniający, gdzie jestem i po co wyjechałam.

- List? - Pokręcił głową. - Przeszukałem swój pokój i twój od góry do dołu, szukając jakichś wskazówek. Gdyby tam był, to bym go znalazł.

- To znaczy, że pani Carter nie dała ci listu? - spy-

tała Elise, zaczynając rozumieć, dlaczego Cole był taki wściekły. - Obiecała, że da ci go, jak tylko przyjdiesz na obiad.

- Pani Carter miała poważne kłopoty rodzinne, zanim dotarłem - powiedział, nagle zmęczony. Usiadł na huśtawce, - Cały weekend była w Houston.

Część złości Elise zniknęła.

- To wyjaśnia, dlaczego nie wiedziałeś, gdzie jestem. - Usiadła obok niego. - Ale nie usprawiedliwia zatajenia przede mną informacji o mordercy.

- Informator powiedział nam, że zlecono zabicie kogoś, kto jest za blisko rozwiązania sprawy przemytu - powiedział. Potarł twarz rękami i spojrzał jej w oczy. - Bałem się, że coś ci się może stać.

Kiedy przyglądała się jego twarzy, zrozumiała w końcu, dlaczego Cole wyglądał tak okropnie i był taki wściekły. Ale chciała, żeby sam to powiedział.

- Dlaczego, Cole? Dlaczego się bałeś, że to chodziło o mnie?

Zamknął oczy na kilka długich sekund. Kiedy je otworzył, straciła dech na widok emocji, jakie w nich dostrzegła.

- Bo cię kocham, Elise. Chyba cię kochałem od chwili, w której cię zobaczyłem dwa lata temu w El Paso. Tylko byłem zbyt uparty i arogancki, żeby to zrozumieć, póki nie zacząłem myśleć, że cię straciłem.

- Och, kochanie, ja też cię kocham. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Mówiłam sobie, że takiego jaskiniowca nie mogę nawet tolerować. Ale tak naprawdę to zakochałam się w tobie także w El Paso.

Jęknął i chwycił ją w ramiona. Siedzieli tak kilka minut, szczęśliwi.

- Chcesz posłuchać o mojej wycieczce do Mezcayi?
- zapytała. Nie była pewna, jak zareaguje, ale uważała, że nie powinno być między nimi więcej tajemnic. Ani osobistych, ani zawodowych.

Czuła, jak napięły się jego mięśnie.

- Tak, lepiej mi opowiedz wszystko o Jorge i lufie podsunętej ci pod nos. - Pocałował ją w czubek głowy.

- Będę musiał zdecydować, czy podziękować mu, że cię uratował, czy skopać tyłek, bo cię w coś takiego wpakował.

Elise wyjaśniła, że Jorge Cortez był jej kontaktem w Mezcayi i opowiedziała o wyprawie do Tierra del Loro.

- To nie jest miasto, raczej teren, na którym El Jefe rządzi paroma małymi wioskami.

- I ten idiota cię tam zabrał? - Cole zdecydował, że lepiej będzie się z nim nie spotykać. W przeciwnym razie mógłby Corteza uszkodzić.

- Jorge nie mógł wiedzieć, że w pierwszej wiosce będą akurat rozładowywać transport broni - powiedziała szybko.

Cole'owi krew się ścięła w żyłach na myśl o tym, co mogło się stać.

- I jak ten cały Jorge was wydostał? - spytał, niepewny, czy w ogóle chce wiedzieć.

Elise uśmiechnęła się.

- Powiedział im, że jestem misjonarką z innej wioski, na drugim końcu Tierra del Loro i że chciałam ich błagać o jedzenie dla sierot.

- I uwierzyli? - spytał Cole, dotykając palcem sińca na jej podbródku.

- No, z początku nie - przyznała. - Wyciągnęli nas z dżipa i pytali, skąd wiedzieliśmy, że w tej wiosce będzie żywność. - Pokręciła głową. - Ale Jorge wytłumaczył im, że jeździmy od wioski do wioski, błagając o cokolwiek dla głodnych dzieci. A potem oznajmił, że jest lojalny wobec jakiegoś Gonzaleza i El Jefe i nawymyślał na aktualny rząd. Wtedy pozwolili nam zabrać parę skrzynek warzyw i odprowadzili do drogi.

- Skoro to takie proste, to dlaczego masz siniaka na brodzie i opatrunek na czole? - Cole wstrzymał oddech, gdy się zawahała. Chyba nie spodoba mu się odpowiedź.

- Kiedy odjeżdżaliśmy, pokazał się Gonzalez.

Serce Cole'a zamarło. Gonzalez był krwiożerczym małym szczurem, który nieraz udowodnił, że nie ceni ludzkiego życia.

- I co się wtedy stało?

- Gonzalez zaczął wrzeszczeć na ludzi, którzy nas puścili i kazał nas zatrzymać. - Zadrżała w jego objęciach. - Wtedy Jorge wcisnął gaz i próbował im uciec.

- Próbował? - Cole przełknął z trudem.

Skinęła głową.

- Opona nam poszła na dziurze. No i musieliśmy porzucić samochód i iść pieszo przez dżunglę.

- Rany Boskie, Elise, gdybym o tym wiedział...

Położyła palec na jego ustach.

- Wszystko było dobrze, tylko potknęłam się o lianę i wpadłam na drzewo. - Uśmiechnęła się. - Jorge orientował się, gdzie jesteśmy i jak wrócić do cywilizacji.

Cole tulił ją i myślał, że mało brakowało, by faktycznie ją stracił.

- Skarbie, wiem, że dla ciebie to wszystko jest oczywiste, ale ciągle nie rozumiem. Co mają warzywa dla głodnych dzieci wspólnego z przemytem broni?

- Mało nie zapomniałam o najważniejszym - odchyliła się, by spojrzeć na niego. - Mam dość dowodów, by napuścić ekipę śledczą na Johna Valentego i dwie jego firmy.

Cole uśmiechnął się. Nic nie mogłoby ucieszyć go bardziej, niż widok Johna Valentego za kratkami i rodziny Mercado w rozsypce.

- Doszedłem, że to Valente, gdy stało się jasne, że ktoś wrabia Mercado. Co na niego masz?

- Carmine Mercado przed śmiercią przekazał władzę w organizacji Frankowi Del Brio. Wtedy Del Brio przejął kontrolę nad Mercado Trucking i Superior Produce. Potem on też umarł i do władzy doszedł Valente.

Cole uśmiechnął się wyrozumiale.

- To już wiem, skarbie. Ale jak to się ma do przemytu broni?

Jej oczy zaśniły.

- Superior Produce wysyłało owoce i warzywa do Mezcayi przez Mercado Trucking.

- Niech zgadnę - roześmiał się. - W ciężarówkach były nie tylko banany i kapusta.

Skinęła głową.

- Broń była schowana za paroma pudłami z owocami. Kiedy dotarliśmy z Jorge do wioski, ludzie z El Jefe akurat wyciągnęli z ciężarówki skrzynki z owocami

i zabrali się do karabinów maszynowych, ręcznych wyrzutni rakiet i amunicji w ilości wystarczającej, by wysadzić fortecę.

- I widziałas to wszystko? - spytał, zadowolony, że koniec tej piekielnej sprawy jest już widoczny.

- Nie tylko ich widziałam, ale nawet porobiłam zdjęcia - oznajmiła z dumą.

- I myślisz, że coś znajdą na Valentego?

- Na pewno pranie pieniędzy, bo obaj z Mannie Ferrarem podawali zawyżoną sprzedaż produktów, które niby wysyłali do Mezcai - odpowiedziała zdecydowanie. - W ten sposób ukrywali pieniądze ze sprzedaży broni. Potem Mannie deklarował ogromne ilości zepsutego towaru, żeby je wyprać. - Uśmiechnęła się. - Nie wiem, co się stanie, kiedy wejdzie ekipa śledcza. Może znajdą dość, żeby zamknąć Valentego i jego ludzi na resztę życia.

- Wcale bym się nie zmartwił - roześmiał się Cole.

- Ja też nie - zgodziła się.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, obejmując się.

- Cholera! - powiedział nagle.

- Co się stało, kochanie?

- Chciałbym się mylić, ale ta krew w magazynie mogła być krwią Mercada. - Cole usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widział. — Nie pokazywał się, odkąd zniknął.

- Wolałabym, żebyś się mylił. - Wyglądała na zmartwioną. - Lubię Ricky'ego.

- Czyżby? - Uniósł brew.

Pokiwała głową.

- Był dla mnie taki miły, kiedy mu zamroziłam konto.
- Mam swoje zdanie na ten temat.
- Na temat moich metod śledztwa? - Zmarszczyła się.

Pogładził ją po aksamitnym policzku.

- Skarbie, jestem z ciebie naprawdę dumny. Jesteś świetną agentką i znakomicie sobie z nim poradziłaś.
- Uśmiechnął się. - Ale teraz będziemy pracować razem, nie oddzielnie.
- Myślałam, że zawsze pracujesz sam - stwierdziła.
- A już na pewno nie z kobietami.

- Elise, całe życie na ciebie czekałem. Kocham cię całym sercem i duszą. Proszę, nie odjeżdżaj nigdzie, nie mówiąc mi, gdzie będziesz i co masz tam robić. Jeśli coś ci się stanie, to ja tego nie przeżyję.

Elise spojrzała mu w oczy i przekonała się, że mówi prawdę. Cole naprawdę ją kochał, ale jednocześnie szanował i cenił jako koleżankę po fachu.

- Ja też cię kocham - oznajmiła, całując go. - I obiecuję, że nigdzie nie pojedę, nie zawiadamiając cię o tym osobiście, a nie listownie.

- Zgoda. - Pocałował wrażliwe zagłębienie za jej uchem. - Kochasz mnie, nawet kiedy zachowuję się jak jaskiniowiec?

Zadrzała z rozkoszy.

- Już nie uważam, że jesteś jaskiniowcem.
- Nie? - udawał, że zamierza przerzucić ją sobie przez ramię. - Nawet kiedy zabieram cię do jaskini, żeby posiąść twoje piękne ciało?

Roześmiała się.

- No, może czasami lubię, jak zamieniasz się w Cole'a Jaskiniowca.

Objął ją mocno i pocałował. Poczowała ból w głębi brzucha.

- Wyjdź za mnie, Elise.

- Co? - Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Właśnie poprosiłem cię o rękę, skarbie - powiedział z poważną miną.

Nie była pewna, czy to dobry moment na wyznanie mu, że prawdopodobnie zaszła tamtej pierwszej nocy w ciążę. Jednak jeśli ich związek miał być udany, powinien być oparty na całkowitej szczerości. A planować powinni zacząć od razu jako rodzina.

- Cole... jest coś, o czym powinniśmy najpierw porozmawiać - zaczęła ostrożnie.

Pokręcił głową.

- O niczym nie będę z tobą rozmawiał, dopóki nie usłyszę „tak”. Powiem ci tylko, że zamierzam przenieść się z biura w Vegas bliżej do twojego w Wirginii.

- Ale...

- Jeśli nie powiesz „tak”, to damę słowo, że zamienię się zaraz w jaskiniowca - powiedział obiecująco.

- Nie zrobisz tego - rozejrzała się wokół.

- Przekonamy się? - Jego uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

- No dobrze - powiedziała pośpiesznie. - Tak, wyjdę za ciebie. Ale muszę ci powiedzieć...

Nie zdążyła skończyć, bo pocałował ją tak czule, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Elise, obiecuję, że będę cię chronić i opiekować się tobą do końca życia - powiedział. - A teraz powiedz, o czym mieliśmy porozmawiać?

Wzięła głęboki oddech i powiedziała szybko:

- Wydaje mi się, że mogę być w ciąży.

Zamarł i patrzył na nią prawie wieczność, zanim w końcu obdarzył ją uśmiechem, od którego się roz-
płynęła.

- Masz pojęcie, ile to dla mnie znaczy, jeśli nosisz moje dziecko? Skarbie, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem świata. - Objął ją mocniej, po czym natychmiast rozluźnił uścisk. Otworzył szeroko oczy. - Dobrze się czujesz? Nie zrobiłem ci chyba krzywdy?

Nie mogła się powstrzymać przed głośnym śmiechem.

- Cięża to nie choroba, Cole. - Zmrużyła oczy. - A jeśli jestem w ciąży, to będziesz jednym z tych mężczyzn, którzy przez dziewięć miesięcy nie odstępują kobiety na krok?

Uśmiechnął się bez cienia skruchy.

- Prawdopodobnie. - Ujął jej dłoń, wstał i przyciągnął ją do siebie. - Chodź, mamy parę pilnych spraw do załatwienia.

- A jakich?

Podtrzymał jej łokcie, kiedy schodzili ze schodków.

- Musimy iść do sądu i załatwić papiery, a potem do jubilera po obrączkę i...

- Po dwie obrączki - powiedziała, pozwalając się prowadzić ścieżką do hotelu.

Obdarzył ją szybkim pocałunkiem.

- Dobrze, dwie obrączki.

- Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś moim mężem - uśmiechnęła się do niego.

Pokręcił głową i chwycił ją na rękę.

- Nie będzie najmniejszych wątpliwości.

- Umiem chodzić - zapewniła, obejmując go. Przeniósł ją przez hol prosto do windy. - Myślałam, że mieliśmy iść do sądu - zauważyła.

- Najpierw muszę zanieść moją ukochaną do mojej jaskini - oznajmił, wchodząc do windy.

Ze śmiechem ugryzła go w ucho.

- Kocham cię, Cole'u Jaskiniowcu.

- Też cię kocham, skarbie - powiedział, wychodząc na korytarz. - A kiedy dotrzemy do mojej jaskini, покаżę ci, jak bardzo.

EPILOG

Tydzień później.

Kiedy zadzwonił budzik, Elise szybko go wyłączyła, wyślizgnęła się z objęć swojego świeżo poślubionego męża i na palcach pobiegła do łazienki. Specjalnie wstała godzinę wcześniej od Cole'a, by skorzystać z testu ciążowego, który kupiła dzień wcześniej w aptece.

Postąpiła zgodnie z instrukcją i z napięciem czekała na wynik. Kiedy pojawił się dodatni odczyn, wyraźniejszy z każdą sekundą, jej serce podskoczyło, do góry.

— Jestem w ciąży - szepnęła. - Naprawdę będę miała dziecko.

Położyła rękę na płaskim brzuchu i zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać nerwowy chichot. Przez następne dziewięć miesięcy Cole da jej się nieźle we znaki. Będzie stał jej nad głową i doprowadzał ją do szału.

Elise uśmiechnęła się. Będzie cudownie.

Ale najpierw musiała mu powiedzieć, że zostanie tatusiem. I wiedziała, jak chce to zrobić.

Wyrzuciła test do kosza i wróciła do sypialni. Kiedy wślizgnęła się do łóżka, Cole objął ją i przytulił.

- Skarbie, dlaczego nastawiasz budzik na taką nie-

możliwą godzinę? - spytał zaspanym głosem. - Nigdy nie wstajesz tak wcześnie. Nic ci nie jest?

- Czuję się doskonale. - Przytuliła się i pocałowała jego nagie ramię. - Musiałam coś załatwić.

Podniósł głowę z poduszki i spojrzał na budzik, a potem na nią.

- O piątej rano?

Pokiwała głową, a potem przesunęła dłonie z jego ramion na szeroką pierś, brzuch i dalej.

- Chciałam, żeby mój mąż wyruszył rano do pracy z uśmiechem.

Wyszczrzył zęby i chwycił jej dłoń.

- Rób tak dalej, a na pewno będę się uśmiechał. Ale nigdzie nie pójdę.

- No, mamy godzinę: Chyba moglibyśmy... - dodała znacząco.

- Masz rację- odparł, opuszczając usta na jej wargi. -Moglibyśmy...

Pocałował ją czule i przez następną godzinę demonstrował jej najlepsze, jego zdaniem, sposoby spędzania czasu.

Elise, leżąc w ramionach męża, czuła się najszcześliwszą kobietą na świecie. Kochał ją wspaniały mężczyzna, dziecko było w drodze, a przed nimi rysowała się cudowna przyszłość.

- Cole?

- Co takiego?

- Mogę cię o coś spytać?

Kiedy otworzył oczy, wstrzymała oddech, widząc miłość lśniąca w ich orzechowej głębi.

- Skarbie, pamiętaj, żadnych więcej tajemnic. Możesz mnie zawsze pytać o wszystko i wszystko mi powiedzieć.

- No dobrze. - Objęła go za szyję i uśmiechnęła się.
- Co byś wolał, jaskiniowcu? Chłopczyka czy dziewczynkę?

- Właściwie to wszystko mi jedno - powiedział, odgarniając kosmyk włosów z jej policzka. - Jeśli okaże się, że jesteś w ciąży, będę szczęśliwy, dopóki ty i dziecko będziecie zdrowi.

- Ale co, jeśli już jestem w ciąży? - spytała, czekając, aż się zorientuje.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- A jak myślisz? Dlaczego zaraz po ślubie przestałem używać zabezpieczeń? Chcę mieć z tobą dziecko, skarbie.

Pocałowała go w ramię.

- Kochanie, czy słuchałeś, o co cię pytałam?

Zmarszczył brwi.

- Pytałaś, co by było gdybyś już była... w ciąży.
- Zrobił przerażoną minę. - Już? To znaczy, że jesteś? Kiedy prezerwatywa pękła...

- Tak, kochanie - roześmiała się. - Właśnie dlatego nastawiłam budzik. Zrobiłam sobie rano test. Na wiosnę będziesz tatusiem.

Usiadł i patrzył na nią z góry.

- Boże, Elise. Jak mogłaś pozwolić, żebyśmy się tak kochali. Nie byłem tak delikatny, jak należało.

Usiadła obok niego.

- Spokojnie, Cole. Nie byłeś brutalny.

- Wiem, ale też sienie hamowałem. A jeśli zrobiłem

krzywdę tobie albo dziecku? - Zbladł. - Jak się czujesz?
Na pewno nic ci nie jest?

Ze śmiechem pogładziła go po policzku.

- Jeśli nie doprowadzisz mnie do szału tą opiekuńczością, to będziesz słodki przez następne dziewięć miesięcy, jaskiniowcu.

- Elise, nie czas na żarty - pokręcił głową.

- Cole, przerabialiśmy to w zeszłym tygodniu - powiedziała cierpliwie. Wiedziała, że spora część jego niepokoju wynika z tego, że jego matka umarła z powodu krwotoku po poronieniu. - Nie jestem ani chora, ani krucha. Jestem w ciąży!

- Tak, ale co zrobimy, jak będziesz długo siedziała w pracy? - spytał zaniepokojony. - Musisz dużo odpoczywać.

Objęła go ramionami, kochając go bardziej, niż myślała, że to możliwe.

- To już załatwione. Postanowiłam poprosić w FBI o pracę, która nie wymaga wyjazdów. A jak dziecko się urodzi, wezmę urlop wychowawczy.

- Elise, nie chcę cię naciskać, ale nie mogę powiedzieć, żebym się zmartwił, jeśli nie będziesz już pracować w terenie - powiedział z wyraźną ulgą. Przytulił ją mocno i pocałował w czubek głowy. - Jak długi urlop chcesz wziąć?

- Nie wiem. - Przycisnęła wargi do jego piersi. - Zależy, jak się będę czuła, kiedy dziecko się urodzi. Może wcale nie wrócę.

- To musi być twoja decyzja, Elise. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa i zrobię, co się da, żeby nie wpływać na

twój wybór. - Położył ją i pochylił się nad nią. - Ale chcę, żebyś wiedziała, iż wcale mi nie będzie przeszkadzało, jeśli zostaniesz w domu, będziesz zamiatać jaskinię i wychowywać gromadkę małych jaskiniowców. A swoją drogą, to o ilu małych jaskiniowcach mówimy?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Chciałabym mieć co najmniej czwórkę.

- Dobrze - powiedział powoli. - Jak tylko załatwię przeniesienie i urządzę się w biurze w Wirginii, pójdziemy na zakupy.

- Jakie zakupy? - zdziwiła się. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, chyba że mówił o mebelkach dla dziecka.

- Skarbie, jeśli będziemy mieć tylu małych jaskiniowców, to potrzebna będzie raczej spora jaskinia - rzekł i wyszczerzył zęby. - Najlepiej z ogrodem, altanką i huśtawką.

Odwzajemniła uśmiech,

- To by mi się podobało.

Spoważniał.

- Skarbie, kocham cię bardziej, niż myślisz.

Szcześliwsza niż kiedykolwiek w swoim dwudziestostoletnim życiu, całowała go, aż oboje musieli zaczerpnąć powietrza.

- A ja kocham ciebie, jaskiniowcu.

Liz Fielding
Pracując z wrogiem

scandalous

PROLOG

Komunikat prasowy

„Claibourne & Farraday ma przyjemność ogłosić, że panna India Claibourne została mianowana dyrektorem naczelnym ze skutkiem natychmiastowym.

Panny Romana oraz Flora Claibourne zostały członkami rady nadzorczej”.

Londyn, „Evening Post”: Wiadomości z City

„Czyżby w najstarszym i najszacowniejszym londyńskim domu towarowym zatriumfowała ostatecznie równość płci?

Wraz z dzisiejszym oświadczeniem o powołaniu Indii Claibourne, lat 29, na stanowisko naczelnego dyrektora Claibourne & Farraday kończy się pewna epoka - padł oto jeden z ostatnich bastionów męskiej dominacji.

Uroczę panny Claibourne, które od najmłodszych lat miały swój udział w zarządzaniu firmą, zdecydowały, jak widać, że nadszedł czas, by położyć kres wywodzącej się z XIX wieku tradycji męskich rządów.

W 1832 roku założyciele C&F, lokaj Charles Claibourne i kamerdyner William Farraday, wypracowali umowę dotyczącą sukcesji. Zgodnie z tą umową kontrolny pakiet akcji i całkowita kontrola nad firmą miały zawsze należeć

do najstarszego męskiego potomka ich rodzin. Do tej pory nikt nie próbował podważyć warunków umowy.

Czy mężczyźni z rodziny Farradayów przyjmą spokojnie obecne wyzwanie?"

Memorandum

Od: Jordana Farradaya

Do: Nialla Farradaya Macaulaya i Brama Farradaya Gifforda

„Jestem pewien, że już czytaliście załączony wycinek prasowy. Uprzedzając wasze ewentualne zastrzeżenia, wyśtosowałem oficjalne pismo, podważające prawo Indii Claibourne do objęcia stanowiska dyrektora naczelnego.

Odpowiedź sióstr Claibourne jest interesująca. Nie powołują się na ustawę o równości płci. Wyrażają jedynie zaskoczenie, że, cytując: trzech tak zapracowanych mężczyzn chciałoby się zająć sprzedażą detaliczną. Podejrzewają zapewne, że zamierzamy upłynnić znaczną część aktywów znaku firmowego C&F oraz nieruchomości, a temu, gdy uzyskamy kontrolę, nie będą w stanie się przeciwstawić. Należy je przekonać, że jest inaczej. Dlatego przystałem na propozycję, by w okresie najbliższych trzech miesięcy każdy z nas poświęcił trochę czasu na przyjrzenie się ich pracy.

Siostry Claibourne chcą nam najwyraźniej pokazać, że ich doświadczenie stanowi dla C&F większą zaletę niż lata spędzone przez nas w City. Trzy miesiące zwłoki nie zaszkodzą nam, jeśli sprawa, a podejrzewam, że tak się stanie, i tak znajdzie finał w sądzie. Natomiast bliższy wgląd w ich działania na pewno przyda nam się na rozprawie.

Zgodnie z harmonogramem, który ustaliłem, Niall po-

obserwuje Romanę Claibourne w kwietniu, Bram zrobi to samo z Florence w maju, a w czerwcu ja popracuję z Indią. Załączam dossier naszych partnerek. Proszę was o poświęcenie temu przedsięwzięciu tyle czasu, ile zdołacie - oczywiście bez uszczerbku dla waszej normalnej działalności - znaleźć. Jako współwłaściciele udziałów musicie pamiętać, że nagrodą będzie całkowita kontrola nad znakomitym przedsiębiorstwem handlowym oraz nieruchomościami należącymi do najcenniejszych w kraju".

E-mail

Do: Romana@Claibournes.com

Kopia: Flora@Claibournes.com

Od: India@Claibournes.com

Temat: Niall Farraday Macaulay

„Nasi prawnicy postanowili poczekać trzy miesiące, zanim wystąpią z pozwem o obalenie skargi Farradaya na zarządzanie firmą. Obierając taktykę grania na zwłokę, musiałam być miła i zaproponowałam Farradayom, żeby przyjrzeni się osobiście, jak zarządzamy firmą.

Wkrótce skontaktuje się z tobą Niall Farraday Macaulay. Ma ustalić wygodny dla ciebie harmonogram stażu u twego boku w kwietniu. To bankier zajmujący się inwestycjami. Niewątpliwie chętnie skorzystałby z szansy położenia ręki na aktywach C&F. Musisz go przekonać, że w jego najlepszym interesie leży pozostawienie ich nam.

Zgoda Faradayów na naszą propozycję oznacza, że widzą w tym możliwość zebrania poufnych informacji. Bądź ostrożna. India".

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z uczuciem narastającej paniki Romana Claibourne grzebała w torebce, szukając portfela między kartonikiem ulubionej kawy, kosmetyczką i firmowymi torbami na zakupy. Ów stan podenerwowania nie wynikał z tego, że portfel gdzieś się jak na złość podział, ani nawet z tego, że Niall Farraday Macaulay postanowił objawić się właśnie dziś. Najgorsze było to, że się spóźniała. Poranny mail od Indii wyrażał bardzo jasno konieczność punktualności.

Niall Macaulay chciał omówić dokładnie o dwunastej szczegóły dotyczące wspólnej pracy w kwietniu. Powinna wszystko zostawić i zjawić się na czas. Nic - nawet uroczystość otwarcia tradycyjnego dorocznego tygodnia dobroczynności w Claibourne & Farraday - nie było dziś ważniejsze. Sytuacja należała do kryzysowych.

- Przepraszam... - Rzuciła taksówkarzowi przepraszające spojrzenie. - Wiem, że gdzieś tu jest... Miałam go, kiedy wsiadałam.

- Spokojnie, panienko - odparł. - Mamy czas.

- Doprawdy? - Zdając sobie sprawę z sarkazmu kierowcy, zdwoiła wysiłki, by szybciej znaleźć portfel. Miała go, kupując sukienkę. Potem, po otrzymaniu wiadomości od Indii, musiała napić się kawy i potrzebowała drobnych. Wróciła myślami do tamtej chwili. Tak, zamówiła, zapłaciła i wsunęła portfel do kieszeni...

Jej ulga okazała się jednak przedwczesna. Gdy sięgała

do kieszeni płaszcza, kubek z kawą wymknął się jej z rąk. Uderzył o chodnik, przekręcił się, a potem wieczko odpadło i Romana mogła obserwować, jak - niczym na zwolnionym filmie - kawa oblewa lśniące buty przechodnia, a potem malowniczo rozpryskuje się na nogawce jego spodni.

Nogi mężczyzny znieruchomiały. Tekturowy kubek poszybował do góry na czubku czarnego parasola i zatrzymał się na wysokości jej ręki.

- To, jak sądzę, należy do pani - powiedział właściciel spodni.

Wzięła kubek. Och, kolejny błąd! Kubek był lepki, mokry, a słowa przeprosin, cisnące się na usta, wyparła nagle monosylaba wyrażająca obrzydzenie.

A potem - błąd numer dwa - podniosła wzrok i niemal znów upuściła kubek. Patrzyła na wysokiego nieznanego i nie mogła wykrztusić słowa. Powinna przeprosić... I dowiedzieć się, z kim ma do czynienia.

Ale, nim się odezwała, uświadomiła sobie, że nieznanomy wcale nie był pod wrażeniem niespodziewanego spotkania z jedną z najbardziej obleganych kobiet Londynu. Lekceważący wyraz jego twarzy świadczył o tym aż nadto wymownie. Przeprosiny zamarły na jej ustach.

Najwidoczniej nie ciekawiło go, co mogłaby mu powiedzieć. Odwrócił się na pięcie i szybko przeszedł pod złocnym portalem nad wejściem do Claibourne & Farraday.

Niall Macaulay był oczekiwanym gościem. Zaproszono go do znajdującego się na samej górze biura, gdzie oddał recepcjonistce płaszczy i parasol, a potem wszedł do łazienki, by zetrzeć resztki kawy ze spodni i butów. Wrzucając papierowy ręcznik do pojemnika na śmieci, z iryta-

cją zerknął na zegarek. Ledwie udało mu się wygospodarować czas na to spotkanie, a teraz przez tę jakąś głupią kobietę był spóźniony.

Ale Romana Claibourne również się spóźniała. Niał stał przy oknie i próbował nie myśleć o tuzinie innych, o wiele ważniejszych spraw, którymi powinien zajmować się w tej chwili.

- Chce pani rachunek? - spytał taksówkarz.

Romana nadal patrzyła w stronę, gdzie przed chwilą zniknął mężczyzna.

- Słucham? Tak, proszę... - Podała taksówkarzowi banknot. - Reszta dla pana.

Wciąż trzymała w ręce ciekący kubek. Na ulicy nie było kosza na śmieci, musiała więc wnieść go do biura. Dopiero sekretarka uwolniła ją równocześnie od kubka, toreb i płaszcza.

- Spodziewam się pana Macaulaya. Nie mogę poświęcić mu więcej niż pięć minut. Liczę, że mnie wybawisz... - Zbyt późno zauważyła ostrzegawcze spojrzenie dziewczyny.

- Pan Macaulay przyjechał kilka minut temu - powiedziała sekretarka szeptem. - Już czeka...

Romana odwróciła się i zobaczyła mężczyznę stojącego przy oknie, zapatrzonego na dachy Londynu. O, Boże! Musiał ją usłyszeć. Ładny początek!

Ledwie zdążyła wytrzeć ręce w papierową chusteczkę. Porzuciła wszelkie myśli o poprawieniu makijażu czy doprowadzeniu włosów do ładu. Wygładziła tylko spódnice, obciągnęła żakiet i weszła do swego gabinetu.

Niall Macaulay robił wrażenie, nawet z tyłu. Wysoki, barczysty, świetnie ostrzyżony, ubrany w szyty na miarę garnitur.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - powiedziała, ruszając do przodu z wyciągniętą ręką. Już chciała wyjaśnić powód swego spóźnienia - oczywiście bez wspomnienia o kawie - gdy się odwrócił i Romana zastygła z otwartymi ustami.

Zbieg okoliczności? A może prima aprilis? Bo przecież był 1 kwietnia. Facet, którego oblała kawą i Niall Macaulay to jedna i ta sama osoba. Niesamowite!

- Czy moja sekretarka zaproponowała panu...

- Kawę? - dokończył głębokim, basowym głosem, którego, jak się już zdażyła zorientować, nigdy nie podnosił. - Dziękuję, wydaje mi się, że czegoś jak czegoś, ale kawy mam dość jak na jeden dzień.

Niall Macaulay był jednym z cichych wspólników C&F. Do niedawna nie zastanawiała się wcale, dlaczego trzech panowie nie interesowali się firmą, skoro ich nazwisko widniało nad frontowymi drzwiami. Jeśli w ogóle o nich myślała, przypuszczała, że są zbyt starzy albo zbyt leniwi, żeby pracować. Same dywidendy wystarczały na wygodne życie.

Dopiero gdy ojciec po ciężkim ataku serca dopuścił ją i jej siostry do oficjalnego zarządzania firmą, odkryła prawdę. Ich partnerzy - inwestor, bankier i prawnik - wcale nie spoczęli na laurach. Przeciwnie - budowali własne imperia.

A dziś zapragnęli przejąć również imperium Claibourne'ów.

To był bankier. Zademonstrował już, że jest jak bryła lodu. A ona miała za zadanie przekonać go, że potrafi pokierować poważną firmą. Cóż, początek był nie najlepszy. Ale to nic. Jutro będzie lepiej. Zdoła jeszcze odrobić straty i pokazać swoją wartość.

- Przykro mi z powodu tej kawy - powiedziała, próbując się uśmiechnąć. - Przeprosiłabym, gdyby dał mi pan szansę. - Czekala na jakieś słowo, ale jej gość milczał. Na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad emocji. - Proszę przysłać mi rachunek z pralni - powiedziała. - Albo... Może zechciałby pan zdjąć spodnie teraz... Ktoś z naszych pracowników oczyściłby je i wyprasował...

Wyobraziła sobie nagle Nialla Macaulaya przemierzającego jej gabinet w bokserkach i zarumieniła się. A przecież nigdy się nie rumieniła! Tylko wtedy, gdy powiedziała coś naprawdę głupiego. To było naprawdę głupie. Nerwowo zerknęła na zegarek.

- Za kilka minut muszę być gdzie indziej, ale proszę skorzystać z mojego biura, gdy będzie pan czekać. - Chyba zrozumiał, że nie zamierza oglądać go w negliżu.

W takiej sytuacji większość mężczyzn, których znała, zatarłaby ręce z zachwytu, ale Niall Macaulay do nich nie należał. Spoglądał na nią wzrokiem, którym mógłby ugasić wulkan.

Nerwowo odrzuciła włosy. Wiedziała dobrze, jak ów „dziewczęcy” kokieteryjny gest działa na mężczyzn. Jedni lubili go, innych mierzili. W wypadku Nialla Macaulaya spodziewała się niechęci. Przekornie jednak wolała negatywną reakcję niż żadną. Żeby zirytować go jeszcze bardziej, poprawiła włosy po raz drugi, uśmiechając się zalotnie. Na widok tego uśmiechu mężczyźni padali jak muchy. Ale nie pan Macaulay. Stanowczo nie był przeciętny. Za to zasadniczy i zimny jak mały kto.

- Panno Claibourne, mój kuzyn poprosił mnie, żebym w kwietniu towarzyszył pani w pracy. Oczywiście, zakładając, że zechce, pani uszczknąć nieco swojego cennego czasu, który przeznaczona jest za zakupy, i rzeczywiście popracować.

Podążyła za jego spojrzeniem, które spoczęło na stercie firmowych toreb leżących na sofie.

- Nie ma co kpić z zakupów, panie Macaulay. Nasi przodkowie wykorzystali drzemającą w ludziach potrzebę kupowania i zbili na tym fortunę. Właśnie dzięki zakupom nasze dywidendy stale rosną.

- Nie potrwa to długo - odpowiedział, unosząc ciemną brew - jeśli członkowie zarządu będą się zaopatrywać u konkurencji.

Romana wzięła do ręki leżący na biurku terminarz i zaczęła go przerzucać, byleby tylko nie natknąć się na chłodne spojrzenie.

- Chyba nie wyobraża pan sobie, że jakiś wybitniejszy designer wystawi cokolwiek, oczywiście prócz pret-a-porter, w domu towarowym, nawet w tak stylowym jak C&F? Wiele jeszcze musi się pan nauczyć, panie Macaulay. - Westchnęła z lekko skrywaną satysfakcją. - Czy możemy ustalić terminy? Chociaż, szczerze mówiąc, jakoś trudno mi wyobrazić sobie pana i pańskich kuzynów bawiących się w sklep.

- Bawiących się w sklep? - powtórzył. - Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy, że stoi pani za ladą.

India ostrzegła ją, by siedziała cicho i nie pozwalała sobie na uszczypliwe uwagi. Niestety, Romana nie zawsze potrafiła ugryźć się w język.

- Teraz już nie - przyznała. - Ale robiłyśmy to wszyskie w przeszłości, gdy uczyłyśmy się biznesu. A czy którykolwiek z panów wie cokolwiek o prowadzeniu domu towarowego? Handel detaliczny nie jest dla amatorów.

- Naprawdę? - Po raz pierwszy wyglądał na trochę rozbawionego. A może sugerował, że to on uważa ją za amatorkę?

- Naprawdę. Może pan być największym inwestorem, ale czy pan wie, ile par jedwabnych majtek trzeba zamówić przed świętami Bożego Narodzenia?

- A pani wie? - spytał, ale nim zdążyła pochwalić się znajomością dokładnych danych, ciągnął: - Jestem pewien, że nie musi pani angażować się w codzienne sprawy aż tak mocno. Od tego są kierownicy działów.

- Odpowiedzialność spada na mnie, panie Macaulay. Znam sklep od podszewki. Pracowałam w każdym dziale. Prowadziłam nawet dostawcze ciężarówki...

- A nawet, jak pisze „Evening Post”, była pani pomocnikiem Mikołaja - zakpił. - I czego się pani nauczyła?

- Żeby nigdy więcej tego nie robić - przyznała ze szczerym uśmiechem. Miała nadzieję, że zostanie to uznane za propozycję zawarcia pokoju. Mogliby wtedy przestać walczyć i zacząć od nowa. Jak równi sobie.

- Nie znały panie szczegółów umowy, prawda? - Przeszedł do sedna sprawy, odrzucając porozumienie. - Nie wiedziałyście, że będziecie zmuszone oddać sklep, gdy wasz ojciec przejdzie na emeryturę?

Gdy szukała odpowiednich słów, by zaprzeczyć, a jednocześnie nie wyjść na kłamczuchę, skonstatowała:

- Tak myślałem. Ojciec powinien być z wami szczerzy od samego początku. Wówczas wszystko byłoby o wiele łatwiejsze.

Słusznie, pomyślała Romana. Ojciec, niestety, należał do osób chowających głowę w piasek.

- Nie zamierzamy wtrącać się w szczegóły - ciągnął. - Do prowadzenia domu towarowego zatrudnimy zespół najlepszych menedżerów...

- To my jesteśmy najlepszym zespołem menedżerów!
- odparowała natychmiast, choć prawdę mówiąc nie miała

możliwości porównania. - Zostawcie nam firmę, a nadal, nie kiwnawszy palcem, będziecie spijać śmietankę.

- A wy nie będziecie nas informować, co się dzieje. Od trzech lat zyski nie zwiększają się. Firma pogrąża się w stagnacji. Czas na zmiany!

Wielkie nieba! Bankier starannie odrobił swoją pracę domową. Szła o zakład, że znał z dokładnością do jednego pensa bilans za ostatni rok. A być może nawet za ostatni tydzień.

- Wszystkich dotyka kryzys na rynku. - Do licha, już powiedziała za dużo. India miała rację. Powinna siedzieć cicho.

- Wiem. - W głosie Macaulaya zabrzmiało prawie współczucie. Romana jednak ani na moment nie dała się zwieść. - Ale wygląda na to, że C&F zapatrzył się we własny wizerunek najbardziej luksusowego domu towarowego w Londynie.

- Owszem - przyznała. - Może nie jesteśmy najwięksi, ale mamy własny, niepowtarzalny styl. Jesteśmy najwyższym domem towarowym w mieście.

- Najwygodniejszym? Raczej staromodnym, nudnym i pozbawionym świeżych pomysłów.

- A pan je ma? - odparowała, zgadzając się w duchu z tym opisem. Ileż to razy prosiły ojca, by pozwolił zmodernizować sklep! Chciały wyrzucić wiśniowe dywany, rodem z dziewiętnastego wieku, i wpuścić do środka trochę światła. Ale nie zamierzała mówić o tym Mailowi Macaulayowi. - Macie jakieś nowatorskie pomysły?

- Oczywiście, mamy pewne plany - powiedział Niall Macaulay z wielką pewnością siebie.

Cóż nowego mógł wnieść do prowadzenia sklepu ten zapięty na ostatni guzik, chłodny i beznamiętny bankier?

- Nie powiedziałam „plany”, miałam na myśli pomysły. Możecie planować sprzedaż - powiedziała. - To w istocie żaden kłopot, a jednocześnie fura pieniędzy dla pańskiego banku. A jeśli przejmiecie pakiet kontrolny, nie będziemy mogli was powstrzymać...

- Pani Romano... - Bezosobowy głos z interkomu przerwał jej. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale jeżeli zaraz pani nie wyjdzie...

Niall Macaulay zerknął na zegarek.

- Pięć minut co do sekundy - powiedział.

O pięć minut za długo, pomyślała.

- Przykro mi, panie Macaulay, ale mimo że nasza wymiana poglądów jest bardzo interesująca, muszę już być gdzie indziej. Proszę ustalić terminy z moją sekretarką. Proszę jej powiedzieć, kiedy może pan poświęcić trochę czasu naszej firmie, a ja uwzględnię to w swoich planach. - Nie czekając na odpowiedź, chwyciła torebkę i wyszła.

Poświęcić trochę czasu?

Niall nie zamierzał pozwolić tej smarkuli potraktować się w ten sposób. To on miał udowodnić, że Romana Claibourne nie spisuje się dobrze na swoim stanowisku.

Odebrał płaszcz i parasol i wyszedł za nią.

- Panno Claibourne...

Odźwierny w uniformie wezwał taksówkę i przytrzymał drzwi. Spieszyła się i naprawdę nie potrzebowała kolejnej dawki Nialla Macaulaya. Ale zszedł za nią po schodach i uprzejmość nakazywała zadać mu to pytanie:

- Czy mogę pana gdzieś podwieźć, panie Macaulay?

- Nie. - Odczuła ulgę, ale trwało to krótko, ponieważ

po chwili wsiadł za nią do taksówki. - Jadę tam, gdzie pani. Gdy powiedziałem, że zamierzam spędzić trochę czasu, przyglądając się pani pracy, nie miałem na myśli jakichś umówionych spotkań. Zacznę od zaraz.

- Od zaraz? - powtórzyła jak echo, a potem wybuchnęła śmiechem, mając nadzieję, że on żartuje. Ale Niall Macaulay nawet się nie uśmiechnął. Znow błąd. Ten człowiek nigdy nie żartował. - Proszę mi wybaczyć - dodała pospiesznie. - Zrozumiałam, że zarządza pan bankiem. Przypuszczałam, że w związku z licznymi obowiązkami nie będzie pan miał czasu na angażowanie się we wszystko, co robię. - Naprawdę tak myślała. Sama nie chciała angażować się we wszystko, co robiła.

- Zabierzmy się lepiej do pracy - skomentował chłodno. - Muszę być przy pani cały czas, jeśli naprawdę chcę się czegoś dowiedzieć i nauczyć.

- Pan nie rozumie...

- Czy pani dziś pracuje? - Zerknął nieufnie na jej torby. Jego spojrzenie sugerowało, że ocenił ją już w chwili, gdy kawa z tekturowego kubka pozbawiła blasku jego buty. - Może lepiej powie pani kierowcy, dokąd jedziemy?

- Naprawdę sędzę, że będzie lepiej, jeśli przefaksuję panu listę moich obowiązków do końca miesiąca - odpowiedziała stanowczo.

- Pewien jestem, że byłaby to interesująca lektura. Zależy mi jednak zwłaszcza na tym, by zobaczyć, co będzie pani robiła dzisiaj.

- To naprawdę chwalebne, że traktuje pan swoje zadanie tak poważnie - skwitowała.

- Wszystko traktuję poważnie. Nie należę do ludzi, którzy uważają, że już niczego nie muszą się uczyć... Nawet od pani.

- Dziękuję, bardzo pan wspaniałomyślny - odparła z ironią.

- A zatem pracuje pani dzisiaj, czy nie?

Zabrzmiało to tak, jakby oszukiwała. Jakby brała pieniądze, ale nie przykładała się do swoich obowiązków.

- Tak - powiedziała. - Pracuję. - Podała kierowcy adres.

India była zdumiona, że Farradayowie tak łatwo zgodzili się na trzymiesięczne opóźnienie procedur prawnych zmierzających do przejścia C&F. Ale Romanie przyszło nagle do głowy, że być może sprawy nie przedstawiały się tak prosto. Dlaczego trzech obłożonych zajęciami mężczyzn miało poświęcić tyle czasu na przyglądanie się pracy trzech młodych kobiet, od których nie mogli się niczego nauczyć?

Niall Macaulay już przyznał, że nie będą sami prowadzić domu towarowego, a zatrudnią własny zespół menedżerów. Czyżby potrzebowali udowodnić, że siostry Clai-bourne są niekompetentne, zanim pozbędą się ich z rady nadzorczej?

Ale to nie one były niekompetentne. A więc wszystko było w porządku.

- Chce pan zobaczyć, jak zarabiam? - spytała ostrzejszym tonem.

- Podkreślała pani, jak ciężko wszystkie pracujecie. Twierdzicie, że nikt inny nie mógłby wykonywać tej pracy.

- Nie powiedziałam, że nikt. Nie wierzę jednak, by jakiś bankier mógł łatwo mnie zastąpić. - W każdym razie nie pan, pomyślała. Stosunki z ludźmi wymagają ciepła. Umiejętności uśmiechania się nawet wtedy, gdy nie ma się na to ochoty.

- Ma pani cały miesiąc, by mnie o tym przekonać. Radzę nie tracić czasu.

- Jest pan całkiem pewien? - Była naprawdę poruszona jego śmiertelnie poważnym tonem, - Nie woli pan tego przemyśleć? - Dała mu ostatnią szansę uniknięcia doświadczenia, którego nie życzyłyby najgorszemu wrogowi.

- Wprost przeciwnie. Chętnie zobaczę, co pani robi za tę grubą forszę, którą pani dostaje co miesiąc, nie licząc dywidend z akcji. Chyba nie ma problemu, prawda?

Określenie „gruba forsa” przypieczętowało jego los.

- Żadnego - odparła. - Proszę być moim gościem. - Wyciągnęła telefon i nacisnęła guzik. - Molly, już jadę. Dopilnuj, by było wystarczająco dużo koszulek z naszym logo. - Spojrzała na Macaulaya. - W rozmiarze czterdzieści cztery. - Nie skomentował, przyglądał jej się tylko podejrzliwie spod zmrużonych powiek. - I będzie potrzebne dodatkowe krzesło w mojej łóżki dziś wieczorem. Mam gościa, Nialla Macaulaya. - Wypowiedziała nazwisko z naciskiem. - Włącz go do wszystkich moich zajęć w tym tygodniu, dobrze? Cóż, resztę wyjaśnię ci, gdy się zobaczymy.

- Co ma być dziś wieczorem? - spytał, nadal świdrując ją wzrokiem.

- Gala dobroczynna. Dziś rozpoczyna się „Tydzień radości”. Właśnie dlatego pańska obecność jest raczej niepożądana.

- Radości? - Niall Macaulay miał lekko speszoną minę.

- To słowo oznacza zachwyt, przyjemność, zabawę - wyjaśniła cierpko. - Ale to również nazwa imprezy dobroczynnej, której od dwóch lat patronuje C&F. Zbieramy pieniądze dla dzieci specjalnej troski.

- A jednocześnie robicie sobie bezpłatną reklamę.

- Nie całkiem bezpłatną. Nie uwierzy pan, ile teraz kosztują balony. I koszulki. Ale to się opłaca, zwłaszcza ze względu na dzieci. Oczywiście, mamy bardzo dobry zespół w dziale reklamy i marketingu. - Uśmiechnęła się, wyłącznie dlatego, żeby go rozdrażnić. - Chyba nie sądził pan, że kończę pracę o piątej? Obawiam się, że pracuję dłużej niż pan w banku... - Przepraszam, może w domu czeka na pana żona? - Miała przeczucie, że ta zabawa zacznie sprawiać jej prawdziwą przyjemność.

- Nie jestem żonaty, panno Claibourne - odpowiedział. - Od pewnego czasu.

Romana nie była tym wcale zdziwiona.

scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

Niall wyjął telefon, zadzwonił do sekretarki i zmienił plan zajęć na resztę dnia, załatwiając przy okazji sprawy, które nie mogły czekać. Przynajmniej wieczór nie przysparzał problemów. Spotkanie na temat sytuacji w przemyśle stalowym mogło poczekać.

Romana również telefonowała. Załatwiała jeden telefon po drugim. Rozmawiała z ludźmi przygotowującymi galę, sprawdzała szczegóły dotyczące kwiatów, programu i rezerwacji miejsc na widowni.

Czy próbowała wywrzeć na nim wrażenie? A może po prostu unikała rozmowy. Przynajmniej za to powinien być jej wdzięczny.

Kierowca sunął wolno przez zakorkowane o tej porze ulice. Macaulay miał mnóstwo czasu, by żałować, że impuls nakazał mu wyjść za Romaną z biura. Bóg jeden wie, że nie chciał spędzić w jej towarzystwie więcej czasu, niż było to absolutnie konieczne. Nie miał czasu dla słodkich blondynek. Zwłaszcza dla idiotek odgrywających rolę „dyrektora firmy” w czasie, który zostaje im po zrobieniu zakupów. Zerknął na firmowe torby, które leżały obok jej wąskich stóp w markowych pantoflach.

Skrzywił się z powodu takiej ekstrawagancji, ale nie byłby mężczyzną, gdyby nie dostrzegł zgrabnych, długich, naprawdę godnych podziwu nóg. Romana Claibourne

najwyraźniej uważała, że należy eksponować swoje walory.

Gdy zorientowała się, że na nią patrzy, odgarnęła do tyłu gęste złote loki. Instykt ostrzegł go w porę, by odwrócić wzrok, gdy rzuciła mu pytające spojrzenie. Uniósł brew, a potem - nieporuszony - powrócił do kontemplowania bardziej interesującego widoku za szybą.

Gali dobroczynnych, niezależnie jak szlachetny miały cel, nie uznawał za pracę ani nawet za przyjemną rozrywkę. Wolałby raczej wystać czek i nie brać w tym udziału.

Nie mógł jednak mieć pretensji do Romany. Dała mu szansę ucieczki, zaproponowała, by towarzyszył jej w pracy w ściśle ustalonych terminach. Przypuszczał jednak, że zwyczajnie usiłuje się go pozbyć. Było coś w tej dziewczynie, w sposobie, w jaki na niego patrzyła tymi dużymi, błękitnymi oczami, co wskazywało na to, że przywykła do owijania sobie mężczyzn wokół małego palca. Chciał jej pokazać, że ulepiony jest z twardszej gliny.

Ciekawe, w jakim celu spakowała torbę? Za późno, by o to spytać. Taksówka zatrzymała się przed wjazdem na Tower Bridge, który na tę okazję udekorowano firmowymi barwami Claibourne & Farraday. Powiewały złoto-wiśniowe proporczyki, balony, tu i ówdzie wśród podnieconego obecnością kamer telewizyjnych tłumu migały dwukolorowe podkoszulki.

- Jesteśmy na miejscu, panie Macaulay.

- Niall, proszę. - Nie odczuwał potrzeby familiarnych stosunków; zaproponował przejście na ty wyłącznie dlatego, żeby przez najbliższy miesiąc nie słuchać, jak zwraca się do niego per „panie Macaulay” tym swoim obcesowym, niemal bezczelnym tonem. Nie poprawiałoby mu to nastroju.

Sam widział, że przyjechali. Niepokoiło go tylko - po co. Gdy wysiadł z taksówki i zobaczył zawieszony na bardzo wysokim dźwigu ogromny transparent C&F, zapraszający uczestników zabawy do „skoku po radość”, wszystko stało się jasne.

Doszedł nagle do wniosku, że właściwie gale charytatywne nie zajmują ostatniego miejsca na liście jego ulubionych rozrywek. Skoków na bungee w ogóle tam nie było.

- Nie wszystkie dni są takie emocjonujące - pocieszyła go Romana, płacąc taksówkarzowi. - Bywają i śmiertelnie nudne. - Rzuciła mu promienny uśmiech, zamykając portmonetkę. - Chociaż nie jest ich tak wiele, przynajmniej kiedy mam na to wpływ.

- Zamierzasz skakać? - spytał z niedowierzaniem. Głupie pytanie. Oczywiście, że miała taki zamiar.

- A może załujesz, mój cieniu, że nie wróciłeś do siebie, gdy jeszcze miałeś szansę? - zadrwiła.

- Tego typu doświadczenie będzie niezwykle poznawcze - odparł. - Ale wydaje mi się, że źle interpretujesz słowo „cień”. Koszulka nie będzie mi potrzebna. Nie muszę cię naśladować, Romano. Wystarczy, że poobserwuję.

- Przestraszyłeś się, co?

Nie zareagował. Niczego nie musiał udowadniać. Kiedyś był bardzo beztrocki. Ale życie znalazło sposób, by z niego zadrwić.

- Robiłaś to przedtem? - spytał.

- Wielkie nieba, nie! Boję się wysokości. - Na moment jej uwierzył, a potem, gdy już złapała go na haczyk, uśmiechnęła się szeroko. - A myślisz, że w jaki sposób pozyskałabym tylu sponsorów?

- Mogłabyś na przykład przycisnąć swoje ofiary i zagrozić, że oblejesz je kawą, jeśli nie złożą podpisów.

Była bystra, pełna życia i niewątpliwie dobra w tego rodzaju bezmyślnych posunięciach reklamowych, ale poza tym nie pasowała do jego wyobrażeń o idealnym dyrektorze firmy.

Zbyła tę cenną uwagę lekkim skinieniem głowy.

- Pomyślę o tym w przyszłym roku. Dzięki za wskazówkę.

- Nie będzie przyszłego roku.

Nagle zdała sobie sprawę, że Macaulay ma na myśli nieuchronne usunięcie jej i sióstr z rady nadzorczej.

- Może więc w tym roku okażesz trochę entuzjazmu - powiedziała. - Jestem pewna, że wiele osób zapłaciłoby słono, żeby zobaczyć, jak skaczesz na Unie z wysokości trzystu metrów. - Ze sztucznie słodkim uśmiechem podała mu telefon. - Zadzwoń do siebie do banku i pozyskaj sponsorów. Całe widowisko będzie w telewizji i w Internecie na żywo. Będą mogli zobaczyć, za co zapłacili. Sama na ciebie postawię - dodała, nie mogąc się powstrzymać.

Na pewno by to zrobiła, gdyby szybko nie pokręcił głową.

- Trzymajmy się ustaleń. Rób swoje, a ja poobserwuję. Skaczesz?

- Jedna z nas powinna wykonać inauguracyjny skok, a ponieważ nagle okazało się, że India i Hora są poumawiane na nie dające się odłożyć spotkania... - Wzruszyła ramionami.

- Ile pieniędzy pozyskałaś od sponsorów?

- Osobiście? - Zerknęła na dźwig. - Jak myślisz, warto ryzykować dla pięćdziesięciu trzech tysięcy funtów?

- Pięćdziesięciu trzech tysięcy? - To jednak robiło wrażenie. - Aż tylu ludzi chce zobaczyć, jak umierasz ze strachu?

- Umieram ze strachu? - zdziwiła się.

- Czy nie o to właśnie chodzi? Ty rozgłaszasz, że masz lęk wysokości, a oni płacą, żeby usłyszeć, jak krzyczysz, prawda?

- Muszę się postarać, by za swoje pieniądze dostali dobry produkt - odrzekła po krótkim wahaniu. - Dzięki, że mi o tym przypomniałeś - dodała, po czym odwróciła się do młodej kobiety w firmowym podkoszulku.

- Kim jest ten seksowny facet?

- Seksowny? - Romana nie musiała podążać za spojrzeniem swej asystentki. Molly mogła mówić tylko o Niallu. - On nie jest seksowny.

Był oszałamiająco porywający. Należał do tych mężczyzn, których jeden uśmiech sprawiał, że dziewczynnie wszystko leciało z rąk. Może dlatego wcale się nie uśmiechał. To byłoby zbyt niebezpieczne.

- Do licha, Romano, idź do okulisty! Rzadko zdarza się taki okaz. Wysoki, ciemny, przystojny - i to wszystko w jednym opakowaniu.

Romana poczuła lekki skurcz w dołku. Nie miało to nic wspólnego ze skokiem z platformy.

- Czy mężatce przystoi myśleć w taki sposób o mężczyźnie, który nie jest jej mężem? - powiedziała z przyganą w głosie. - Poza tym... przystojny to on może jest, ale zapewniam cię, że nie jest miły. Ponurak. Prawdziwa zimna ryba. To Niall Macaulay, jeden z klanu Farradayów. Z gatunku dominujących samców. Przez najbliższy miesiąc odbywa u mnie staż.

- Mam rozumieć, że to on usiądzie w twojej łóżce na wieczornej gali? Ty to masz szczęście! Nie zapomnij uśmiechnąć się do kamery przed skokiem - poradziła. -

Twoje zdjęcie na pewno znajdzie się na okładce „Celebri-ty”. I dopilnuj, by nasze logo było widoczne!

Uśmiechnąć się do kamery?

Spojrzała w lustro. Mogła się zdobyć jedynie na odsłaniający zęby grymas i poprawienie szminki oraz włosów.

Wychodząc na spotkanie reżysera telewizyjnego, zmusiła się do uśmiechu.

- Doskonale - powtarzała z roztargnieniem, gdy przedstawiał scenariusz. Ale myślami była gdzie indziej. Myślała o Niallu Macaulayu, stojącym kilka metrów od niej. Ciekawe, czy żałował już swojej decyzji nieodstępowania jej ani na krok? Jego twarz była bez wyrazu.

- Jesteś pewien, że nie chcesz do mnie dołączyć? - zaczęła go ponownie. - Skok w wykonaniu jednego z Farradayów byłby doprawdy nie lada gratką. Przy okazji udowodniłbyś swoje zaangażowanie.

Reżyser obrzucił Nialla szybkim spojrzeniem.

- Znakomity pomysł - potwierdził. - Gdyby mógł pan się przebrać, panie Farraday...

- Nazywam się Macaulay. - Reżyser wyglądał na zmieszanego. - Niall Farraday Macaulay. Jest tu wielu chętnych, którzy skoczyliby nawet w przepaść w imię szczytnego celu. Wystarczy, jeśli będę sponsorował pannę Claibourne.

- Niall Farraday Macaulay? - spytała, wchodząc na wagę. - Naprawdę tak się nazywasz?

- To rodzinna tradycja. I memento, że nasz czas w firmie nadejdzie.

- Nie sądzę, jeśli tylko będę mogła temu zapobiec.

Odwrociła się, by wziąć kartkę, którą miała oddać ekipie organizującej skoki. Wzięła ją palcami, w których stopniowo traciła czucie. Tylko jej usta pracowały, żartowały na temat zawrotów, których doznawała na wysokości.

W ten sposób unikała myślenia o tym, co ją za chwilę czeka. Zgodziła się nawet na zdjęcie dla „Celebrity”.

- Claibourne i Farraday pracują wspólnie na rzecz dzieci pokrzywdzonych przez los - powiedziała, podając Niallowi rękę.

- Zbliżcie się do siebie - zachęcił fotograf. Niall, zaskakująco posłuszny, objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego i od razu odczuła zdumiewający komfort. - Doskonale ... Szeroki uśmiech...

Przestraszona z powodu kierunku, w jakim wędrowały jej myśli, podniosła wzrok. Ten mężczyzna miał wszystko - styl, klasę i wdzięk, zwłaszcza gdy się uśmiechał i pokazywał olśniewająco białe zęby, za które niejednen gwiazdor filmowy dałby fortunę. Podmuchy wiatru od rzeki poruszały jego doskonale ostrzyżonymi włosami, spychając je na czoło.

Gdy fotograf skończył, Niall puścił jej ramię.

- Czekają na ciebie - powiedziała.

Weszła na podnośnik na sztywnych nogach, a potem, gdy zaczął się wznosić, kurczowo chwyciła się barierki. Czy Niall w ogóle zauważył, że się bała? Czy miało to dla niego znaczenie?

- Jak widok? - dobiegł ją głos prezentera.

Zdając sobie sprawę, że minikamera pokazuje jej twarz z mocno zaciśniętymi oczami, wykrztusiła z udawanym ożywieniem:

- Zachowuję go sobie na deser, aż znajdę się na samej górze.

Usłyszała przez głośniki wybuch śmiechu. Gdy podnośnik zatrzymał się, instynktownie otworzyła oczy i wyszła na platformę. Londyn w dole wydawał się poruszać pod jej stopami. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Wolałabym wrócić do domu - powiedziała, a publiczność skomentowała te słowa salwami śmiechu. Romana również się roześmiała, starając się, by jej śmiech nie zabrzmiał historycznie. Gdy podnośnik zatrzymał się za nią, przywożąc pierwszą grupę ochotników do skoku, powiedziała: - Czy ktoś mógłby oderwać moje palce od barierki?

- Myślałem, że to dla ciebie nie pierwszyzna.

Niall Macaulay! Przybył jej na ratunek. Musiał zauważyć jej strach...

- Upuściłaś to. - Podał jej kartkę z nazwiskiem i wagą.
- Nie chciałem, by ominięło cię tak podniecające doświadczenie.

Zerknęła na swoje nazwisko na kartce i zmarszczyła brwi. Czyżby sugerował, że próbowała uniknąć skoku? Miała ochotę odwrócić się i odpowiedzieć mu ze złością, ale nie była w stanie się poruszyć. Poza tym transmisja szła na żywo.

- Dziękuję - powiedziała niemal wesoło. - Claibourne i Farraday. To się nazywa współpraca! - Nawet w tych warunkach pamiętała o wymienieniu nazwy firmy.

- Żaden problem. Po to właśnie masz stażystę. Aby wyłapywał twoje błędy. Czy jeszcze w czymś ci pomóc?

- Spojrzał na jej pobielające palce, kurczowo zaciśnięte na zimnym metalu.

- Mój bohater! - kpiła, gdy Niall odrywał je od barierki.

Pracownik obsługujący skoki przyczepił jej linę. Niall wyciągnął rękę, by pomóc Romanie wstać. Podziałało to krzepiąco. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Dzięki temu była mniej świadoma tego, co ją czekało.

Zauważyła zmarszczki w kącikach oczu Nialla, świadczące o tym, że uśmiech nie zawsze stanowił dla niego wysiłek.

- Strach jest tu całkiem na miejscu - powiedział.

- Strach? Kto tu się boi? - Włożyła palce drugiej ręki do ust i zrobiła śmieszna minę. Wygłupy były jedynym sposobem na pokonanie lęku.

- Zobaczysz, to bezpieczniejsze niż upadek z łóżka - zapewnił.

- Możesz mi to zagwarantować? - spytała. - Sprawdziłeś w praktyce? Z ilu łóżek wypadłeś?

Słowa te wywołały kolejny wybuch śmiechu zgromadzonej widowni, ale Niall Macaulay przestał się uśmiechać.

- Jesteś gotowa?

Pamiętając o tym, by do końca się uśmiechać, wyjęła lusterko i szminkę. Zrobiła znakomite przedstawienie, poprawiając makijaż.

- Muszę dobrze wypaść na fotografiach - powiedziała nieswoim głosem i rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu. - Jestem gotowa. - Oddała Nailowi lusterko i szminkę. - Masz jeszcze jakąś radę?

- Nie patrz w dół. - Przytrzymał ją od tyłu i przez moment mocno przyciskał do swej klatki piersiowej. Płynące od niego ciepło było przyjemne. Po raz pierwszy od chwili gdy weszła na podnośnik, poczuła się bezpiecznie. Niall zrobił krok do przodu.

- Chcesz mnie wypchnąć? - szepnęła, ale mikrofon przypięty do jej bluzki wyłapywał każdą sylabę.

- Nie tym razem - odparł, a jego odpowiedzi towarzyszyła kolejna eksplozja śmiechu. Podniósł Romanę lekko do góry, po czym postawił ostrożnie na brzegu platformy. Palce jej nóg znalazły się w powietrzu. Odruchowo zacisnęła je w butach. Tylko dłoń Nialla, spoczywająca na jej ramieniu, broniła ją przed omdleniem.

- Liczę do trzech - szepnął jej do ucha. - I nie zapomnij o krzyku!

ROZDZIAŁ TRZECI

Niall obserwował lot Romany. Był to pod każdym względem spektakularny wyczyn. Tylko jakieś wewnętrzne podejrzenie skłoniło go do przywiezienia na górę tej kartki.

Gdy obserwował Romanę na podnośniku, nabrał pewności, że zawali sprawę. On zaś, niezależnie od tego, kto w danej chwili kierował firmą, dbał o kondycję finansową C&F.

Powinien wiedzieć, że Romana wygłupia się tylko ze względu na kamery. Nie był o tym przeświadczony aż do chwili, gdy wyciągnęła szminkę, a rękę miała nieruchomą jak skała. Tak. To było częścią gry. Odgrywała przedstawienie dla sponsorów.

Dał się nabrać.

Zapomniała jedynie o rozdzierającym krzyku.

Ktoś otworzył butelkę szampana i wcisnął jej kieliszek do ręki. Romana nie ośmieliła się podnieść go do ust. Obawiała się, że zgryzie szkło szczękającymi zębami. Trzymała kieliszek mocno, podczas gdy tłum widzów dopingował kolejnego skoczka.

Przez chwilę myślała, że wszystko będzie w porządku. Kiedy jednak następna lina wyciągnęła się na pełną długość, a potem poderwała się do góry, żołądek Romany zaczął odtwarzać minione doświadczenie. Oddała kieli-

szek najbliższej stojącej osobie i uciekła do przyczepy, by wymiotować.

Gdy umyła twarz i wypłukała usta, usłyszała dzwonek telefonu komórkowego.

- Dobrze się czujesz? - usłyszała w słuchawce głos Molly. - Mamy tu telewizję. Gdy zobaczyłam, jak biegasz, pomyślałam, że...

- Że niepotrzebnie jadłam śniadanie - dokończyła Romana. Nadal się trzęsła. - Czy już żądają zwrotu pieniędzy? Nie mam pretensji. Nawet nie udało mi się porządnie wrzasnąć. Ale w gardle miałam gulę.

- Nie zamartwiał się. Wypadłaś wspaniale. Twój pomocnik również był bardzo przekonywający. Nikt nie zauważył, że się bałaś. Nie mogę sobie wyobrazić, co wymyślisz w przyszłym roku, żeby przebić dzisiejszy sukces. Chyba że zmusisz pana ponuraka do zdjęcia koszuli - dodała z nadzieją. - Osobiście na niego postawię.

Romanie aż zaszczoło w ustach. Na szczęście rozległo się mocne stukanie do drzwi i nie musiała komentować sugestii Molly.

- Otwarte! - zawołała, a gdy się odwróciła, zobaczyła Nialla Macaulaya we własnej osobie. Miał zmarszczone czoło, co mogło świadczyć o tym, że się zaniepokoił.

- Przyszedłeś zapłacić? - spytała nieuprzejmie i od razu tego pożałowała, gdy położył na stole czek wraz z jej szminką i lusterkiem. - Jesteś wspaniałomyślny - skwitowała. - Dziękuję.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

- Nie chciałbym przeszkadzać ci w rozmowie.

- To tylko Molly. Widziała, jak skaczę... Ona próbuje wymyślić jeszcze skuteczniejszy sposób reklamy. Uważa, że gdybyś na przykład zdjął koszulę, byłby to dobry po-

czątek... - Usłyszała jęk asystentki po drugiej stronie słuchawki. - Zresztą najlepiej, jak sama z tobą to omówi - zasugerowała zdesperowana, przekazując mu słuchawkę. - Podaj adres, żeby Molly mogła wysłać po ciebie samochód. Pamiętaj - szósta, strój wieczorowy.

- Szósta? - zdziwił się. - Czy to trochę nie za wcześnie na teatr?

- Ja się nie bawię, ja tam pracuję. Zajmuję się organizacją. Muszę dopilnować, by wszystko poszło gładko, a goście byli zadowoleni.

- A ja mam się temu przyglądać?

- Nikt ci nie każe. Sam chciałeś towarzyszyć mi wszędzie. Skończę pracę po północy.

Odwrociła głowę, by nie ugiąć się pod jego srogim spojrzeniem. Wiedziała, że przegra.

Nie przebrała się w kostium, złożyła go tylko starannie i schowała do torby, a potem, patrząc w lusterko, zaczęła poprawiać włosy. Wyglądała fatalnie. Była blada, a pokryte różem policzki upodabniały ją do umalowanej lalki. Wyjęła chusteczkę i starta róż. Niall tymczasem podawał Molly swój adres. Gdy skończył rozmowę, Romana wzięła od niego telefon, chwyciła torbę i z rozmachem otworzyła drzwi przyczepy.

- Dokąd teraz jedziesz? - spytał, podążając za nią.

- Najpierw do domu, żeby odwieźć rzeczy. Powinnam to zrobić wcześniej, ale miałam spotkanie z tobą - dodała z wyraźnym wyrzutem. - A potem idę do fryzjera.

- Nie jesz lunchu?

Na samą myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze.

- Nie. - Zerknęła na zegarek. - Nie mam czasu. Musimy już iść.

- W porządku. Chyba jednak daruję sobie fryzjera.

- Słusznie, sama załatwię tę sprawę - powiedziała z uśmiechem. - Do widzenia w teatrze.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy przyjechać jednym samochodem?

Praca z Niallem była wystarczająco trudna. Nie miała zamiaru wydłużać bez potrzeby spędzanego z nim czasu.

- Czy twoja propozycja ma podłoże ekologiczne czy finansowe? - spytała złośliwie.

- Ani jedno, ani drugie. Pomyślałem tylko, że po drodze mogłabyś zapoznać mnie z programem wieczoru. A jak już mówimy o teatrze, to przyznać muszę, że odegrałaś całkiem niezłe przedstawienie. - Szedł szybko, dotrzymując jej kroku. — Niemal wyprowadziłaś mnie w pole.

Nie wiedziała, czy miał na myśli jej strach, czy raczej udatne maskowanie totalnego przerażenia.

- Niemal? - spytała czujnie.

- Ile takich skoków już wykonałaś?

Przystanęła, by złapać przejeżdżającą taksówkę. A więc Niall nie był taki sprytny, za jakiego się uważał! To odkrycie sprawiło jej prawdziwą przyjemność.

- Do zobaczenia w teatrze - powiedziała, wsiadając do taksówki, i zdecydowanym gestem zatrasnęła drzwi.

Otulona czerwoną fryzjerską narzutką Romana przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, na próżno poszukując wskazówki, co takiego w jej wyglądzie irytowało Nialla Macaulaya. Niemożliwe przecież, żeby wciąż rozpamiętywał ten nieszczęsny incydent z kawą. Ostatecznie był to zwykły wypadek. Uprzejmy mężczyzna powiedziałby: Nic nie szkodzi. Szlachetny - dałby się przeprosić.

Niall nie był ani uprzejmy, ani wielkoduszny.

Jak szybko wystąpił z ofertą sponsoringu i jakże szybko zapłacił! Gdy się ma nadmiar pieniędzy, taki rodzaj szlachetności przychodzi bez trudu. Jej ojciec w tych sprawach był taki sam. Nie wahał się podpisać czeku na jej urodziny lub na święta, a nie zdawał sobie sprawy, że pragnęła jedynie, by ją przytulił, powiedział, że ją kocha. Ojciec nie był jednak zdolny do czegoś równie trudnego.

Zobaczyła w lustrze stojącego za nią George'a.

- Dziś ważny dzień, Romano - powiedział.

- Zły dzień — odparła. - Najpierw skok na bungee.

Potem obcięcie włosów. Co gorszego jeszcze może mi się przydarzyć?

- Czego się nie robi dla reklamy sklepu!

- To był szczyt moich poświęceń - zapewniła.

Obcięcie włosów stanowić miało ważny element tygodnia reklamowego. Planowała je od miesięcy. Uznała, że będzie to najlepsza reklama firmowego salonu fryzjerskiego, znajdującego się w C&F.

- Naprawdę masz na to ochotę? - spytał fryzjer z wahaniem. - Powinienem cię ostrzec, że zachwycone będą wyłącznie twoje przyjaciółki.

- Wspaniale. To właśnie na nich mam zrobić wrażenie.

George jednak nadal się wahał.

- Czy masz świadomość, że mężczyznom to się na pewno nie spodoba?

- Kto by sobie zawracał głowę mężczyznami!

- Przyjaciołom, znajomym, twemu ojcu... -

- Przestałam być córeczką tatusia, odkąd skończyłam cztery lata. - Gdy matka znalazła sobie kogoś młodszego, przystojniejszego i w dodatku z tytułem.

- Zdegustowani będą wszyscy, których poznałaś, i ci, którzy kiedykolwiek widzieli twoje zdjęcie w kolorowym

magazynie - dowodził George. - Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że połowa mężczyzn w Londynie jest zakochana w twoich wspaniałych włosach? Zechcą mnie zlinczować...

- Najważniejsze, że twoja fotografia znajdzie się w gazetach. Na litość boską, George, to tylko włosy. Zetnij je wreszcie!

I po raz drugi tego dnia zamknęła oczy.

Niall Macaulay popatrzył do góry na imponującą fasadę Claibourne & Farraday. Kiedyś był tu mały sklepik z luksusowymi towarami dla arystokracji. Z pokolenia na pokolenie firma rozrastała się, aż w końcu przemieniła się w dom handlowy, zajmujący jedną z najcenniejszych kamienic w Londynie.

Jordan, powodowany rodzinną dumą, miał obsesję na punkcie odzyskania tej własności. Bram podchodził do sprawy racjonalniej - jego zdaniem prawa Farradayów powinna zagwarantować nowa uaktualniona umowa. Dotychczasowa była źródłem ustawicznych zatargów. Kontrola nad sklepem przeszła z rąk Farradayów w ręce Claibourne'ów w okresie, gdy ruch feministyczny zaczynał zdobywać zwolenników. Matka Jordana oczekiwała, że jej roszczenia zostaną potraktowane poważnie. Jordan nigdy nie wybaczył Peterowi Claibourne'owi, że odsunął jego matkę z drogi do sukcesji. Od dziecka wysłuchiwał jej żalów z tego powodu.

Niall również pragnął odzyskać pakiet kontrolny, ale nie miało to nic wspólnego z sentymentami. Romana Claibourne miała rację. Chciał zdobyć kontrolę nad firmą po to, by zlikwidować aktywa i zainwestować pieniądze w coś mniej uzależnionego od gustów publicz-

nych. W dzisiejszych czasach handel przypominał pole minowe.

Odpowiadając na ukłon portierowi, który otworzył przed nim ogromne drzwi, przystanął w progu, zastanawiając się, gdzie skierować pierwsze kroki. Co prawda, złoto-wiśniowe furgonetki C&F dostarczały mu co tydzień artykuły spożywcze, ale od dnia, gdy po raz ostatni odwiedził sklep, minęły cztery lata.

Był tu z Louise. Wybierali porcelanę, pościel, robili listę ślubnych prezentów. Zostawił jej wszelkie decyzje. To przecież miał być jej dom. Chciał, by miała w nim wszystko, czego pragnęła. On pragnął jedynie na nią parzeć. Być z nią.

Poczuł ból na wspomnienie szczęścia, które bezpowrotnie pierzchnęło.

Dziś po raz ostatni miał okazję, by rozejrzeć się po sklepie w charakterze zwykłego klienta i sprawdzić, jakie przez cztery lata zaszły tu zmiany. Pojutrze wszyscy będą wiedzieli, kim jest.

Ponieważ nie jadł lunchu, postanowił poszukać najpierw restauracji.

Romana bezwiednie podniosła rękę i wzdrygnęła się, gdy natrafiła na pustą przestrzeń tam, gdzie niedawno były jej włosy.

- Zjedz coś i przestań się nad sobą roztkliwiać, Romano. Wyglądasz cudownie. - Molly podała jej kanapkę. - George to prawdziwy geniusz.

- Masz rację. Muszę się przyzwyczaić. A co tam w teatrze? Wszystko gra?

- Programy dostarczono, kwiaciarze układają kwiaty, firma cateringowa jest już na miejscu. Nikt nie odwołał

przyjścia. Wszystko idzie jak po maśle. Nie martw się. A poza tym, widziałam twojego przystojniaka. W „Buttery”, gdzie kupowałam kanapkę.

Romana zmarszczyła brwi.

- Mojego przystojniaka?

- Och, to istny sobowtór Jamesa Bonda. Jeśli pracowałabym z kimś takim, na pewno nie jadłabym lunchu sama.

- Chcesz powiedzieć, że Niall Macaulay jest w naszym sklepie?

- Przypuszczałam, że razem przyjechaliście... Nie wiedziałaś, że on tu jest?

- Nie wiedziałam. To jakiś podstęp... Widział cię?

- Chyba nie. Rozmawiał przez telefon.

- Proszę cię, Molly, wyślij za nim ochronę. Muszę wiedzieć, o co mu chodzi.

Mógł bywać w sklepie wielokrotnie do woli w ciągu ostatniego roku, żeby zebrać argumenty przeciwko Clai-bourne'om. Intuicja podpowiadała jej jednak, że dopiero dziś wykorzystywał ostatnią okazję, by powęszyć anonimowo. Na jego miejscu zrobiłaby to samo.

- Muszę wiedzieć, dokąd pójdzie, z kim będzie rozmawiać i co oglądać. Jutro z samego rana chcę mieć na biurku raport na ten temat.

Niall obejrzał wszystkie restauracje i kawiarenki. Na terenie sklepu znalazł nawet japoński sushi bar, co go zaskoczyło. Wszędzie roiło się od ludzi.

Zjadł spóźniony lunch w „Buttery” tylko dlatego, że wydał mu się najmniej ciekawy ze wszystkich proponowanych gdzie indziej. W dziesięciostopniowej skali ocen dałby mu najwyżej sześć punktów, i to oceniając łagodnie.

Po wyjściu z restauracji rozpoczął przechadzkę po sklepie. Wystrój niewiele się zmienił od początku dwudziestego wieku. Nadal dominował luksusowy mahoń oraz wiśniowe dywany - znak firmowy sklepu. Jednakże klientela była młodsza, niż mógł przypuszczać. Claibourne'owie musieli przyjąć dobrą strategię. Tak, tylko że Jordan nie zechce o tym słuchać. Chciał wiedzieć, co Claibourne'owie robili źle.

To, że ktoś za nim chodzi, Niall zauważył dopiero w dziale z książkami. Uznał, że powierzchnię handlową wykorzystano tu niewłaściwie, po staroświecku. Niegdyś takie działy urządzano w ten sposób, ale dziś to przeżytek. Nie były w stanie konkurować z nowoczesnymi księgarнями, gdzie klienci mogli napić się kawy i skorzystać z licznych promocji.

Gdy przystanął, żeby coś zanotować, śledząca go kobieta odwróciła się trochę za szybko, czym zwróciła na siebie uwagę.

Oczywiście widział asystentkę Romany w barze „Buttery”. Nie zrobiła w jego stronę żadnego gestu, przypuszczał więc, że go nie zauważyła. Jak się okazało - pomylił się.

Doświadczenie nauczyło go, by w ocenie ludzi brać pod uwagę przede wszystkim pierwsze wrażenie.

Jak na osobę, która chce być traktowana poważnie, Romana Claibourne nosiła pantofle na zbyt wysokich obcasach i za krótką spódnicę. A jej rozwichrzonych, włosów wystarczyłoby na wypchanie materaca! Zrobiła na nim wrażenie roztrzepanej kokietki, która - by uzyskać to, na czym jej zależy - nie zawaha się użyć wszelkich kobiecych sztuczek.

Ani przez moment nie wątpił, że zawsze dostawała to, co chciała.

Roztrzepana czy nie, nie traciła jednak czasu i wysłała za nim sklepowego detektywa. Musiał przyznać, że wymagało to odwagi i determinacji. Zerknął na zegarek i skierował się do wyjścia. Chciał jeszcze przed galą spędzić dwie godziny przy własnym biurku.

Nie mógł jednak pozwolić na to, by panna Claibourne myślała, że go przechytryła.

Molly dogoniła Romanę przy windzie i podała jej firmową torebkę z wytłoczonymi złotymi literami C&F.

- Muszę już lecieć - powiedziała Romana pospiesznie.
- Co to takiego?

- Pracownica ochrony, która śledziła Macaulaya, przyniosła to do twojego biura. Macaulay prosił, by przekazać ci prezent z wyrazami uznania.

- Zauważył ją?

- Najwyraźniej. - Molly uśmiechnęła się szeroko.

- To wcale nie jest śmieszne, Molly! - Romana otworzyła torebkę. Znajdował się w niej kartonik z flakonikiem perfum „Letni cień”, które były w sprzedaży od tygodnia.

- Lubię facetów z poczuciem humoru - zauważyła Molly wesoło. - A ty?

- To nie ma nic wspólnego z poczuciem humoru - oburzyła się Romana. - Ten facet to smutas. To z jego strony... - Zawahała się. Zamierzała powiedzieć „sarkazm”. Ale było w tym coś bardziej subtelnego. - Wyraz ironii - dokończyła.

Niall zapiął spinki koszuli, a potem poprawił krawat. Louise zawsze żartowała, że ożenił się z nią tylko dlatego, że sam nie potrafił niczego zawiązać.

Cztery lata. Całe cztery lata już jej nie było. Cztery lata

życia tak przejmująco samotnego, jak odgłos echa w pustym pokoju.

Wziął do ręki stojącą na toalecie fotografię w ciężkiej srebrnej ramce i lekko dotknął twarzy pięknej kobiety, która się do niego uśmiechała>Arystokratyczna brunetka - całkowite przeciwieństwo Romany Claibourne... Nagle zupełnie niespodziewanie poczuł, jak pomiędzy nich dwoje wkrada się spojrzenie niebieskich oczu Romany.

Romana zapięła na szyi ciasny łańcuszek z cienkich platynowych drucików, a potem założyła takie same bransoletki. Był to fragment kolekcji biżuterii zakupionej przez Florę. Kupno zainspirowała jej zeszłoroczna podróż do Afryki. Elegancka prostota tych ozdób pozostanie na pewno w żywym kontraście z brylantami, które będą dziś nosić ich królewskie wysokości.

Romana włożyła bardzo prostą, dyskretną suknię. Wieczorem miała pełnić rolę pomocniczą - jej zadaniem było dopilnować, żeby wszystko przebiegało sprawnie. W centrum uwagi miała się znaleźć India. Ale i ona musiała prezentować się niebanalnie. Włosy, paznokcie, makijaż, wszystko prócz sukni, było wizytówką firmy.

Pracowała bardzo ciężko nad odświeżeniem wizerunku C&F. Nadal miała mnóstwo pomysłów. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że może to wszystko stracić. Jakże by to było bolesne.. Nie mogła do tego dopuścić.

Wzięła do ręki perfumy, które dostała od Macaulaya, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie oceniła go niewłaściwie. Oczywiście - był bardzo inteligentny. Ale czy to możliwe, żeby rozumiał zasady rządzące handlem detalicznym? I żeby mimo wszystko miał poczucie humoru?

Niewiele myśląc, skropiła nadgarstki nowym zapachem. Był orzeźwiający i chłodny - tak jak jego ofiarodawca. Uśmiechnęła się pod nosem. Tak czy owak, Niall Macaulay nie należał do mężczyzn tuzinkowych. I nie zawsze był taki zimny, pomyślała, przypominając sobie, jak ciepło i bezpiecznie się poczuła, gdy obejmował ją ramieniem.

Dzwonek do drzwi przywrócił ją do rzeczywistości. Niemal wypuściła flakonik z rąk.

Niall Macaulay był przede wszystkim wrogiem. Czyhał przecież na dom towarowy Claibourne & Farraday. Chciał go przejąć.

Zarzuciła szal na ramiona, wzięła torebkę i podeszła do drzwi.

- Jego niedoczekanie! - powiedziała głośno. - Nigdy do tego nie dopuszczę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niall wkroczył na odgradzony kordonem chodnik, gdzie rozstawiano kamery telewizyjne i kłębił się tłum paparazzich. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przyszedł zbyt wcześnie, by wzbudzić zainteresowanie.

Pokazał przepustkę, którą dostarczył mu kierowca przysłanego samochodu, i został wpuszczony do środka. Kolumny w foyer okręcone były sznurami maleńkich białych lampek i ozdobione kwiatami, a pośrodku, dokładnie tam, gdzie spodziewał się ją zobaczyć, stała Romana Claibourne, dyrygując montażem tablic ekspozycyjnych. Miała na sobie prostą, pozbawioną ozdób sukienkę z granatowej satyny, cudo sztuki krawieckiej, która opinała jej figurę i trzymała się na biuście bez żadnych ramiączek.

Niall przystanął urzeczony tym widokiem. Dla mężczyzny, który po śmierci ukochanej kobiety nie reagował na najbardziej nawet uwodzicielskie awanse pań, taka reakcja na oszałamiające wdzięki Romany Claibourne była głębokim szokiem.

Prócz obcisłej sukni jego uwagę zwróciły także włosy. Zniknęła nieuporządkowana i jego zdaniem nieładna szopa. Twarz Romany okalały teraz drobne loczki, wijące się również na jej pięknej, długiej szyi, przyozdobionej obróżą z cienkich platynowych drucików. Wyglądała w tej biżuterii jak afrykańska królowa. Ze słodkiej idiotki przestoczyła się w olśniewającą młodą kobietę. Mężczyzna

musiał mieć się na baczności, żeby nie stracić dla niej głowy. A być może również serca.

Przestraszony tą myślą, Niall bezwiednie zrobił krok do tyłu. Jak to możliwe? Nie miał przecież serca do stracenia. Oddał je jedynej kobiecie, jaką kochał.

Ale mężczyźni, którzy mocowali ciężkie tablice dokładnie tam, gdzie życzyła sobie Romana, byli nią jawnie zafascynowani. Bez szemrania czterokrotnie przesuwali ekspozycje, nim w końcu ją zadowolili. Romana przez cały czas była uprzejma, urocza, a gdy wykonali jej polecenie, uśmiechała się jak anioł.

Niall odczuwał rozdarcie. Miał cyniczne przeświadczenie, że wykorzystywała swe kobiece atuty, aby uzyskać to, co chciała, a jednocześnie niepokojącą pewność, że jej urok był szczerzy.

- Dobry wieczór, Romano - przywitał się, zerkając na tablice. Ciekaw był ogromnie, o co chodzi w całym tym zamieszaniu.

- Och, Niall, jesteś już - rzuciła, ale lekkie napięcie w głosie i nieznaczny rumieniec na policzkach świadczyły o tym, że od dłuższej chwili była świadoma jego obecności. On też odczuwał napięcie. Miał wrażenie, że wszystko w nim płonie. Fakt, że byli przeciwnikami, tylko pogłębiał ten stan.

- Przyszedłeś akurat, gdy już skończyliśmy - dodała z przyganą w głosie.

Odczuł nagły przypływ siły i przyjemny dreszcz z powodu starcia z piękną kobietą.

- Wprost przeciwnie - odparł. - Obserwowałem całą akcję z takim samym zainteresowaniem jak ty. Po to tu jestem, prawda? Jeśli potrzebowałaś jeszcze jednego tragarza, to...

Przerwała mu, unosząc dłoń. Cieniutkie platynowe bransoletki spływały z nadgarstka na jasne, gładkie przedramię.

- Nie, Niall. To prawda, jesteś tu po to, żeby obserwować, a nie brać we wszystkim udział. - Patrzyła jednak na niego tak przesywającym wzrokiem, jakby chciała czytać w jego myślach. Wskazała tablicę ekspozycyjną. - A zatem obserwuj.

Odczuł, że oderwanie od niej wzroku i przyglądanie się kolażowi fotografii, przedstawiających projekty wspierane w tygodniu dobroczynności oraz szczęśliwie roześmiane dzieci, przychodzi mu z wielkim trudem.

- Dobra reklama - pochwalił. - Rzeczywiście robi wrażenie. Jak zresztą wszystkie twoje reklamowe przedsięwzięcia. Ciekaw jestem, co robisz przez resztę roku? - spytał drwiąco. - Odnoszę wrażenie, że po jednym skoku na linie masz dość na dłuższy czas.

- Prawdę mówiąc, na zawsze. - Zdażył zauważyć cień strachu w jej oczach. Przynajmniej tym razem nie zdołała wywieść go w pole. - Masz rację, moja praca to nie tylko splendor i szampan. - Uśmiechnęła się, co świadczyło o tym, że zapanowała nad sobą. - Och, zapomniałam podziękować ci za perfumy. Skorzystałam z nich... - Podsunęła mu pachnący szczupły nadgarstek, ozdobiony platynowymi drucikami.

Niall kupił te perfumy z uwagi na ich nazwę. Teraz jednak zapragnął bez względu na wszystko ująć jej dłoń i podnieść do ust. Pragnął przytulić ją i powiedzieć, że już nigdy nie powinna robić niczego, co ją przeraża.

Wątpliwie, by chciała to usłyszeć. Prowadziła z nim starannie wystudiowaną grę. Rodzaj flirtu, w którym miała nie lada wprawę. Nie mógł pozwolić, by wzięła go za naiwniaka.

- Żeby odpokutować? - spytał, nie patrząc na jej wyciągniętą rękę. - To naprawdę nie było konieczne. Ekspedientka przekonywała mnie, że to zapach na dzień. Czyżby się myliła?

Krytyka jej własnego personelu nie zrobiła na Romanie wrażenia.

- Pozwolisz? - Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła do jego krawata i nieznacznie go poprawiła

Ten intymny gest przywołał gorzko-słodkie wspomnienie Louise i wzbudził w Niallu ostre poczucie winy, że ostatnio tak wiele myśli poświęca innej kobiecie.

- Tak jest lepiej - dodała, nim zdążył zareagować. - Również mój cień powinien wyglądać perfekcyjnie... A co do opinii ekspedientki... - Podniosła wzrok. - Jestem pewna, że wiedziała, co mówi. Zazwyczaj nie perfumuję się do teatru. Nie ma nic gorszego niż siedzenie obok mocno uperfumowanej osoby, nie uważasz? Ale ten zapach jest bardzo delikatny. - Uniosła rękę do twarzy. - Neutralny. - Po raz drugi nie dała mu jednak okazji, by sam sobie wyrobił opinię. Najwyraźniej w dalszym ciągu kpiła sobie z niego.

- Wspaniale to wszystko zorganizowałaś.

Romana odwróciła się, słysząc głos swojej siostry.

- Molly doskonale się spisała. Indio, przedstawiam ci Nialla Farradaya Macaulaya. Jak widzisz, towarzyszy mi jak cień. To dla niego ciężkie zadanie.

India Claibourne, ciemnowłosa i wyższa od siostry, była jej całkowitym przeciwieństwem. Odwróciła się do Nialla i chłodno podała mu rękę.

- Podziwiam pański zapał do pracy, panie Macaulay... - Uśmiechała się uprzejmie, ale nie była w stanie ukryć nuty lekkiego zdenerwowania w głosie.

- Romana wyjaśniła mi, że jej zajęcia nie kończą się o siedemnastej. Staram się dotrzymać jej kroku.

- Wszystkie tak pracujemy. Pańscy partnerzy wkrótce się o tym przekonają - oświadczyła zimnym tonem India, po czym odwróciła się do kolejnego rozmówcy.

- Nikt nie wzięłby was za siostry - powiedział Niall do Romany. - Nie jesteście podobne.

- Nie urodziła nas jedna matka. No cóż - lekko wzruszyła ramionami. - Wszystkie mamy inne matki. Przykro mi, Niall.

- Przykro? Z jakiego powodu?

- To India jest mądra, ma klasę i styl. A ja... Ja mam szopę na głowie i nie potrafię nawet utrzymać kubka w dłoni.

Tym jednym zdaniem podsumowała jego pierwsze wrażenie. Jakże łatwo go rozgryzła. Odczuł irytację, że nie potrafił lepiej ukryć swoich uprzedzeń.

- Sprawę włosów już rozwiązałaś.

- To tylko chwyt reklamowy na rzecz naszego nowego stylisty. - Znów wzruszyła ramionami. - Jak widzisz, jestem żywą reklamą sklepu. - Dotknęła naszyjnika. - To również pochodzi z nowej kolekcji zakupionej przez Floreę. Nawet perfumy to nasza nowa linia. Obawiam się, że los przydzielił ci niewłaściwą z sióstr Claibourne.

W drwiącym tonie jej głosu dosłyszał jakąś fałszywą nutę. Czyżby jako najmłodsza z sióstr czuła się przytłoczona przez pozostałe? Czyżby miała kompleks niższości?

- Myślę, że jednak się mylisz. Jestem pewien, że Indię najlepiej pozostawić Jordanowi. Może być niezła zabawa.

- Zabawa? - Spojrzała na niego ostro.

- A czy to nie miała być zabawa? - Uśmiechnął się.

Nie tylko ona potrafiła żartować. Jak widać, nie zapomniał, jak się to robi.

Romana opadła na tylne siedzenie samochodu z głośnym westchnieniem.

- Jeden dzień z głowy. Ale jeszcze pięć przed nami.
- Denerwowałaś się?
- Żartujesz? - Zerknęła na Nialla który zapinał pas.
- Nie masz pojęcia, ile rzeczy może się nie udać.
- Na przykład może przyjechać jeden samochód zamiast dwóch?

Obruszyła się z powodu krytyki ukrytej w tych słowach. Molly zamówiła dodatkowy samochód, który przywiózł Nialla, ale zapomniała, że będzie on potrzebny również na powrót. Jednakże z uwagi na masę spraw, z którymi musiała się uporać, należało jej to wybaczyć.

- O Boże, przecież nic takiego się nie stało! Ostatecznie mogłam pojechać metrem.

- W tej sukni? Nie radziłbym - odpowiedział.

Z niechęcią musiała się z nim zgodzić.

- Albo wezwać taksówkę - dorzuciła. - Zresztą żaden liczący się gość nie został narażony na niedogodności.

- A zatem albo nie zostałem narażony na niedogodności, albo się nie liczę - skomentował Niall.

- Jesteś moim cieniem - powiedziała, mimo wszystko zaskoczona. Nie podejrzewała, że Niall należy do ludzi, którzy robią problemy z powodu tak błahej wpadki. - Musisz dzielić mój los.

Przez cały wieczór była świadoma jego obecności. Obserwował, jak kierowała akcją, jak wygładzała każdą najmniejszą zmarszczkę, która mogłaby zakłócić tok uroczystości. I przez cały czas czuła zapach perfum, któ-

re jej ofiarował - subtelna, nieokreślona, ale nieodparcie zmysłową woń.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że ucieszyłby cię jakiś niegroźny incydent - odezwał się, wrywając ją z zamyślenia. - Miałabyś wówczas szansę zademonstrowania swoich możliwości w sytuacji kryzysowej. - Nie potrafił sobie darować drobnej złośliwości.

- Nie pomyślałam o tym. - Udawała, że połknęła haczyk. - Teraz widzę, że powinnam zaaranżować jakieś małe zamieszanie. Niechby na przykład pijany kelner upadł z tacą z przekąskami albo zaczął się zalecać do Jej Księżęcej Wysokości. Niemniej jednak... - zrobiła małą pauzę, by dokładnie się zorientować, co ma na myśli - przypuszczałam, że dobry poziom rozrywki bez dramatycznych sytuacji zrobi na tobie największe wrażenie. - Poczekaj aż Niall przyzna jej rację.

Wahał się tylko chwilę.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział.
- Dziękuję. Dokąd cię podwieźć?
- Byłoby wygodniej, gdybym to ja ciebie podwiózł.
- Nie bawmy się w galanterię, Niall. To nie jest randka, lecz biznes, a Claibourne'owie i Farradayowie są równorzędnymi partnerami. - W zaistniałej sytuacji musiała to podkreślić. - Dokąd chcesz jechać?

- Mieszkam w Spitalfields - powiedział, a gdy zawahała się, uświadamiając sobie, że zachowała się nierozsądnie-, wyjaśnił: - Pomyślałem, że nie będzie ci to po drodze.

I nie było. Całe kilometry w przeciwną stronę! Właśnie dlatego zasugerował, żeby kierowca podrzucił najpierw ją. Żadna galanteria. Wyłącznie zdrowy rozsądek. Dobrze, że w ciemności nie mógł zauważyć, jak się zarumieniła z po-

wodu tej głupiej uwagi o randce. Co sprawiło, że powiedziała coś podobnego?!

Może zmęczenie? A może głód? Ostatni kęs miała w ustach wczesnym popołudniem. Wieczorem podczas gali była zbyt zajęta, by skosztować wykwintnego jedzenia...

- Spitalfields, poproszę - powiedziała do kierowcy. Było już za późno żałować błędów. - Gd dawna tam mieszkasz?

- zwróciła się do Nialla, gdy samochód ruszył.

- Od czterech lat.

- To dziwne, widziałabym cię raczej w Kensington lub w Chelsea. Wszędzie, ale nie na tętniącym życiem i modnym ostatnio East Endzie.

- Mam blisko do City, no i są tam dobre restauracje - wyjaśnił lakonicznie. - Poza tym jestem członkiem rady dzielnicy. - Gdy zauważył jej powątpiewające spojrzenie, dodał: - Kuba Rozpruwacz już tam nie mieszka.

- Myślałam, że mieszkał w Whitechapel - powiedziała, usiłując sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała o Spitalfields. W przyływie nagłego olśnienia spytała: - Mieszkasz może w jednym z tych osiemnastowiecznych domów, które należały kiedyś do kupców jedwabiu? - Widziała w telewizji program na temat renowacji tej dzielnicy.

- Gdy kupowaliśmy ten dom, był kompletną ruiną. Renowacja trwa nadal, ale postępuje bardzo wolno. Louise była członkinią komitetu odbudowy tych starych domów i bez niej... - Zamilkł, jakby cisza wszystko wyjaśniała.

- Louise? Czy to twoja żona?

- Tak. Była historykiem sztuki. Poznaliśmy się, kiedy jej komitet próbował zdobyć fundusze na kupno tego domu i jego odrestaurowanie. Więc ja go kupiłem.

- Ach, tak? - Rzuciła na niego okiem.

- Uznałem, że to dobra inwestycja. Chciałem też, żeby

Louise miała frajdę z jego odnowy. A jako właściciel mogłem tam wpadać, kiedy chciałem.

- Och, rozumiem. Zakochałeś się w niej.
- Od pierwszego wejrzenia - przyznał. - Rok później dałem jej ten dom w prezencie ślubnym.
- Och, to było bardzo... - Chciała powiedzieć „romantyczne”, ale w porę się powstrzymała. Zamiast tego dodała: - Przykro mi.

- Z jakiego powodu? - Zmarszczył brwi.
- Przypuszczam, że jesteś rozwiedziony. - Nagle zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Jeśli nadal mieszkał w tym domu... - Och, przepraszam. To nie moja sprawa. Zacisnęła powieki, jakby przeszył go fizyczny ból.

- Nie musisz przeproszać - odezwał się po chwili. - Louise zmarła cztery lata temu.

Nie spytała, ale i tak jej powiedział. Być może, przyzwyczajony do taktownego milczenia zaciekawionych obcych ludzi, wołał prędzej mieć to z głowy.

- Byliśmy na Oceanie Indyjskim. Zabrałem ją na rafę, pływaliśmy z maską. Zadrapała się o koral. - Bezradnie rozłożył ręce. - To było zwykłe zdrapanie. Nic takiego... Po tygodniu nie żyła.

Romana przełknęła ślinę.

- Tak mi przykro - powtórzyła i w tym samym momencie skojarzyła. Cztery lata temu. Cztery lata temu dał jej ten dom w prezencie ślubnym. Byli więc w podróży poślubnej!

- Od tamtej pory w pracach renowacyjnych trwa zastój. Louise by mi nie wybaczyła, że nie kontynuuję rozpoczętych przez nią prac...

- Musi ci być bardzo ciężko. - Dotknęła jego ręki w geście pocieszenia. - Jestem pewna, że zrozumiałaby.

- Naprawdę? - Wydawało się, że ta uwaga rozbawiła go. - India jest bardzo do niej podobna. Ten sam koloryt - ciemne oczy, włosy. Rasowe, szlachetne rysy. Dystyngowany sposób bycia. - Urwał i popatrzył na nią bez śladu bólu. W ogóle bez żadnych emocji. Tak jakby nagle postanowił odciąć się od wszelkich uczuć.

Zażenowana swoim spontanicznym gestem, chęcią pocieszenia go, chociaż wcale tego nie pragnął, Romana gwałtownie cofnęła rękę.

- Mam nadzieję, że India nie będzie cię zbyt prześladować, ponieważ... - Ugryzła się w język. Jej impulsy wność zawsze stwarzała problemy. - Już milczę - dodała ze skruchą.

- Lepiej nie. Opowiedz mi o jutrze. Jakie to podniecające przygody czekają mnie jutro w C&F?

- Podniecające przygody? - W jednej chwili zapomniała o zażenowaniu. - Naprawdę jesteś żądny przygód? W porządku, masz szczęście. Jutro rozpoczynamy od wizyty w sfinansowanym przez nas z ubiegłorocznej zbiórki centrum zabaw dla dzieci specjalnej troski. Oficjalne otwarcie, wywiady, zdjęcia dla sieci telewizyjnych.

- Domyślam się, że wszystkie dzieci będą w koszulkach z logo C&F.

- Oczywiście. To najlepsza reklama. Nie zapomnij przynieść swojej.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Cóż, India na pewno wolałaby, żeby pozostał anonimowy. Przy odrobinie szczęścia prasa mogłaby go wziąć za ochroniarza.

- Oczywiście, jeśli zdecydujesz się przyjść - dodała: - To nie jest obowiązkowe.

- A po południu?

- Aukcja przedmiotów należących do sławnych i bo-

gatyh. Piłki podpisane przez gwiazdy futbolu. Bielizna słynnych aktorek. Wiesz, takie rzeczy.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi, jeśli książeczkę czekową zostawię w domu?

- Byłeś już bardzo szczodry, Niall. Obiecuję, że twoje pieniądze zostaną dobrze spożytkowane. Zresztą sam jutro się przekonasz.

Nie skomentował.

- A wieczorem? - zapytał.

- Wieczorem... - O Boże! Wolała mu nawet nie wspominać o zaplanowanych na wieczór imprezach! - Nic - powiedziała pospiesznie. - Możesz pojechać prosto do siebie i zdrzemnąć się przed telewizorem. Albo zająć się urządzaniem swego domu... Och! - Zakryła usta dłonią, ale odsłonił je, ujmując ją za nadgarstek.

- Romano... Nie jesteś głodna?

- Głodna? - Tego pytania naprawdę się nie spodziewała

- Biegasz od szóstej, starasz się, żeby wszyscy dobrze się czuli. Ale nie widziałem, żebyś coś jadła. O ile wiem, nie byłaś na lunchu. - Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. A może był to tylko refleks światła ulicznych latarni? - Po prostu zastanawiałem się, czy nie jesteś głodna.

- Dojeżdżamy do Spitalfields - oznajmił kierowca.

Niall podał nazwę ulicy i znów zwrócił się do Romany:

- Może... - zaczął z lekkim wahaniem. - Może chciałabyś zobaczyć dom? Zrobię coś do jedzenia.

- Jest już późno. Kierowca...

- Jestem pewien, że kierowca chętnie poczeka jeszcze godzinę. O ile wasz budżet to wytrzyma - dodał z lekkim uśmiechem.

Chciała odmówić. Była naprawdę zmęczona i nie miała ochoty spędzać godziny nad jajecznicą w towarzystwie

Nialla Macaulaya. Wiedziała jednak, że powinna wykorzystać każdą okazję, by lepiej poznać tego człowieka. Poświęciła firmie tyle energii, tyle lat życia... Nie zamierzała oddać jej teraz temu bankierowi, który w sercu miał kolumnę liczb.

To nieprawda... Był chłodny, nawet zimny, ale przecież nie zawsze... Musiała zrozumieć, co nim powodowało, i znaleźć na niego sposób.

- Panuję nad budżetem - powiedziała i powstrzymując ziewanie, zerknęła na kierowcę. - Może pan przyjechać po mnie za godzinę?

- Oczywiście, proszę pani.

Niall poprowadził ją po kilku schodach. Otworzył frontowe drzwi, zapalił światło i odsunął się, by wpuścić ją do środka. Znajdującą się w holu boazerię w spleśniałym zielonym kolorze zdobił nieregularny deseń liści i kwiatów, tak delikatny, że niemal niewidoczny.

- To jest oryginalne? - spytała zaskoczona Romana.

- Tak. Na szczęście ocalało. Na górze jest pokój, gdzie pod tapetami również znaleźliśmy stare dekoracje. Pokażę ci pokoje, ale najpierw coś zjemy. Chodźmy do kuchni, tu jest ciepło.

Wskazał starą sofę, stojącą przy ścianie dużej, przytulnej kuchni, gdzie naraz mogło usiąść przy stole z tuzin osób. Nie było tu nierdzewnej stali ani żadnych znamion nowoczesności. W ogóle niczego wyszukanego.

- Rozgość się, a ja podgrzeję domową zupę z C&F - powiedział.

- Jak ci minął pierwszy dzień? - dopytywał się Jordan.

- Interesująco. Był bardzo długi. - Niall ziewnął.

- Spędziłeś z Romaną Claibourne również wieczór?

- Tylko służbowo. - Niall zerknął na stojącą na toalecie fotografię w srebrnych ramkach, z której słodko uśmiechała się Louise. Dobrze wiedział, że obowiązki służbowe skończyły się, gdy samochód zatrzymał się przed jego domem. Był to również dom Louise. Do tej pory nie zaprosił tu żadnej kobiety. Nie posadził na jej sofie... Ale Romana wyglądała na taką zmęczoną. Był pewien, że po powrocie do domu nie zadałaby już sobie trudu, by coś upitracić. Oczywiście, możliwe, że ktoś wcisnąłby jej do ręki kubek kakao przed snem. Skoro jednak przystała na jego zaproszenie, świadczyło to raczej o tym, że nikogo takiego nie było...

A może tylko korzystała ze sposobności, żeby go lepiej poznać? Próbował przekonać siebie, że sam postępował nie inaczej. Ale nie była to prawda. Wcale nie chciał się z nią rozstać.

Wpatrując się w fotografię Louise i próbując wymazać wkradającą się pomiędzy nich twarz Romany, czuł tępy ból i obwinał się za to, że z każdym dniem bladła w nim pamięć o żonie.

- Służbowo? - naciskał Jordan. - Byłeś na gali dobroczynnej? Widziałem cię w telewizji. Ale nie zauważyłem cię wśród gości przedstawianych parze książęcej.

- Romany też tam nie było. Pilnowała zza kulis, żeby wszystko szło jak w zegarku. - Ze słuchawką przytkniętą do ucha Niall odpinał spinki od mankietów koszuli. - Byłem przy niej. Obserwowałem.

- I co?

- To był naprawdę udany wieczór. Dobrze zorganizowany i bardzo interesujący. Romana Claibourne wcale nie jest taką... beztroską blondynką, na jaką wygląda. - Przez cały wieczór nawet nie poprawiła włosów. Raz czy dwa sięgnęła ręką, jakby chciała zakręcić lok palcami, ale nie

było nic do zawinięcia. Przypomniawszy sobie, jak skrócone włosy ładnie okalały jej twarz... Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy przypomniał sobie również dotknięcie jej jedwabistej ręki.

- Szkoda - wtrącił Jordan, zmuszając go do skupienia uwagi na rozmowie.

- Raczej szkoda, że ciebie tam nie było. India w każdym calu wygląda jak generalny dyrektor - dodał prowokacyjnie, uwalniając się od krawata i jednocześnie od resztek zapachu perfum Romany. Podniósł krawat do twarzy, by uchwycić słabiutką już woń. Przypomniawszy sobie moment, gdy odsuwał od jej ust dłoń, kiedy powiedziała odrobinę za dużo. - Tak, powinieneś być u jej boku.

- India Claibourne zaczeka - skomentował ostro Jordan. - A co robisz jutro?

- Jedziemy do centrum zabaw dla dzieci specjalnej troski. - Dopiero teraz zorientował się, że Romana zapomniała podać adres. Jutro z samego rana będzie musiał zatelefonować do jej biura i poprosić Molly, by przefaksowała mu program na cały dzień. Miał przecież własną pracę, którą musiał się zająć. - Rozejrzałem się trochę po sklepie - powiedział, zmieniając temat. - Masz rację, wymaga gruntownych zmian.

- Oczywiście! - Jordan znalazł się w swoim żywiole. - Peter Claibourne żyje przeszłością. A co gorsza kompletnie zaniedbuje przyszłość.

- Może on wie więcej, niż myślisz - zadumał się nagle Niall. - To będzie nas sporo kosztowało.

- Postęp nigdy nie jest tani. Będziemy w kontakcie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Opowiedz mi o Niallu Macaulayu - poprosiła India, gdy zostawiły za sobą zatłoczone ulice Londynu. - Jaki on jest?

Jaki jest? Przez całą noc w głowie Romany huczał wir sprzecznych myśli. Chłodny. Inteligentny. Sarkastyczny. Mizoginista. Mężczyzna o wspaniałej prezencji, który bez wysiłku mógł zawrócić kobiecie w głowie. Sprawiłoby jej ogromną przyjemność, gdyby mogła rzucić go na kolana, zmusić, by przyznał, że mu dorównuje. Była już pewna, że zna go jak zły szeląg, a tymczasem, gdy opowiedział o swojej żonie, całkowicie zrewidowała opinię na jego temat.

- O co mu chodzi?

Romana była pewna tylko jednego. Niall Macaulay nie był zainteresowany prowadzeniem domu towarowego, nawet tak dużego i sławnego. Nie zamierzała jednak mówić tego Indii, przynajmniej nie teraz.

- Uważaj! - krzyknęła nagle. - Patrz na drogę. I zwolnij, na litość boską!

- Co się z tobą dzieje? - India zerknęła na nią zaniepokojona.

- Nic. Źle spałam. To wszystko.

India znów spojrzała na siostrę, tym razem ze współczuciem i troską.

- Ja też nie śpię dobrze, odkąd prawnicy podrzucili mi tę bombę z pakietem kontrolnym akcji. Opowiedz mi, co takiego wydarzyło się wczoraj wieczorem?

- Wczoraj wieczorem? Ależ nic się nie wydarzyło!

- Powiedziała to zbyt szybko, zbyt stanowczo, a kiedy jej siostra raptownie odwróciła głowę, dodała spokojniej: - Naprawdę nic. Po prostu byłam zanadto podniecona, żeby zasnąć. Przez całą noc przeżywałam swój skok na bungee.

- Na samo wspomnienie zakręciło jej się w głowie.

- Nie musiałaś tego robić, Ro.

- Naprawdę? - Wzruszyła ramionami. - Możliwe... Ale dzięki temu skokowi dziś rano mogłaś mnie oglądać we wszystkich gazetach.

- Zgadza się - skonstatowała India ponuro. - Byłoby jednak lepiej, gdyby Niall Macaulay cię nie obejmował. I jeszcze ten nagłówek: „Claibourne i Farraday skaczą z radości!”. O czym wtedy myślałaś?

- O zrobieniu na nim wrażenia. I znalazłam się we wszystkich gazetach.

- Ale to wywołało w prasie również spekulacje na temat Farradayów. Zostali zauważeni. A ja nie życzę sobie nawet słyszeć tego nazwiska!

- Trudno będzie tego uniknąć, skoro widnieje ono nad głównym wejściem.

- Już niedługo - odparła India. - Gdy cały ten zamęt prawny się skończy, zamierzam zmienić nazwę naszego sklepu na „Claibourne”. Po prostu. Co o tym sądzisz?

Romana wpatrywała się w zdeterminowaną twarz siostry. Uświadomiła sobie raptem, że India miała wszystko starannie przygotowane. Prawdopodobnie pracowała nad tym od lat. Nic dziwnego, że była wściekła na Jordana Farradaya. Rozwiązał jej marzenia, zrujnował plany.

- Myślę, że nie powinnaś głośno o tym mówić - stwierdziła stanowczo Romana. - Ktoś jeszcze wie?

- Nikt, prócz nas.

Romana też wolałaby nie wiedzieć.

- I niech tak zostanie. A najlepiej w ogóle o tym zapomnij. Przynajmniej do czasu, gdy osiągniesz taką pozycję, że będziesz mogła zrealizować swój plan. Jeśli Jordan Farraday dowie się, co kombinujesz...

- W porządku. Ty też się postaraj, żeby się nie dowiedzieli.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewniła Romana. Nie mogła jednak dać żadnych gwarancji. Niewiele wiedziała o panach Farradayach, ale miała całkowitą pewność, że Niall nie był głupi.

India w przepraszającym geście oderwała rękę od kierownicy.

- Nasz sklep jest ważniejszy niż jakiś idiotyczny spór rodzinny, trwający od ponad stu pięćdziesięciu lat. Mam nadzieję, że zdołamy przekonać Farradayów, iż najrozsądniej będzie pozostawić sprawy w naszych rękach...

- Nie licz na to. Zwłaszcza, jeśli się dowiedzą, że planujesz usunąć ich nazwisko z nad wejścia.

- Cóż, jeśli rzecz skończy się w sądzie - ciągnęła India buńczucznie - przynajmniej wykażemy wszem i wobec, że jesteśmy kompetentne, myślimy perspektywicznie i potrafiłyśmy osiągnąć sukces.

- Co do naszej kompetencji, zgadzam się. Ale jeśli chodzi o sukces... - Wzruszyła ramionami. - Niall doskonale wie, że od dwóch lat wyniki sprzedaży nie napawają optymizmem. A co do perspektywicznego myślenia...

- Nie musisz cytować Nialla Macaulaya - burknęła

India, zdradzając podenerwowanie. - Twoim zadaniem jest dopilnować, by zobaczył w nas zespół nie do pobicia.

- Spróbuję. - Romana wołała nie wspominać, że gdy Niall podgrzewał jej zupę, opowiadając krótką historię swego domu, zasnęła na sofie w jego ciepłej kuchni. Zbudził ją dopiero wtedy, gdy podjechał po nią samochód.

Gdy otworzyła oczy, nie wiedziała, gdzie jest. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była jego zatroskana twarz. Pochylił się nad nią i dotykał ręką jej ramienia.

Zobaczyła w nim wtedy innego mężczyznę. Nie posępnego, zimnego człowieka, który przez cały dzień deptał jej po piętach, ale kogoś, kogo mogłaby polubić. A może nawet więcej.

Westchnęła głęboko. India spojrzała na nią podejrzliwie.

- Co się stało?

~ Nic. - Odchrząknęła. - Coś drapie mnie w gardle.

Przynajmniej rano nie będzie musiała na niego patrzeć. Nie powiedziała, gdzie znajduje się centrum zabaw, które dziś otwierały, a on nie spytał. Cóż, zabawa z umorusanymi dziećmiakami pewnie mu się nie uśmiechała.

India skrzyła na zatłoczony parking. Udało jej się wcisnąć swego mercedesa coupé pomiędzy czarnego astona martina a rollsa burmistrza. Jak widać, goście byli punktualni.

Być może Niall nie pojawi się również na popołudniowej aukcji. Romana odniosła wrażenie, że nie był tą perspektywą zachwycony. Poza tym na pewno miał własne pilne sprawy do załatwienia. Powinna być zadowolona. Ale nie była. Jego złośliwe uwagi dodawały jej wigoru...

Zostawiła Indię pograżoną w rozmowie z lokalnymi VIP-ami i skierowała się do specjalnie wybudowanej hali, zapewniającej dzieciom bezpieczną zabawę. Dzisiaj po-

mieszczanie zbudowane z drewnianych bali służyło również za magazyn, gdzie złożono ofiarowane w prezencie koszulki oraz dostarczony przez firmę cateringową poczęstunek dla gości.

Molly wraz z pracownikami już od pewnego czasu była na miejscu. Dopilnowała, by rozwieszono flagi C&F oraz transparent firmowy. Zapędziła również wszystkich do przyczepiania baloników. Zbyt późno, by skontrolować wyraz swojej twarzy, Romana uzmysłowiła sobie* że jedyną niezajętą osobą jest Niall Macaulay. Domyśliła się od razu, że to on przyjechał astone. Czarny, szybki wóz dziwnie do niego pasował.

- Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała.
- Przyjechałem o wpół do jedenastej, zgodnie z harmonogramem - stwierdził. - Też powinnaś tu być o tej porze.

- To wina Indii - wtrąciła Molly. Stojąc za plecami Nialla, mrugnęła do Romany. - Jest tak spokojnym kierowcą, że nic nie zmusi jej do szybkiej jazdy, nawet na autostradzie.

Romana zacisnęła usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Nie wiedziała, czy z powodu zuchwałego kłamstwa Molly, czy na widok Nialla w dzinsach i podkoszulku z logo C&F.

Dzinsy, trudno było nie zauważyć, przywierały do jego ud jak druga skóra, a jego włosy były tak zwichrzone, jakby bez przerwy przeczesywał je palcami. W ogóle nie przypominał mężczyzny, który wczoraj zrobił na niej takie wrażenie.

- Harmonogram? - spytała, skupiając myśli na pracy.
- Jaki harmonogram? Nawet nie spytałeś, gdzie znajduje się nasz plac zabaw...

Niall nie dał się oszukać. Miała nadzieję, że uniknie dziś rano jego towarzystwa. Nie winił jej za to, ale przecież celem tej gry było zwycięstwo. Nie zadowoliliby go drugie miejsce.

- Najpierw zadzwoniłem do twojego biura, ale cię nie zastałem. - Przerwał, czekając na reakcję, a gdy się nie doczekał, dodał ze zrozumieniem: - Oczywiście, wczoraj późno poszłaś spać.

Policzki Romany oblały się purpurą.

- Powinieneś wiedzieć, że od wpół do ósmej byłam w „Savoyu”, by sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na wieczorny pokaz... - Urwała, speszona niedyskrecją, którą właśnie popełniła. - Mody - dodała nieprzekonywująco.

Chcąc odsunąć podejrzenia, że wylegiwała się w łóżku do dziesiątej, w pośpiechu zdradziła coś, co z takim trudem starała się ukryć. Musiał się teraz zorientować, że wczoraj go okłamała.

- Pokaz mody ślubnej i poślubnej? - spytał znaczącym tonem. - Molly była tak uprzejma, że przefaksowała mi twój tygodniowy rozkład zajęć. Wyobraź sobie, że mam trochę własnej pracy, którą muszę realizować obok twoich zajęć.

- Przepraszam - powiedziała. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Okłamała go, dając do zrozumienia, że wieczorem będzie się wylegiwać na kanapie. I on wiedział, że go okłamała. - Naprawdę nie sądziłam, że zechcesz przyjść.

- Doprawdy? - Ależ bardzo chciał. Skrócił nawet posiedzenie zarządu tylko po to, by się tutaj znaleźć! Oczywiście, tłumaczył sobie, że to w interesie Farradayów nie spuści oka z Romany Claibourne. Ale w głębi duszy wiedział, że się oszukuje.

- Pomyślałam tylko... - płątała się bezradnie.
- Powiedz mi - przerwał, nim zdołała wytłumaczyć mu, dlaczego postanowiła nie obciążać go pokazem modnych strojów na ślub i podróż poślubną — czy udało ci się jeszcze trochę pospać prócz tej godziny, którą spędziłaś u mnie? O której dotarłaś do domu?

Molly gwałtownie otworzyła usta, co sprawiło mu widoczną satysfakcję. Z wyrazu twarzy Romany wynikało, że skutecznie wyzbyła się wszelkich ciepłych uczuć, które mogła do niego żywić.

- Balonik się odczepił - zauważyła. Wiało od niej chłodem jak z otwartej lodówki.

Zachowaj obojętność. Zachowaj dystans. I żadnych następnych kolacji we dwoje, obiecała sobie solennie.

Romana chwyciła Molly za ramię i pociągnęła do hali.

- Ani słowa - syknęła. - Ani słowa! Usnęłam u niego na sofie, to fakt. To jest praca, po prostu praca, więc możesz przestać wysilać swoją bujną wyobraźnię.

Po chwili przyszło jednak opamiętanie. Nawet gdyby pomiędzy nimi do czegoś doszło, Niall nie należał przecież do mężczyzn, którzy swoimi podbojami chwalą się w męskiej toalecie! Czy więc zależało mu na tym, żeby ją zdenerwować? Ale dlaczego? Zyskałby więcej, gdyby był przyjacielski i zdobył jej zaufanie. Teraz stracił wszelkie szanse. Pokręciła głową. Nic już z tego nie pojmowała.

Niall wsunął głowę do środka.

- Szuka cię ekipa telewizyjna, a poza tym przyjechał autokar z dziećmi. Pomyślałem, że to cię zainteresuje.

- Ocalona przez autokar - mruknęła Molly, która aż gotowała się z ciekawości, by zadać Romanie kilka istotnych pytań.

- Przynieś szybko koszulki - poleciła Romana.
- Czy ja także mógłbym w czymś pomóc? - spytał Niall.

Na Romanie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Pokazał już swoje prawdziwe oblicze. Nie miała wątpliwości, że jej pierwsze wrażenie było absolutnie trafne. Dzisiejszy zapał służył temu, by wyszła na idiotkę, i to przy włączonych kamerach.

- Skoncentruj się na tym, po co naprawdę przyszedłeś - powiedziała z goryczą. - Obserwuj i ucz się! I bądź łaskaw nie plątać mi się pod nogami. - Nie czekając na odpowiedź, odeszła, by spotkać się z ekipą telewizyjną, która miała filmować Indię przecinającą wstęgę, a potem uszczęśliwione dzieciaki.

Na domiar złego musiała jeszcze dopilnować, by nie było żadnych zdjęć pretendenta do rady nadzorczej Clai-bourne & Farraday.

Niall zaczął pomagać dzieciom zakładać koszulki, spoglądając raz po raz na Romanę, która rozdawała materiały informacyjne i razem z Indią odpowiadała na dziesiątki pytań. Dwoiła się i troiła, po mistrzowsku zachowując spokój w każdej napiętej sytuacji. Niall był pod wrażeniem jej profesjonalizmu.

Jakaś dziewczynka, chcąc zwrócić na siebie uwagę, pociągnęła go za nogawkę dżinsów i podniosła do góry koszulkę. Pochylił się i pomógł jej włożyć ręce w rękawy.

- Romana zwierzyła mi się, że zasnęła u ciebie w domu - powiedziała Molly, podając mu następne koszulki.
- Czyżbym sugerował coś innego?
- Dokładnie wiesz, co sugerowałam. Ale muszę przyznać, że się trochę rozczarowałam. Gdy załatwiałam wam

wspólny powrót, spodziewałam się czegoś bardziej ekscytującego.

Czyżby więc jedyne niedopatrzenie w organizacji imprezy było celowym dziełem asystentki Romany? Na litość boską, po co stworzyła tę sytuację? Na pewno wielu mężczyzn z przyjemnością odwiozłoby Romanę do domu.

- Nasze stosunki są czysto zawodowe - oświadczył stanowczo.

Dziewczynka zarzuciła mu ręce na szyję. Wstał, trzymając ją w ramionach, i rozejrzał się za jej opiekunem.

- Romana też tak twierdzi - przytaknęła Molly. - Ale nie musi tak być. Osobiście uważam, że powinieneś zaprosić ją na lunch, by naprawić swój poranny nietakt.

- Myślę, że sama mi podpowie, co zrobimy z lunchem - odparł, ale pomysł Molly wydał mu się niezwykle atrakcyjny. - No dobrze, zarezerwuj stolik w „Weston Arms”, a ja postaram się ją namówić.

- Masz to załatwione!

Romana przypięła wstęgę, a potem zajęła się przywiązywaniem dużych kokard na obu jej końcach. Obiecywała sobie, że nawet nie spojrzy w kierunku Nialla, ale przyciągał jej wzrok jak magnes. Rozmawiał z matkami i opiekunkami dzieci.

Nie dostrzegała dziś w nim twardego biznesmena. Nie mogła również nie zauważyć, że biegły za nim spojrzenia wszystkich obecnych tu kobiet.

- Romano... - Ktoś chwycił ją za ramię. - Mamy problem w kuchni.

- Jaki problem? - Mimochodem znów zerknęła w stronę Nialla. Fotograf z magazynu „Celebrity” skradał

się w jego kierunku. Zrobiła krok do przodu, jakby chciała przeciąć mu drogę.

- Nie możemy go bez ciebie rozwiązać.

- Pan Farraday? - Był to ten sam fotograf, który uwieczniał skoki na linie. - Chciałbym zrobić panu zdjęcie z dziećmi. Pozwoli pan?

Niall poszukał wzrokiem Romany, spodziewając się, że przeszkodzi tej sesji fotograficznej. Ona jednak zniknęła bez śladu.

- Oczywiście - zgodził się po chwili.

- Nie do wiary! - Romana kłęczała w kałuży, starając się uchwycić mokry i śliski zawór, odcinający dopływ wody. A ta głupia dziewczyna, którą poprosiła o ścierkę, uciekła i nie wróciła. Zdesperowana ściągnęła podkoszulek i przez nią chwyciła zawór. Powoli udało jej się go przekręcić. - Czy przestaje lecieć?! - krzyknęła, mając ograniczone pole widzenia.

- Jakiś problem?

Zduśiła przekleństwo, gdy Niall ukląkł obok niej.

- Nie, robię to dla zabawy.

- Rozumiem. - Poruszył się, jakby chciał wstać. - A więc zostawię cię z tym problemem...

- Nie! - Chwyciła go za nadgarstek. - Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna. Jedna z pracownic urwała kran. - Raptem zapadła cisza. Woda przestała tryskać na całą kuchnię. Nagle Romana uświadomiła sobie, że czepia się Nialla jak tonący brzytwy. - Niall... - powiedziała - nie powinnam napadać na ciebie, gdy tu przyjechałam... Ale poczułam się...

- Zażenowana?

- Właśnie. Zazwyczaj nie zasypiam, gdy ktoś zabiera mnie na kolację.

- Wiem, że byłaś zmęczona.

- I nie powinnam cię okłamywać, jeśli chodzi o ten pokaz mody... Po prostu nie sądziłam, że zechcesz...

- urwała speszona.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył?

- Nie. Nie chciałam, by...

- Ożyła przeszłość? - dokończył.

-Przypuszczam, że nigdy nie umarła.

- T o prawda. - Raptem zmienił temat. - Czy wiesz, że pochrapujesz przez sen? Bardzo cichutko.

Romana szybko puściła jego rękę. Niall podniósł się.

- Pójdę poszukać szczotki. I wiadra.

Romana ostrożnie odsunęła mokrą koszulkę od zaworu, starając się nie spowodować kolejnego potopu. Potem również wstała.

- Musisz zdjąć mokre rzeczy - zauważył z troską w głosie.

- Na litość boską, Niall, nie jestem z cukru.

- Weź to - powiedział niespodziewanie, zdejmując koszulkę przez głowę.

- Nie przesadzaj...

- Nie przesadzam. Naprawdę musisz pozbyć się tych mokrych ciuchów. I to zaraz. - Wcisnął jej swoją ciepłą jeszcze koszulkę w ręce i odwrócił się w stronę toalety.

-Może nie znam się na reklamie, ale potrafię sprzątnąć zalaną podłogę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Romana nie miała czasu na kłótnie, wzięła więc koszulkę i wycofała się do damskiej toalety. Gdy spojrzała na swoje odbicie w lustrze, jęknęła. Biała, jedwabna bluzka była przemoczona, a w związku z tym kompletnie przezroczysta. Tak samo jak jej koronkowy stanik. Równie dobrze mogłaby być naga. Mimo wszystko powinna być wdzięczna Niallowi, że nie zobaczy jej w tym stanie fotograf z magazynu „Celebrity”. Na pewno wykorzystałby taką okazję.

Szybko zdjęła bluzkę i stanik, zwinęła je i schowała do torebki. Wytarła się, wysuszyła włosy, a potem założyła koszulkę Nialla. Poczowała ciepło, miękkość i miły zapach - skóry, świeżego powietrza i czegoś nieuchwytnego, co było Niallem Macaulayem. Nie miała teraz czasu, by upajać się tym zapachem. Pracownicy potrzebowali kuchni.

Z rozmachem otworzyła drzwi, przygotowana na walkę z wodą tym razem przy pomocy szczotki. Ale nie było to konieczne. Niall zebrał już wodę odkurzaczem. Podłoga była idealnie sucha. Katastrofa została zażegnana.

- W porządku? - spytał, prostując się, ponieważ właśnie schował odkurzacza do szafki.

- Och, świetnie się spisałeś. Dziękuję - dodała, obciążając z przodu podkoszulek.

- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Nie wątpię. - Nie była wstydliva, ale teraz od razu pożałowała swoich słów. Unikając jego wzroku, ciągnęła:
- Nie wiem, gdzie zniknęły dziewczyny Molly.
- Może nie chciały zmoczyć nóg. - Skrzywił usta w słabym uśmiechu. - Naprawdę jesteś niebezpieczną kobietą.
- Wszystkie trzy jesteśmy niebezpieczne - odparła ostro. - Ostrzeż pozostałych Farradayów... Pójdę zawiadomić pracowników, że mogą wracać.
- .- Poczekaj jeszcze chwilę, aż naprawię kran.
- Potrafisz?
- Patrz i ucz się - powtórzył sentencjonalnie jej słowa.
- Gdy się mieszka w starym domu, wszystkiego się człowiek nauczy. Zawsze jest coś do zrobienia.
- W porządku. - Założyła pukiel wilgotnych włosów za ucho. - Lepiej już pójdę i dopilnuję, by nic więcej się nie wydarzyło. - W drzwiach odwróciła się jednak. - Dziękuję. To na pewno wykracza poza obowiązki stażysty.
- Pochylony nad zlewem Niall nagle wyprostował się z irytacją.
- A czego się spodziewałaś, Romano? Miałem stać z boku i się przyglądać? A może robić notatki i oceniać cię, jak dajesz sobie radę z sytuacją?
- Oczywiście, że nie! - Była zaszokowana jego gniewną reakcją. - Nie to miałam na myśli.
- Naprawdę? Te dzieci są o wiele ważniejsze niż nasze sprzeczki, O wiele ważniejsze niż popsute rury. Oczywiście, gdyby to się zdarzyło w sklepie, to co innego. - Wzruszył ramionami.
- Rozumiem. A zatem dlaczego nie jesteś w domu towarowym z grupą rzeczoznawców i nie sprawdzasz książ-

ki przeglądów technicznych? Dlaczego jesteś tu, w tym małym centrum zabaw dla dzieci niepełnosprawnych?

Miała rację. Tutaj nie dowiadywał się niczego na temat zarządzania szacowną instytucją, jaką był dom towarowy C&F. Dowiadywał się natomiast wiele o Romanie Clairborne. To jednak na pewno nie zainteresuje Jordana.

- Może po to, aby wybawić cię z kłopotów - odpowiedział powoli.

- Romano, muszę już wracać do miasta. Wzywają mnie sprawy służbowe. - India zerknęła na Nialla Macaulaya, który rozprawiał z Molly. - Jak myślisz, zrobiłyśmy na nim wrażenie?

Niall dotknął właśnie ramienia Molly, uśmiechając się na pożegnanie. Romana poczuła lekkie ukłucie zazdrości.

- Romano...

- Co? Och! - Oderwała myśli od zakazanego obszaru i zdecydowała, że nie jest to dobry moment, by opowiedzieć siostrze, jak ocalił ją przed katastrofą. Zresztą nigdy nie będzie dobrego momentu. - Trudno się spodziewać, by to przyznał, prawda?

- Chyba tak - odparła India, wsiadając do samochodu.

Niall, jakby wyczuwając, że o nim mowa, pożegnał się z Molly i skierował w ich stronę.

- Uważaj na siebie, Romano - ostrzegła India. - Kiedy się odwróciłaś, od razu nawiązał rozmowę z tym fotografem z „Celebrity”.

Podszedł do niej, gdy India sprawnie wycofywała samochód z parkingu.

- Ktoś będzie musiał chyba podwieźć cię do miasta - zauważył Niall.

- Pojadę z Molly.

- Nie da rady. W jej samochodzie nie ma miejsca. Poprosiła mnie. Powiedziała, że spotkacie się na aukcji.

- Nie przeżyję chyba dzisiejszego dnia - jęknęła Romana. - Nie mówiąc już o całym tygodniu. - Zerknęła na zegarek. - O której możemy być z powrotem w mieście?

- Kazała mi również dopilnować, żebyś zjadła solidny lunch.

Romana pomyślała, że jej asystentka zdecydowanie za bardzo przejmuje się swoją rolą.

- Dziękuję, mój cieniu, ale jestem już dużą dziewczynką. Potrafię sama posługiwać się nożem i widelcem. A poza tym jestem pewna, że twój bank potrzebuje cię bardziej niż ja.

- Zrobiłem co do mnie należy rano między piątą a wpół do dziesiątej. A bankierzy, podobnie jak dyrektorzy do spraw kontaktów z mediami, też muszą jeść.

- Naprawdę muszę wracać do pracy.

- Dostałem ścisłe instrukcje. Mam cię podwieźć, zabrać na lunch i przeprosić.

- Za co?

- Za to, że dziś rano nie byłem zbyt uprzejmy. Wszystko zabrałaś? - Zerknął na dużą torbę, którą przewiesiła przez ramię. - A więc jedźmy. - Otworzył automatyczne zamki samochodu, a potem, jakby po namyśle, podał jej kluczyki: - Może chcesz poprowadzić?

- Dlaczego?

- Ciebie powinien być bierny.

Bierny? Ten mężczyzna nigdy w życiu nie był bierny. Popatrzyła na trzymane w dłoni kluczyki, a potem na lśniącego astona martina.

- Przypuszczam, że ta propozycja kosztowała cię sporo

nerwów. Ale nie martw się, Niall, twój wspaniały wóz jest bezpieczny. Nie mam ubezpieczenia.

- Nie masz samochodu?! - Niall otworzył drzwi, a gdy prześlizgnęła się obok niego, wsiadając, wyczuł słaby zapach perfum, które jej wczoraj ofiarował. Gdy usiadła, miękkie spodnie przywarły do jej ud. Pas bezpieczeństwa, który zapięła, rozdzielał jej piersi, podkreślając ich kształt pod obszernym podkoszulkiem. Trudno mu było zapomnieć, jak wyglądały, gdy przylegał do nich cienki, przezroczysty jedwab. I nie mógł nie myśleć o jej nagim ciele pod koszulką, którą nosił. Miał niemal wrażenie, że jej dotyka...

Była bezgranicznie kobieca. Nagle zorientował się, że mu się przygląda.

- Przepraszam, coś mówiłaś?

- Posiadanie samochodu nie jest obowiązkowe, prawda? A może się mylę?

- Obowiązkowe? - Był oszołomiony tym, jakimi drogami biegała jego myśli, jak znikąd wyczarowuje fantazje, jakby... jakby Louise nigdy nie istniała. - Och, oczywiście, że nie. Po prostu przypuszczałem, że na siedemnaste urodziny stanął przed twoim progiem jakiś mały samochódzik, prezent od tatusia. Mały seksowny drobiazg. W kolorze różowej szminki. - Romanie było bardzo do twarzy w różowej szmince. Ale jej miękkie, zmysłowe wargi wyglądały wspaniale również bez niej...

Takie myśli naprawdę nie pomagały.

- Och, rozumiem - stwierdziła. - Uważasz, że to jeden z etapów mojego dojrzewania. Seks na szesnaste urodziny, samochód na siedemnaste, a alkohol na osiemnaste.

- Tego nie powiedziałem. - Ale dał to do zrozumienia. Nie powinien w ogóle rozpocząć tej rozmowy. Nie po-

winien tutaj przyjeżdżać. To nie miało wiele wspólnego z jego zadaniem.

- Zawsze uważałam, że jest coś dziwnego w takim szeregowaniu ludzkich potrzeb. - Wzruszyła ramionami.

- Seks, samochód, alkohol.

- A mnie się zawsze wydawało, że to jedynie poddanie się temu, co nieuchronne.

- Tak myślisz? - Na jej ustach igrał chytry uśmieszek.

- No cóż, trzeba przyznać, że dwie z tych trzech przyjemności nie są wcale złe.

Do licha, nie powinien kontynuować tej rozmowy. Była zanadto intymna.

- Tak jak wspomniałaś, to nie jest obowiązkowe. - Zmienił temat i włączył silnik.

Które dwie?!

- Oczywiście, mam prawo jazdy. I miałeś rację w kwestii samochodu. Tylko że był czerwony, a nie różowy. Ale prowadzenie samochodu w mieście za bardzo mnie stresuje, więc obydam się bez niego.

- Chcesz powiedzieć, że go oddałaś? - Wycofał auto z parkingu i skierował na główną drogę.

- Dałam komuś, komu akurat był potrzebny.

Zerknął na nią kątem oka. Miała taki sposób mówienia, że musiał na nią patrzeć.

- Twój ojciec nie miał nic przeciwko temu?

- Przecież to był mój samochód. - Przeczesła palcami loki, na próżno starając się nadać im z powrotem jakiś kształt. - Nic nie powiedział. Nie sądzę nawet, żeby to zauważył.

Nie starała się go szokować. W gruncie rzeczy nie zastanawiała się nad tym, co mówi. Miał nawet wrażenie, że odkryła przed nim cząsteczkę duszy przypadkowo. Na

pewno nie miała takiego zamiaru. Nie chciał jej bardziej naciskać.

- Cóż za niebanalny stosunek do własności!

Wyjęła szminkę i puderniczkę.

- Chyba nie będziesz próbował mnie zmienić? - spytała, patrząc na niego powłóczyście spod długich rzęs.

Zdawał sobie sprawę, że robiła to celowo i wyłącznie wtedy, gdy chciała go zdenerwować.

- A niby dlaczego miałbym to robić? Jedna kobieta mniej za kierownicą to wyłącznie powód do radości.

Zrobiła surową minę.

- A już myślałam, że zaczynasz topnieć i stajesz się normalnym człowiekiem, Niallu Macauleyu.

Chyba całkiem stopniał. A przecież był uodporniony na seksowne kociaki. Ale ten seksowny kociak miał jeszcze inteligencję, urok i stalową determinację, by wygrać toczący się wyścig bez względu na koszty.

- Nie daj się zwieść moim džinsom.

Zerknęła na nie i na moment zatrzymała wzrok.

- Lubię džinsy - powiedziała.

Najwyraźniej znów chciała go sprowokować. Postrzymał się od riposty i przez chwilę jechali w milczeniu. Potem włączył kierunkowskaz w lewo.

- Dokąd jedziemy?

- Na lunch - odpowiedział. - Zamówiłem stolik w „Weston Arms”.

- Chyba nie masz na myśli tej restauracji nad rzeką?

- Dlaczego nie?

- Nie widzisz, jak wyglądamy?! - Nagle wybuehnęła śmiechem. Miękkim, gardłowym śmiechem, który mógł roztopić wieczną zmarzlinę. — Dżinsy, koszulka polo, a na niej mnóstwo lepkich plam, jakbyś pracował w fabryce

klejów. - Musnęła dłonią swoje spodnie. - A spójrz na to.
- Cienki len, co prawda szybko wysechł, ale był bardzo pognieciony, a na kolanach widać było brudne plamy. ~
I moje włosy!

- Dla mnie wyglądają wciąż tak samo. - Ale to nie była prawda. Wczorajsze wysiłki fryzjera zniweczyła już drzemka na sofie, a dziś woda dokonała reszty. Włosy wiły się w nieładzie.

- Nie wpuszczą nas do środka.

- Może masz rację... - Lunch w romantycznej restauracji nad rzeką był ostatnią rzeczą, którą powinien rozważyć. To wszystko wina Molly.

- W tym wypadku na pewno się nie mylę - odparła.

- Poza tym nie mam czasu na lunch w takiej restauracji jak „Weston”.

- W takim razie zadzwoń i odwołaj rezerwację. - Wskazał na telefon w samochodzie. - Może jednak moglibyśmy coś zjeść w jakimś mniej zobowiązującym miejscu? - zapytał, gdy już to zrobiła.

- Niedaleko ronda jest McDonald's. Mają tam serwis dla zmotoryzowanych klientów.

- A więc?

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Po dzisiejszym wyczerpującym poranku marzę o podwójnym cheeseburgerze z dużymi frytkami. Wszystko musi być tłuste i kaloryczne. "

- Bez wątplenia również o niezdrowej dużej coli?

- Pycha!

- Nie znam się na tamtejszych rozkoszach, ale pewnie biją na głowę uprzejmą pogawędkę nad wykrochmalonym obrusem.

- Uprzejmą? - Udała zaskoczenie. - Planowałeś być

uprzejmy? W takim razie może powinnam wybrać jakąś restaurację...

- Za późno - powiedział, skracając do okienka z jedzeniem na wynos.

Gdy odebrali swoje paczki, odjechał, a potem zatrzymał się na parkingu.

- To naprawdę coś innego. - Otworzył papierową torbę i podał Romanie jej lunch.

Otworzyła pudełko, w którym znajdował się burger, podniosła go do ust i oblizując cieknące krople sosu, powiedziała:

- Fast food ma jednak wiele zalet. W „Weston” zjadłabym nogę od stołu, zanim podaliby przystawkę. Ale to oczywiście znakomitą restauracją. - Wgryzła się w bułkę i więcej sosu pociekło po bokach, tak że musiała oblizać palce.

- Och, jakie to dobre...

Była w niej niezwykle pociągająca naturalna prostolinijność. Niall z największym trudem próbował oderwać spojrzenie od jej palców. Miała maleńkie dłonie, smukłe palce, paznokcie pomalowane na taki sam ostro różowy kolor jak usta. Żadnych pierścionków. Kropla majonezu spłynęła jej po kciuku. Niall musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie ująć jej dłoni i nie oblizać do czysta.

- Po pokazie mody moglibyśmy coś zjeść w bardziej cywilizowanych warunkach - zaproponował. - Skoro będziemy w „Savoyu”, może zjemy kolację w grill barze?

- Prawdziwy z ciebie cierpiętnik. - Zerknęła na niego z ukosa. - Nie sądzisz, że będziesz miał mnie dosyć?

- Masz inne plany? - odpowiedział pytaniem na pytanie. Zostawiał jej możliwość zgrabnego wybrnięcia z sytuacji. Ale nie skorzystała z szansy.

- Chyba żartujesz - odparła. - W tym tygodniu w ogóle nie mam czasu na spotkania towarzyskie.

- To nie będzie spotkanie towarzyskie, tylko ciąg dalszy współpracy.

- W dziedzinie jedzenia nie wychodzi to nam zbyt dobrze - zażartowała. - Nie chciałabym znów zasnąć nad talerzem. - Pragnęła jednak poznać go lepiej, zgłębić jego wnętrze. Dowiedzieć się, o co mu naprawdę chodzi... A tego nie udałoby się zrobić w jakiejś anonimowej restauracji, gdzie będą zachowywali dystans. - Chciałabym zobaczyć kiedyś resztę twego domu - zasugerowała.

- Czyżbyś miała ochotę znów zjeść u mnie kolację?

- Och, nie... - Romana zerknęła na zegarek na tablicy rozdzielczej. - Musimy jechać! - Wcisnęła niedojedzoną bułkę do papierowej torby, oblizała sos z kciuka i wytarła ręce serwetką. - Tylko to wyrzucę.

- Zaczekaj! - Odwrócił się do niej, podtrzymał dłonią jej głowę i delikatnie palcem wytarł kącik jej ust. Potem odwrócił jej twarz w drugą stronę i zrobił to samo z drugim kąciem. Na moment jego stalowoszare oczy nabrały łagodniejszego, cieplejszego wyrazu. Przypominały te, które zobaczyła wczoraj, zaraz po obudzeniu. Ale trwało to tylko chwilę. W ułamku sekundy Niall zmienił się w bryłę lodu. Wstrzymała oddech, ponieważ była pewna, że zamierza ją pocałować. Chciała, by ją pocałował... Niall jednak puścił jej podbródek.

- Majonez - powiedział, po czym włożył serwetkę do torby.

Romana wysiadła z samochodu i wrzuciła torbę do najbliższego pojemnika na śmieci. Majonez! Wciągnęła w płuca powietrze. Kolejny błąd, ponieważ o mało nie udusiła się zapachem burgerów i spalin z pobliskiej drogi.

Myślała, że Niall zamierza ją pocałować - gorzej - chciała, by ją pocałował - a jemu chodziło wyłącznie o wytarcie jej usmarowanej majonezem twarzy! Do licha, mało brakowało, a skompromitowałyby się dziś po raz drugi!

Wróciła do samochodu i zapinając pas, patrzyła na wszystko, tylko nie na Nialla włączającego silnik.

- Radziłabym opuścić dach - powiedziała, gdy już ruszyli.

- Nie jest to środek lata.

- Jest ładnie i sucho. Ale jeśli wolisz, by w samochodzie śmierdziało burgerami i frytkami...

Powstrzymała się przed wytarciem policzka. Chciała, żeby wreszcie przestał ją piec. Majonez! Nic dziwnego, że Niallowi odechciało się pocałunku. Jęknęła zażenowana, a potem głośno westchnęła.

- Nic się nie stało - zapewniła pospiesznie, gdy Niall zerknął na nią zaniepokojony.

Wątpił w to, ale nie naciskał.

- Masz chustkę na głowę? - spytał.

- Mężczyźni, którzy jeżdżą kabrioletami, powinni włożyć w schowku wszelkie rzeczy, które mogą się przydać kobietom. Dobrze mówię?

Była przerażona tym, że zniżała się do tak bezczelnej inwigilacji, ale nie czekając, aż Niall odpowie, że w jego życiu nie ma żadnych kobiet, otworzyła schowek. Znajdowała się tam tylko apteczka i mała latarka. Nic nie wskazywało na to, że tym samochodem jeździł z jakąś kobietą. Serce Romany zalała przyjemna fala ciepła.

- Nie ma! - zdumiała się jak dziecko.

- Chustki czy kobiety? - spytał bezlitośnie i wzruszył

ramionami. - Przypuszczam, że raczej zainwestuję w odświeżacz powietrza.

- Nie potrzeba. - Wyjęła z torebki długi szyfonowy szal i obwiązała nim włosy. - Nie powiedziałam, że nie mam nic na głowę. Powiedziałam tylko, że powinieneś być przygotowany.

W odpowiedzi nacisnął guzik i opuścił dach.

scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jazda z opuszczonym dachem przynosiła pewną korzyść - uniemożliwiała konwersację. Ale nie przeszkadzała Romanie myśleć o pocałunku... który nie doszedł do skutku.

Romana kochała swoją pracę. Każdy spędzony w niej wieczór. Każdy wczesny ranek. Napięcie nerwowe. Żyła dla Claibourne & Farraday. A ten mężczyzna próbował jej to wszystko odebrać. Omal nie pozwoliła mu się pocałować! W granicze rzeczy chciała, żeby ją pocałował!

- Wyrzuć mnie tu za rogiem - powiedziała nagle, gdy wjechali na zatłoczoną ulicę. - Jeśli pojedziesz prosto, unikniesz korków. Aukcja zaczyna się o czwartej, ale w nagrodę za dzisiejszą pomoc, możesz dostać wolne.

- Wiedziała, że jej uśmiech jest bladej i nieco sztuczny.

- Nikomu nie powiem, że wagarowałeś.

- Jesteś bardzo uprzejma, ale... - Odwzajemnił uśmiech, lecz patrzył na nią jak ktoś, kto nie daje się łatwo nabrać. - Nie chcę, żeby mnie to ominęło.

- Chyba oszalałeś! A może przeczytałeś w dzisiejszej gazecie, że będziemy licytować parę dzinsów, które nosiła znana seksbomba w swym ostatnim filmie? Lże ona sama wystąpi jako modelka?

- Może się to wydawać niewiarygodne - odparł konfidenalnie - ale „Financial Times” o tym nie doniósł.

- Dziwne... - Wzruszyła ramionami. - No cóż, nie ma zmartwienia. Gdy dostaniemy za te portki bajeczne pieniądze, będą musieli napisać.

- Niewątpliwie - przyznał. - Życzę ci szczęścia.

- A co to ma wspólnego ze szczęściem? Trzeba się płaszczyć, żebrać i prosić, żeby dostać rzeczy, które mogą przysporzyć rozgłosu. Wymaga to wielu osobistych kontaktów.

- Będę o tym pamiętał, jeśli kiedykolwiek zechcę zorganizować podobną imprezę.

- Będziesz musiał, Niall. O to właśnie chodzi. Ci ludzie oferują szczerze nie tylko rzeczy, ale również swój cenny czas, ponieważ znają mnie osobiście. - Zerknęła na zegarek. - Aukcja rozpoczyna się o czwartej, ale jeśli zależy ci na miejscu siedzącym, przyjdź wcześniej. Mam dla ciebie przepustkę na podziemny parking dla pracowników.

- Nie będzie mi potrzebna - powiedział, skracając w wąską uliczkę, prowadzącą na tyły magazynu. - Wziąłem ubranie na zmianę. Muszę tylko skorzystać z łazienki prezesa.

- Przykro mi, Niall, ale India nosi kluczyk przy swojej bransoletce. Chyba będziesz musiał poczekać w kolejce i skorzystać z mojej - dodała przekornie.

Miała szczęście, że akurat w tej chwili zatrzymał ich parkingowy. Wychyliła się i powiedziała:

- W porządku, Greg. Pan Macaulay chwilowo ze mną pracuje. Załatwię dla niego kartę magnetyczną.

- Przepraszam, panno Claibourne. Nie rozpoznałem pani w tej chuście na głowie.

Barierka uniosła się i wjechali do środka.

- Skręć w lewo. Nie możesz skorzystać z łazienki,

ale miejsce parkingowe mojego ojca jest tymczasowo wolne.

- Tymczasowo?

- Oczywiście - odparta z uśmiechem. - Spójrzj prawdzie w oczy. Jeśli Farradayowie odzyskają kontrolę nad sklepem, to z pewnością Jordan zarezerwuje to miejsce dla siebie.

- Nie jeśli, a kiedy - poprawił ją Niall. - Kiedy przejmemy zarząd. - Wyjmując z bagażnika garnitur, obrzucił przelotnym spojrzeniem budynek, -r Jordan pięknie się tu wpasuje. Ja natomiast będę kontrolował sprawy finansowe zza swojego biurka w City... - Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego.

Romana ruszyła do przodu, Niall zaś udzielał szczegółowych wskazówek swemu rozmówcy.

Skinęła głową ochroniarzowi, stojącemu przy tylnym wejściu i skierowała się do wind. Przystanęła, czekając na Nialla, który chodził tam i z powrotem, długo wyjaśniając jakąś kwestię. Patrząc na niego, zastanawiała się, dlaczego Farradayowie zgodzili się na plan Indii. Musiało to być dla nich bardzo niewygodne. Czyżby nie zdawali sobie sprawy, na czym polega zarządzanie ogromnym domem handlowym?

- Wszystko załatwione? - spytała, gdy do niej dołączył.

- Co? Och, tak.

Głupie pytanie. To oczywiste, że planowali ten ruch od miesięcy. Być może od lat.

- Nie pofatygujesz się od czasu do czasu do sklepu? - spytała.

- Osobiście? - Nadal myślał o swojej rozmowie telefonicznej. - Och, chyba nie - odpowiedział. - Mam ważniejsze rzeczy do roboty niż zakupy dla rozrywki.

- Dobrze, że należysz do mniejszości - skomentowała. - Inaczej wszyscy byśmy zbankrutowali. - Wystukała kod służbowej windy, która jeździła prosto do jej gabinetu.

A już myślała, że zaczynał rozumieć, że ten sklep to nie był zwykły biznes. To miejsce miało duszę. Nie było jedynie puszką na pieniądze. Pracownicy i klienci tworzyli tu ód dawna zintegrowaną społeczność.

Znów się oszukiwała. Tak samo jak w przypadku pocałunku, do którego, nigdy nie doszło... Oszukiwała się... Nadszedł czas, by wrócić do rzeczywistości.

Wchodząc do windy odwróciła się i zatarasowała Maiłowi drogę.

- Powiedz mi zatem, mój cieniu, w jakim celu spacerowałaś wczoraj po sklepie? Sprawdzałaś, ile kurzu leży na półkach?

- Miałem taki zamiar, ale ponieważ nie chciałem, by mnie wyrzucono, powstrzymałem się od przejechania palcem po listwach podłogowych.

Za każdym razem robił to samo. Najpierw doprowadzał ją do wściekłości, a potem do śmiechu. Albo do płaczu. Tym razem się opanowała.

- A co z nieuprzejmymi sprzedawcami? - spytała. - Jestem pewna, że miałaś nadzieję kogoś takiego spotkać. - Gdy nie odpowiadał, przyłożyła dłoń do ucha w charakterystycznym geście. - Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Jestem pewien, że wszyscy twoi sprzedawcy to wspaniali ludzie, którym na sercu leży wyłącznie dobro sklepu - zapewnił ją z uśmiechem w oczach. - Próbowałem tylko wczuć się w to miejsce.

- I nie udało ci się.

- Czy to ma być sprawdzian?

- Nie. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - A zatem te procedury działają tylko w jedną stronę? Ty nas prześwietlasz, a my mamy uwierzyć na słowo, że potrafisz zarządzać takim sklepem? - Nie dopuściła go do głosu. Znała odpowiedź. Powie jej, że nie chodzi o prowadzenie sklepu, a o kontrolę nad przedsiębiorstwem wartym miliony funtów. - A więc, mój cieniu, skoro masz teraz wolne pół godziny, bo ja będę brać prysznic, proponuję, żebyś się przeszedł jeszcze raz. Tym razem jednak przypatrz się ludziom - klientom, pracownikom. Poobserwuj ich twarze. Wsłuchaj się w entuzjazm w ich głosach. A gdy już zrozumiesz, na czym polega urok tego miejsca, to coś nieuchwytnego, dzięki czemu C&F jest taki lubiany i popularny, poproś kogoś z obsługi, by zaprowadził cię do mnie na górę... Jeśli nie dostrzeżesz magii, radziłabym, żebyś wrócił do swego kantorka. - Wskazała na telefon, który nadal trzymał w ręku. - Oni tam potrzebują cię bardziej niż my. Możesz bezpiecznie pozostawić prawdziwe życie w rękach ekspertów.

- Prawdziwe życie?

- Prawdziwe życie - powtórzyła i pod wpływem nagłego impulsu pochyliła się do przodu i musnęła ustami jego usta, jakby nawiązując do tego, co stało się na parkingu. Chciała mu przypomnieć prawdziwe życie. Chciała je przypomnieć sobie. Żar jego ust zaskoczył ją. Niemal się w nim zatraciła. - Och! - westchnęła, zmuszając swój umysł i ciało do powrotu do rzeczywistości. - Gdy już będziesz o tym myśleć, może znajdziesz czas na przygotowanie przeprosin. Nadal masz tę przeszkodę do przeskokowania. - Uśmiechnęła się lekko. - Na wypadek, gdybyśmy się już dziś nie zobaczyli, dzięki za lunch - powiedziała, nim rozdzieliły ich drzwi windy.

Romana oparła się o ścianę jadącej windy i bezmyślnie patrzyła w sufit. Nie była pewna tego, co się przed chwilą stało. Co ją skłoniło do tej przemowy? I dlaczego była tak zirytowana na Nialla?

Wiedziała, że dopóki Farraday o wie będą traktować ten dom towarowy jedynie jako trofeum, które należy zdobyć za wszelką cenę, dopóty wszyscy będą tylko pozorować działania. Wiedziała, że to, co teraz robia, jest kompletną stratą czasu, choć nadał nie traciła nadziei, że jej działania mają sens. Nawet nie dlatego, że rozpaczliwie pragnęła ocalić sklep od przejęcia go przez bezdusznych księgowych. Naprawdę chciała, by Niall zobaczył to samo co ona. By to samo poczuł. Nie tylko ze względu na wynik sporu, ale dlatego, że podejrzewała, iż od dłuższego czasu po prostu nie czuł nic.

Niall stał w miejscu, zbierając rozbiegane myśli i wolno wracając do rzeczywistości po pocałunku niosącym jakże słodkie obietnice... Zapomniał już, że te przyjemności w ogóle istnieją...

Jakże zmieniło się jego życie w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin! Jakże zmieniło się jego nastawienie wobec Romany Claibourne!

Pozwolił dziś sobie pobłądzić. Czyżby zapomniał, w jakim celu depcze po piętach tej blondyneczce? Dał się uwieść jej długim nogom, piersiom pod przeźroczystą moką bluzeczką i ciepłu różowych ust.

Nie powinien zapominać, że przemokła, mocując się z zaworem wody. Że sama się do tego zabrała, zamiast przywołać do pomocy mężczyznę. Na własne oczy zobaczył, że była twardą profesjonalistką. Dlaczego więc jego umysł upierał się przy pierwszym wrażeniu - wyobra-

zeniu słodkiej kobietki, której nie można traktować poważnie?

Tymczasem słodka blondynka uparcie dążyła do celu, nie spuszczać zeń oka. No cóż, może raz... W ciepłej kuchni, na miękkiej starej sofie zsunęła z nóg pantofle na wysokich obcasach i zwinęła się w kłębek z ręką podłożoną pod głowę. Spała jak dziecko. Niewinne, bezbronne dziecko.

Louise tak spała... Cały dzień pracowała w domu. Gdy wracał wieczorem z City, często znajdował ją właśnie tu, na kanapie. Budził ją, kochali się, potem podczas późnej kolacji robili plany. Sielanka trwała rok. Miał nadzieję, że potrwa całe życie.

Tylko z tego powodu obudził wówczas Romanę, choć pokusa zanieśienia jej do łóżka była niezwykle silna.

Samo wspomnienie tej chwili wywoływało w nim poczucie winy. Wierchem dłoni dotknął ust, by je ochłodzić.

Niemal ją pocałował! Siedziała obok niego w samochodzie, patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami, wyraźnie czekając na pocałunek. Czując jeszcze na wargach ciepło jej ust, żałował, że tego nie zrobił.

Jakaś kobieta ubrana w bordowy mundur ze złotymi guzikami, wychodząc z windy, zatrzymała się na chwilę.

- To prywatna winda - oznajmiła uprzejmie. - Można się nią dostać tylko do biur. Za rogiem znajdzie pan inne windy.

Skinał głowę. Zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Romana to nie Louise. W ogóle jej nie przypominała. Poza tym nie był na spotkaniu towarzyskim. Romana o tym doskonale pamiętała. W przeciwieństwie do niego. Ale to ona miała wiele do stracenia.

W normalnych okolicznościach wysoka stawka działała

na niego mobilizująco. Ale okoliczności nie były normalne. Nie miał doświadczenia w prowadzeniu interesów w ten sposób. Zazwyczaj prowadził je na odległość.

Powinien dobrze wykorzystać swój czas. Każdy biznes miał swoje słabe strony. Znajdzie je i wykorzysta przeciwko siostrze Claibourne podczas rozprawy w sądzie.

I nie obchodziła go magia. Liczyły się fakty. Nie był również zainteresowany romansami, lecz wyłącznie zyskami. Romana mogła sobie spać jak dziecko, ale przecież nie była jedyną kobietą na świecie. Nieważne, że miała tak miękkie włosy i skórę... Była inteligentną kobietą dążącą do celu. On też miał swój cel. Powinien być jej wdzięczny, że przypomniła mu o priorytetach.

Wystukał kod, by ściągnąć windę. Romanie nie przyszło do głowy, by go zakryć dłonią, Niall zaś zauważał najdrobniejsze szczegóły. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogły się przydać.

Romana zdjęła pantofle, a potem pochyliła się, by sprawdzić, czy bardzo ucierpiały od wody. Była to jej ulubiona para. Wyglądało na to, że przetrwały potop. W przeciwieństwie do spodni, które na zawsze straciły fason. Z butami w rękę podeszła do biurka i zerknęła na wiadomości. Było ich sporo. Sekretarka ułożyła je w stosownej kolejności.

Będą musiały poczekać. Wyjęła z szafy obcisły, czarny kostium, a potem spędziła cudowne pięć minut pod gorącym prysznicem, ciesząc się, że krótkie włosy dadzą się wysuszyć w pięć minut. Następnie zrobiła staranny makijaż - przed aukcją będzie najwyżej czas na poprawienie ust - i niczym rycerz zakładający zbroję przed bitwą włożyła swój sztywny kostium.

Jak cię widzą, tak cię piszą, pomyślała.

Chciała, by Niall, gdy pojawi się w biurze, zobaczył ją opanowaną, w pełni kontrolującą sytuację. Była kobietą interesu. To był jej świat. Niall Macaulay będzie się musiał nieźle napracować, żeby go zniszczyć.

Zapinając paseczek zegarka, zauważyła, że minęło już pół godziny. Gdy Niall zadzwoni z domu - zakładając, że nie wrócił do swego biura — ona będzie siedzieć za biurkiem i zajmować się niecierpiącymi zwłoki sprawami. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Będzie tu siedział i obserwował ją. Jak dobry, mały duszek.

Ale znów popełniła błąd.

Gdy otworzyła drzwi łazienki, okazało się, że Niall ją ubiegł. Ubrany w ciemny wieczorowy garnitur i białą koszulę, z włosami wilgotnymi po niedawnym prysznicu, siedział oto przy jej biurku i załatwiał swoje sprawy przez telefon komórkowy. Czy w ten sposób chciał jej dać do zrozumienia, że za trzy miesiące to miejsce będzie należało do niego?

Chociaż nie była w stanie się uśmiechnąć, zrobiła wszystko, by nie okazać gniewu.

- Czyżbyś zdobył klucz do łazienki Indii, żeby mi coś udowodnić? - spytała.

- Nie było takiej potrzeby. Twoja siostra się nade mną ulitowała.

- India? - Wydawało się to mało prawdopodobne.

- Nie, nie India. Chyba Flora. Spotkałem ją, gdy wysiadałem z windy. Skierowała mnie do twego biura. A ponieważ brałaś prysznic, zaproponowała, żebym skorzystał z jej łazienki. To miła dziewczyna - dodał. - Bardzo otwarta. Żadnych ukrytych zamiarów.

Wielkie nieba! Co też Flora naopowiadała temu człowiekowi?

- Ona nie jest dziewczyną - zaprotestowała. - Jest dorosłą kobietą. W dodatku bardzo mądrą. A poza tym żadna z nas nie ma ukrytych zamiarów. - W przeciwieństwie do ciebie, przemknęło jej przez myśl. - Nie wiedziałam, że Hora była dzisiaj w biurze - dodała.

- Przyszła po jakieś notatki, które przepisywała jej sekretarka. Powiedziała, że nie spędza tu zbyt dużo czasu.

• - Nie musi tego robić. Nie jest administratorką. Włącza się w naszą pracę w inny sposób. - Do diabła, to brzmiało tak, jakby się usprawiedliwiała.

- Niemniej jednak ma tu swoje biuro. I sekretarkę do pomocy. Korzysta z wszystkich udogodnień. Ma nawet prywatną łazienkę. - Mówił zrównoważonym tonem, jego obiekcje brzmiały bardzo rozsądnie. Wreszcie wyszło szydło z worka. - Ile kosztuje metr powierzchni biurowej w tej części miasta?

Była przekonana, że Niall Macaulay, podobnie jak prawnik przesłuchujący świadka, nigdy nie zadawał pytań, na które z góry nie znał odpowiedzi.

- Krocie - odparła lodowato. - Zawsze jej brakuje. Ciągłe potrzebujemy dodatkowej powierzchni do sprzedaży, wierz mi.

- Może więc powinniście zrezygnować z takich luksusów? Nie potrzebujecie tego wszystkiego - powiedział, omiatając gestem ręki przestronny gabinet. - Ani własnych łazienek. Mogłybyście ulokować tu księgowość, a same przenieść się na dół i wygospodarować w ten sposób miejsce na nowy dział.

Romanie przeszły ciarki po plecach. Najlepsze były proste rozwiązania. Ale skoro było to aż tak proste, dla-

czego żadna z nich o tym nie pomyślała? W porządku, wchodziły w grę względy bezpieczeństwa. Ale można było z tym sobie poradzić. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy Farradayowie, stojąc z boku, nie widzą pewnych spraw jaśniej. A może byli po prostu inteligentniejsi, niż na to wyglądali?

Niekoniecznie.

- Może się mylę, ale czy to nie Farradayowie przenieśli biura na górę, gdy rządili tu po raz ostatni?

- To było z górą trzydzieści lat temu - podkreślił. - Czasy się zmieniły. Przestrzeń jest teraz na wagę złota. Będę zalecał Jordanowi zamknięcie działu z książkami.

- Już go ograniczyliśmy.

- To tylko pogorszyło sytuację.

Przełknęła ślinę. Nie doceniła go.

- Masz jeszcze inne uwagi? - spytała chłodno. Nie omieszka skorzystać z jego cennych pomysłów. Nie była aż tak głupia.

- Uwagi? - powtórzył i uśmiechnął się, jakby czytając w jej myślach. - Mam cię obserwować i uczyć się od ciebie. Ty tu jesteś ekspertem.

Och, bardzo sprytnie.

- Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę - powiedziała i udając brak dalszego zainteresowania rozmową, podeszła do biurka i wzięła kartkę z zapisanymi na niej numerami telefonów. - Jeśli już sprawdziłeś rozmiar mojego fotela, to teraz cię przepraszam, ponieważ mam coś do załatwienia. - Nagle ściągnęła brwi. Poniewczasie dotarł do niej sens tego, co powiedział wcześniej. - Flora zaprowadziła cię do mojego biura? Dlaczego Molly albo sekretarka nie czekały na ciebie? A co z przechadzką po sklepie?

- Zrobiłem to wczoraj i wystarczy, a zawracanie głowy twojej sekretarce wydało mi się bezcelowe. Sam wcisnąłem kod.

Po raz kolejny zaniemówiła. Powtarzało się to stanowczo zbyt często...

Niall wstał.

- Dziękuję, że mogłem skorzystać z twojego biurka. Ale ten fotel jest dla mnie trochę za mały. - Uśmiechnął się lekko. - Opowiedz mi coś więcej o aukcji...

- W gruncie rzeczy wcale nie masz ochoty w niej uczestniczyć, Niall. Wracaj do swego banku i swojego wielkiego fotela. Zrób jakiś intratny interes, a będziesz o wiele szczęśliwszy, niż obserwując, jak ludzie wyrzucają pieniądze na głupstwa.

- Stale mi powtarzasz, czego nie chcę robić.

- Czy do tej pory się pomyliłam?

- Myślałem, że dzisiejszy poranek coś wyjaśnił.

Nie prosiła go, by rozwijał tę myśl. Domyślała się, do czego mógł robić aluzję.

- Możesz mi towarzyszyć, jeśli nalegasz - powiedziała. - Ale w tym czarnym garniturze ludzie wezmą cię za prowadzącego aukcję.

- Bez jedwabnej chusteczki w butonierce? Nie sądzę. - Uśmiechnął się, a ponieważ milczała, dodał: - Nie bądź urażona, Romano, ale to ja wygrywam. Idzie ci naprawdę nieźle, ale ja gram w tę grę o wiele dłużej niż ty.

- To nie jest gra, Niall. To prawdziwe życie. - Przypominanie mu o prawdziwym życiu nie było jednak dobrym pomysłem. Zdezorientowana podniosła słuchawkę i zaczęła dzwonić. Ale mimo że bardzo się starała, nie mogła pozbyć się uczucia niepokoju. Miała nieprzyjemne wrażenie, że ona i jej siostry tracą grunt pod nogami

i sprytni Farradayowie usuną je z zarządu bez specjalnego wysiłku.

Niall, który skorzystał z biurka Romany tylko po to, aby ją zirytować, uznał, że tym razem mu się to nie udało. Romana śmiała się i doskonale bawiła. Nawet nie zmarszczyła brwi. Ze słuchawką przyciśniętą do ucha, pochylona nad biurkiem, szukała czegoś w papierach. Z jej miękkimi wargami kontrastował mocny zarys podbródka i stanowczy głos, którym przekazywała informacje. Mruzczała coś pod nosem, robiła notatki i przechodziła do kolejnej wiadomości. Była całkowicie skupiona na tym, co robi. Zagryzła dolną wargę, potem uśmiechnęła się i kiwała głową, jakby osoba na drugim końcu linii telefonicznej mogła ją zobaczyć. Szybko podejmowała decyzje i nie traciła czasu.

Nie chciał, by przyłapała go na tym, że ją obserwuje, poszedł więc za jej przykładem i przesunął dwa spotkania na wczesny ranek, by móc spędzić więcej czasu w sklepie. Następnie, ponieważ Romana jeszcze nie skończyła, wziął do ręki oprawiony w lśniącą złoto-wiśniową okładkę katalog przedmiotów wystawionych na aukcję. Był to wielce oryginalny zestaw. Piłka podpisana przez najlepszych piłkarzy. Przepisy kulinarne pisane własnoręcznie przez sławnych ludzi. Plakaty z autografami. Ubrania gwiazd filmu i estrady.

Zgromadzenie takiej kolekcji wymagało ogromnego wysiłku. I kontaktów w wielkim świecie.

Zdał sobie sprawę, że w jednej kwestii Romana na pewno miała rację. On sam nie mógłby wykonywać tej pracy. Wątpliwe też, by udało się to komuś innemu. Romana była wyjątkowa. Ciekawa, popularna, z indywidu-

alną osobowością, a jednocześnie całkowicie oddana firmie. Trudno byłoby ją zastąpić.

Namówi Jordana, by zatrzymał ją na tym stanowisku. Chociaż zapewne Romana zechce wykorzystać swoje talenty w jakiejś własnej firmie... Albo w ogóle nie będzie sobie zawracać głowy pracą. Nie musiała nic robić: A jednak pracowała niewiarygodnie ciężko, z wielkim poświęceniem...

- Chcesz coś licytować?

Podniósł wzrok i zorientował się, że skończyła telefonować i obserwuje go zniecierpliwionym wzrokiem. Jakby nie dowierzała, że on naprawdę tu jest.

- Wątpię.

- Och, powinieneś poznać ducha tej imprezy. Może mógłbyś coś kupić dla... - Nie przychodziło jej do głowy, dla kogo mógłby kupić ekstrawagancki prezent. - Dla matki - zdecydowała. - Masz matkę? - W jej głosie brzmiało powątpiewanie.

- Mam dużą rodzinę - odpowiedział. - Nie rozumiem, dlaczego zdajesz się w to wątpić. - Wzruszył ramionami. - Niech będzie. Ze względu na szczytny cel, zdobędę się na ekstrawagancję.

- Chodźmy więc! Możesz zabrać ze sobą katalog.

- Robiłaś to już przedtem? - spytał.

- Nie na taką skalę. - Skrzywiła się lekko i ruszyła do wyjścia. Otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą. - Będę bardzo szczęśliwa, kiedy ten tydzień się wreszcie skończy.

- Co będziesz robić? Weźmiesz urlop?

- Żartujesz! - Zrezygnowała z windy i ruszyła w dół schodami, od czasu do czasu zerkając na niego. - Jak by to wyglądało w twoim raporcie dla Jordana Farradaya?

- Podniosła ton głosu jak spikerka telewizyjna. - W pierwszym tygodniu panna Romana Claibourne przewodniczyła sprawnie rozmaitym imprezom reklamowym, ale potem, wyraźnie zmęczona tym wysiłkiem, spędziła tydzień na południu Francji...

- Właśnie tam? - W głowie mu się zakręciło na myśl o Romanie wylegującej się na pokładzie prywatnego jachtu - wiedział, że to musi być prywatny jacht - w bikini.

- A gdzieżby indziej o tej porze roku? - spytała. - Chciałabym skorzystać ze słońca, nie fatygując się zbyt daleko.

Co takiego było w tej dziewczynie? Miał wrażenie, że stracił rozum, odkąd oblała go kawą. Zmusił się do skupienia. Turystyczne miejscowości odpowiednie na późną wiosnę... Zabrał kiedyś Louise na jedną z greckich wysp. Próbował zainteresować ją nurkowaniem... Nagłe pragnienie, by odżyć i znowu móc się cieszyć stało się z dręczącym poczuciem winy.

- Co? Och, ależ jedź. Nie wspomnę o tym Jordanowi. Naprawdę.

Romana uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Wierzę ci. Ale nie. To już tutaj. - Wskazała jakieś wejście.

Niall otworzył służbowe drzwi, prowadzące do wielkiej restauracji. Regularnie w porze lunchu odbywały się tu pokazy mody. Dziś dla potrzeb aukcji krzesła ustawiono w rzędach. Prawie nie było wolnych miejsc. Ludzie stali również w grupkach pod ścianami, a w środkowym przejściu kłębili się dziennikarze z kamerami telewizyjnymi i aparatami wycelowanymi w sławnych i bogatych, którzy przy okazji robili sobie reklamę. Na sali wrzało.

- Wielkie nieba! - westchnął Niall.

Romana podniosła wzrok, ale nie na wiele to się zdało. Wspięta się na pałce i przyłożyła rękę do ucha Nialla.

- Zmykaj stąd, jest jeszcze czas - powiedziała.

Była tak blisko. Czuł na policzku jej ciepły oddech. Widział drobne zmarszczki w kącikach ust, zmarszczki, które nadawały jej uśmiechowi specyficzny urok. Ale teraz się nie uśmiechała. Zdał sobie sprawę, że jest zdenerwowana. Niemal tak samo, jak przed skokiem na bungee. Dlaczego tak się wysilała? Co chciała sobie udowodnić?

Jakakolwiek była tego przyczyna, tym razem nie zamierzał jej dodatkowo stresować. Ujął jej dłoń i mocno ucisnął.

- Jestem twoim cieniem, Romano. Gdzie ty, tam ja.

A potem nagle, chcąc zademonstrować swoje wsparcie, pochylił się, by pocałować ją w policzek. Miało to być przelotne, konwencjonalne cmoknięcie. Dla podtrzymania na duchu. Jednakże pomiędzy intencją a realizacją coś poszło źle. A może właśnie dobrze? Jego wargi ominęły jej policzek i opadły prosto na usta.

Pocałunek był jakby kulminacją tej fali pożądania, która ogarnęła go, gdy w samochodzie prawie ją pocałował... Dalszym ciągiem tej chwili, gdy muskając go wargami, powiedziała, by przestał myśleć, a zacząj naprawdę czuć.

To była rzeczywistość.

Pocałunek ten mógł trwać sekundę lub minutę; nie potrafił tego określić. Wiedział jedno - stanowczo zbyt szybko się skończył.

Gdy uniósł głowę, zobaczył, że oczy Romany są okrągłe ze zdumienia.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją uspokajająco.

Romana nie należała do kobiet, które przyznają się do zdenerwowania.

- Dobrze? - Wyrwała mu rękę tak gwałtownie, jakby chciała go uderzyć. Czy powstrzymała ją wyłącznie obecność reporterów? W jej dużych niebieskich oczach zobaczył błysk czegoś gorącego i niebezpiecznego. - Oczywiście, że będzie dobrze. Dam sobie radę. I nie potrzebuję, by jakiś Farraday ścisnął mnie za rączkę.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

- No, nieźle. - Molly uśmiechnęła się do Romany, zajmując miejsce obok niej na podium. - Przelotny pocałunek, a wyglądał niebywale namiętnie.

- Pocałunek? - powtórzyła Romana z obojętnym wyrazem twarzy, mimo że serce waliło jej jak oszałałe. - Och, chodzi ci o to coś przed chwilą? To nie był pocałunek. Niall chciał tylko życzyć mi szczęścia i dodać odwagi.

- Czyżby? - Molly nie była przekonana.

Romana napiła się wody i powachlowała policzki notatkami. Oczywiście, że ten pocałunek był zupełnie czymś innym. Odzwierciedlał pożądanie, które zobaczyła w oczach Nialla w samochodzie, gdy myślała - miała nadzieję - że ją pocałuje. I tak bardzo zapadł jej w pamięć, że wciąż płonęły jej wargi.

Wypiła kolejny łyk wody, by się uspokoić. Potem podniosła notatki i stuknęła nimi o pulpit, starając się nie patrzeć w stronę Nialla. Ale kątem oka, chcąc nie chcąc, widziała, że stał i obserwował ją bacznie.

Nie potrzebowała jego wsparcia. Nawet nie chciała myśleć o tym, czego naprawdę potrzebowała. To się nie mogło zdarzyć. Pragnęła wyłącznie powodzenia Claibourne'ów. Niczego więcej.

Podniosła młotek i energicznie uderzyła nim o blat. Zapadła cisza.

Tylko Molly wachlowała się katalogiem, usiłując zwrócić uwagę Nialla. Romana pochyliła się nad wysokim pulpitem licytatora.

- Proszę usiąść, panie Macaulay - poprosiła, wskazując krzesło, które zarezerwowała dla niego jej asystentka.
- Będziemy mogli szybciej zacząć.

Dobrze mu radziła, żeby wyszedł. Teraz pewnie żałował, że nie skorzystał z jej rady. Było już za późno. Wiedzieli ó tym obydwójce. Skinął głową i przeszedł przez środek do pierwszego rzędu. Był w połowie drogi, gdy spytała od niechcienia:

- Czyżby miał pan kłopoty z parkowaniem?

Usiadł na krześle, z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Potrafiła już jednak czytać w nim jak w otwartej księdze. Jego oczy mówiły: „Zapłacisz mi za to później”.

- Czy pan wie, że dla spóźnialskich przewiduje się karę stu funtów? - ciągnęła beztrąsko.

- Od kiedy to? - zachnął się lekko.

- Od teraz - odparła. - Właśnie ogłosiłam nowy regulamin. - Widownia, która tylko czekała na okazję, wybuchnęła śmiechem. Romana podniosła młotek, nakazując ciszę. - Dodatkowo nakładam na pana grzywnę w wysokości pięćdziesięciu funtów za podważanie autorytetu licytatora.

Znów rozległy się śmiechy. Miała już wszystkich w garści. Wystarczyło, że podniosła rękę, by w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

- Jakiś problem? - spytała, ale Niall uniósł do góry ręce w geście poddania i tylko pokręcił głową, wyraźnie nie chcąc ryzykować kolejnej kary. - W takim razie zapisujemy. Sto pięćdziesiąt funtów, pan Niall Farraday Macaulay. Panie i panowie - zawróciła się do widowni - pro-

szą nie współczuć. Pan Macaulay jest jednym z naszych udziałowców, może sobie pozwolić na hojność.

Wszyscy uznali te słowa za niezwykle zabawne. Niall, który znalazł się teraz w centrum uwagi fotoreporterów, uśmiechnął się słabo. Tym uśmiechem mógł przekonać kamerę, ale nie ją... Powinien znać się na żartach. A jeśli się nie znał, to trudno. Ale przed chwilą przypomniała wszem i wobec, że pod kierownictwem sióstr Claibourne C&F ma się bardzo dobrze. A to już było coś zupełnie innego. Przy odrobinie szczęścia zacytują ją wszystkie gazety. A jeśli na dobitkę wydrukują obok jego fotografię, Jordan Farraday się wścieknie, zwłaszcza że już w porannej prasie pojawiło się zdjęcie, przedstawiające przytulonych do siebie Romanę i Nialla.

Cóż, dostał nauczkę. Powinien zastanowić się dwa razy, zanim znów potraktuje ją protekcyjnie. A jeśli chodzi o całowanie... Następnym razem powinien staranniej wybrać czas i miejsce... by mogła wreszcie skorzystać z obietnicy, którą poczyniły jego usta.

Gwałtownie ucięła ten tok myśli i skoncentrowała się na pracy.

Aukcja przebiegała w szaleńczym tempie, ponieważ przeznaczono na nią zaledwie godzinę. Romana przekomarzała się, flirtowała z gwiazdami. Drużyna futbolowa, prezenter pogody z TV oraz dwoje aktorów w podziękowaniu za swój wkład zostali obdarowani czarownym uśmiechem i pocałunkiem, a fotografowie prasowi mieli prawdziwe żniwa.

Niall został zaszczycony tylko jednym przelotnym spojrzeniem, i to dopiero wtedy, gdy za śmiesznie wysoką sumę kupił koszulkę piłkarską z autografem. Zrobił to z myślą o prezencie urodzinowym dla swojego chrześnia-

ka, zapalonego kibica. Karykatura pewnego polityka dla kuzyna oraz bilety na galę Royall Ballet dla matki nie zasłużyły nawet na skinienie głowy Romany.

Ale gdy płacił i odbierał prezenty, zauważył, że Romana przekreśliła pozycję „grzywna” i parafowała tę decyzję własnym podpisem.

- To był tylko żart — zapewnił go kasjer. - Nie musi pan płacić.

- Wiem - odparł, po czym skreślił inicjały R.C., robiąc własną parafkę na marginesie, i poprawił sumę. Potem podał kartę kredytową. - Niespodzianka dla panny Clai-bourne.

Po zakończeniu aukcji Romana szybko wyszła. Potrzebowała powietrza i ciszy. A przede wszystkim pragnęła być sama. Zdjęła buty i zaczęła rozpinąć kostium, nim jeszcze zamknęły się za nią drzwi biura. Miała kilka minut przewagi nad Niallem, który płacił za kupione rzeczy. Postanowiła wykorzystać okazję i wyjść na spacer bez nieodłącznego cienia.

Sekretarka podniosła głowę znad papierów.

- Jak poszło? - spytała przez otwarte pomiędzy ich pokojami drzwi.

- Totalne szaleństwo. Nie mieści mi się w głowie, ile pieniędzy ludzie mogą wydać. - Nawet Niall... Nie chciała o nim teraz myśleć. Wyczuwała, że z tej strony nadciągają kłopoty. Ze starannie ułożonych rzeczy wyciągnęła bluzkę i włożyła ją przez głowę. - Były jakieś problemy?

- Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić.

- Dzięki Bogu. - Włożyła luźne, szare spodnie i sportowe pantofle. - Zamierzam pójść spacerem przez park do domu i położyć się na chwilę z nogami do góry. - Jeśli

ktoś będzie o mnie pytał... - oczywiście miała na myśli Nialla Macaulaya - to poszłam do dentysty.

Od wpół do ósmej nie miała ani chwili dla siebie. Musiała zapomnieć o sklepie. Zapomnieć o wszystkim.

Otworzyła drzwi. Niall stał oparty o ścianę naprzeciwko. Ręce miał skrzyżowane na piersi, nogi w kostkach. Czyżby przewidział, że będzie próbowała uciec? Nawet się nie uśmiechnął. Zaczynała podejrzewać, że zarezerwował to chłodne, irytujące spojrzenie specjalnie dla niej.

- Wychodzisz gdzieś beze mnie? - spytał.

Już miała powtórzyć przygotowaną wymówkę, lecz uznała, że to bez sensu. I tak by nie uwierzył. Albo, co gorsza, chciałby i tak pójść z nią i trzymać ją za rękę na fotelu dentystycznym.

- Potrzebuję odrobiny świeżego powietrza - powiedziała zgodnie z prawdą. - Poza tym powinnam spalić te nieszczęsne frytki. Zamierzam pójść do domu przez park, a potem położyć się na chwilę... - Mówiła coraz głośniej, z coraz większą desperacją. Zdołała jednak przerwać, nim zrobiła z siebie zupełną idiotkę. - Dziękuję, że tak hojnie wsparłeś naszą aukcję - dokończyła nieco spokojniej.

- To dość kosztowny sposób robienia zakupów.

- Jeśli szukasz taniocy, powinieneś pójść na pchli targ. - Nie poruszył się nawet, toteż spytała wprost: - Chcesz czegoś, Niall?

- Przyszedłem po coś, za co zapłaciłem.

Popatrzyła niepewnie na lśniąca torbę stojącą u jego stóp.

- Źle trafiłeś...

- Och, nie. - Oderwał się od ściany szybko i zwinnie jak Indianin. Romana podskoczyła, gdy jego ręce przyparły ją do muru i unieruchomiły. - Pocałowałem cię, a ty

zmusiłaś mnie, bym ci za to zapłacił. Przyszedłem więc złożyć reklamację, ponieważ nie dostałem tego, za co zapłaciłem.

Pokręciła głową i roześmiała się krótko.

- Me bądź głupi, Niall. Wykreśliłam grzywnę... To był żart.

- Wiem. Ale i tak zapłaciłem.

Dreszcz oczekiwania przeniknął ją aż do szpiku kości. Fala gorąca i... Nie, to nie była ona. W żadnym razie. Zdażyła przymknąć oczy, nim zobaczył w nich głębokie pożądanie.

- Dopilnuję, byś odzyskał nadpłatę... - Poruszyła się, jakby chciała się wyzwolić.

Ale on jeszcze nie skończył.

- Mam pozbawić te pokrzywdzone przez los dzieci korzyści płynących z moich pieniędzy? Przecież to ty, Romano, ciągle powtarzasz, że wszystko robisz w słusznej sprawie. Udowodnij więc, że to nie tylko szum reklamowy. Pokaż tym małym dzieciom, jak bardzo cię obchodzą.

Wiedziała, że Niall Macaulay nie należy do osób, z których można bezkarnie publicznie żartować. Właśnie dlatego tak bardzo jej się spieszyło z wyjściem z aukcji. Chciała dać mu czas na ochłonięcie, nim spotkają się na pokazie mody.

Ale, gdy tak stała pod ścianą, zamknięta w jego ramionach jak w klatce, nagle przyszło jej do głowy, że jeśli ją pocałuje - naprawdę pocałuje - to ona będzie zwycięzcą. Przebije otaczającą go lodową powłokę, przesadzi wysoki mur, którym odgrodził się od świata i wdrze się do jego serca. A więc wygra ich osobistą bitwę. To nie miało nic wspólnego ze sklepem. To było coś, co zaczęło się w chwili, gdy upuściła papierowy kubek z kawą, a on patrzył na

nią pogardliwie, jak na roztrzepaną blondynkę, całkowicie pozbawioną szarych komórek.

Gdyby ją pocałował, okazałoby się, że nie jest lepszy od innych, że równie łatwo oślepia go krótka spódnica, pukiel włosów owinięty wokół palca czy obcisła sukienka.

Jakże by to ją ucieszyło... Uzmysłowała sobie, że gdyby miała Nialla Macaulaya u swoich stóp, byłaby bardzo, bardzo szczęśliwa.

Ważne tylko, by samej nie dać się oślepić. Nie powinna mieć z tym problemu. Dorastała przecież u boku ojca, który z pewnością nie był wzorem męskiej wierności. Była całkowicie odporna na wirus miłości. A jednak, gdy usta Nialla znajdowały się tak blisko, gdy widziała jego oczy pociemniałe z pożądania, przestraszyła się, że nie potrafi mu się oprzeć. Czuła, jak miękną jej wargi, powieki opadają, a ją całą opanowuje słodka tęsknota.

Poczuła się uległa i bezbronna jak szmaciana lalka. Była tak podniecona, jakby jego ręce już dotykały jej ciała. Jakby jego usta były już na jej ustach. Usłyszała ku swej rozpaczycy cichy dźwięk, leciutki ponaglący jęk, który wydobył się z jej gardła.

Czy w ten sposób mężczyźni i kobiety wpadali w pułapkę miłości? Czyżby ciało mogło zapanować nad umysłem? O, nie! Nie w jej przypadku. Wiedziała, że uczucia ulatują jak bąbelki szampana. A jednak czekała z przytmkniętymi oczami...

Czekała i czekała.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że Niall nawet się nie poruszył. Dopiero po chwili otrząsnął się z głębokiego odrętwienia, wyprostował plecy i opuścił ramiona.

- Dziękuję, Romano - powiedział.

- Za co? - Poruszyła wargami, ale słowa uwięzły jej w gardle. - Za co? - powtórzyła po chwili.

- Za ustalenie zasady. Za to, że stałem się precedensem. - Podniósł torbę i odszedł w stronę windy.

- To wszystko? - rzuciła za nim. - Nie chcesz wyrównania rachunków?

- Pocałunek poczeka - odpowiedział, odwracając się na moment. - Nie martw się. Dam ci znać, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Zniknął jej z oczu, gdy skręcił do windy.

Nie martw się... Romana stała w miejscu, jak przykuta do podłogi, i odtwarzała w myślach przebieg rozmowy. Da jej znać? Co to, u licha, miało znaczyć? Czyżby sądził, że wystarczy pstryknąć palcami...

Do diabła! Nie będzie musiał pstrykać palcami. Wystarczy jedno spojrzenie.

Niall wrócił do swego biura. Powinien tu wrócić już wtedy, gdy otrzymał telefon. Powtarzał sobie, że duma Farradayów jest ważniejsza. Ale to nie duma Farradayów zatrzymała go w sklepie dziś po południu, lecz Romana Claibourne.

Był równie zdecydowany pojawić się na pokazie mody. Udało mu się odwrócić sytuację na swoją korzyść. Z przyjemnością będzie obserwować, jak Romana się denerwuje. Za każdym razem, gdy przyjdzie im występować razem w miejscu publicznym, będzie siedzieć jak na szpilkach, czekając na moment, który on wybierze, by odebrać swój wart sto pięćdziesiąt funtów pocałunek. Pożaluje tego chichotu, który wywołała na widowni jego kosztem.

W gruncie rzeczy wcale się tym nie przejmował. Naprawdę złościło go to, że stale zmuszała się do robienia

rzeczy, które ją śmiertelnie przerażały. I że odrzuciła jego wsparcie, jakby mu nie ufała.

Pamiętając, jak zareagowała na wcześniejszy pocałunek, spodziewał się znacznie większego oporu. Gdy więc popatrzyła na niego pociemniałymi oczami, lekko rozchylając wargi i pokazując swoje ładne drobne zęby, jego własna reakcja go zaskoczyła. Gotów był poddać się tej fali namiętności. Chciał się w niej zatracić. Wziąć wszystko, co ofiarowywała mu Romana, i jeszcze więcej.

Od śmierci Louise nikt nie poruszył jego serca. Zaczynał wierzyć, że nikomu się to nie uda. Sądził, że może bezkarnie flirtować z Romaną Claibourne. Ale się pomylił...

Dlatego nie powinien jej całować. Zwłaszcza że jeden pocałunek nie wystarczy. Zresztą nawet jeden pocałunek był zdradą kobiety, która zmarła, ponieważ namówił ją na zrobienie czegoś, czego się bała.

Romana, by odróżnić się od modelek, włożyła dobrze skrojone czarne spodnie, czarną jedwabną koszulę oraz proste, srebrne klipsy. Koordynowała pokaz zza kulis. W czerni była łatwo widoczna wśród błyszczących, białych sukni ślubnych i barwnych strojów, przeznaczonych na miodowy miesiąc.

Niall zauważył ją natychmiast. Gdy torował sobie drogę w tłumie na wprost rozebranych modelek, z oczami utkwionymi tylko w niej, odczuła lekki dreszcz. Czyżby chciał teraz wygzekwować pocałunek? - zastanawiała się z niepokojem. W gwarze, pośród uścisków i wielu przelotnych pocałunków kolejny, nawet najbardziej namiętny, pozostałby niezauważony. O, nie, Niall wybierze na pewno

takie miejsce, gdzie pocałunek wprawi ją w prawdziwe zażenowanie....

Miał na sobie elegancką marynarkę, a jego krawat był znów lekko przekrzywiony.

- Może powinieneś kupować już zawiązane krawaty?
- zasugerowała z uśmiechem. - Nasz dział z męskimi dodatkami chętnie wyśle ci kilka na próbę. - Poprawiła mu krawat i podniosła wzrok.

Twarz Nialla była nieodgadniona. W ogóle nie patrzył na Romanę. Jego uwagę przykuło coś, co znajdowało się za jej plecami.

- Niall? Dobrze się czujesz? - spytała, a gdy nie odpowiadał, odwróciła się, by sprawdzić, na co patrzy. Kruzczołosa modelka, ubrana w klasyczną białą suknię ślubną, śmiała się do partnerującego jej „pana młodego”. Scena wyglądała niezwykle prawdziwie. Państwo młodzi. Szczęśliwi na zawsze. - Nie możesz tu zostać - powiedziała szybko. - Dziewczyny będą skrępowane. - Wzięła Nialla pod ramię i bardzo stanowczo odwróciła plecami do wybiegu. - Molly się tobą zaopiekuje. Znajdzie ci miejsce na widowni.

- Nie, dziękuję. - Uśmiechnął się z przymusem, trochę pośepnie. - Miałaś rację, Romano. Na dziś mam dość zabawy. Wybaczysz mi, jeśli odwołam naszą wspólną kolację?

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała, ale odczuła zawód. - Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że zapomnisz.

- Ma się rozumieć. - Kąciki jego ust zadrgały w uśmiechu.

- Muszę wracać. - Wskazała ręką gwarny tłum za swoimi plecami, a potem w obawie, że się rozpłacze, szybko odwróciła się i odeszła.

Do diabła! Co jej się stało? Co takiego było w tym mężczyźnie o złamanym sercu, że sam je łamał?

Powinna być zadowolona, że się go pozbyła. Ale na samą myśl o tym, że Niall wróci do ogromnego pustego domu, mając w oczach roześmianą pannę młodą, chciało jej się płakać.

- Romana? - Jedna z modelek patrzyła na nią, oczekując odpowiedzi. - Słyszysz? Idziemy wszyscy na kolację, a potem może wpadniemy do jakiegoś klubu. Idziesz z nami?

- Dziękuję, ale miałam naprawdę męczący dzień. Pojadę do domu i położę się.

- Jeśli z tym fantastycznym facetem, który był tu wcześniej, to ci wybaczam.

Nie próbowała wyprowadzać z błędu tej dziewczyny. Chwyciła zakiet i wyszła głównym wyjściem z hotelu.

- Taksówkę, panno Claibourne?

- Tak, poproszę.

Gdy nadjechał czarny samochód, portier otworzył jej drzwi.

- Dokąd jedziemy? - spytał taksówkarz, skręcając w główną ulicę.

Dokąd? Pomyślała o swoim wygodnym mieszkaniu, gdzie czekało na nią łóżko z pachnącą lawendą pościelą, ale odepchnęła tę kuszącą wizję.

- Do Spitalfields - powiedziała.

- Spitalfields, proszę pani? - powtórzył kierowca, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

Ona również nie była pewna swoich słów, ale musiała tam pojechać. Przez cały wieczór kierowała pokazem mody, radziła sobie z drobnymi niedociągnięciami, była nad-

zwyczaj skuteczna, całkowicie skupiona na pracy. Myśla-
mi jednak przebywała gdzie indziej - w ogromnej, opu-
stoszałej kuchni z mężczyzną, który był do niej wrogo
nastawiony. Prześladowała ją myśl, że Niall jest tam sam
ze swoimi smutnymi wspomnieniami. Wiedziała, że nie
będzie w stanie zasnąć, póki nie upewni się, że nic mu nie
dolega.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

Zerknęła na dom. W oknach od frontu było ciemno, ale
gdzieś z tyłu sączyło się słabe światło.

- Proszę zaczekać - zwróciła się do kierowcy. - To nie
potrwa długo.

Ujęła kołatkę i zawahała się. Miała świadomość, że robi
z siebie idiotkę. Nie potrafiła jednak się wycofać. Puściła
kołatkę. Rozległo się głośne stuknięcie.

Zerknęła na kierowcę, który rozmawiał przez telefon,
a jednocześnie uważnie śledził jej ruchy. Rozumiała jego
nieufność; kurs był drogi.

Ponownie uniosła kołatkę, ale nim zdążyła nią stuknąć,
drzwi gwałtownie się otworzyły.

- O co chodzi? - Niall miał jeszcze na sobie białą
wizytową koszulę, ale krawat był rozwiązany, a ostatnie
guziki rozpięte. W jego głosie pobrzmiwała irytacja.
Rozpoznał ją dopiero, gdy oświetliło ją światło. - Roma-
na? - Był zdumiony. - Ty tutaj? Dlaczego?

Mogła wymyślić wiele odpowiedzi, ale tylko prawda
miała sens.

- Niepokoiłam się o ciebie, Niall. Gdy wychodziłeś
z „Savoya”, wyglądałeś dość... kiepsko.

- Podejrzewałaś, że będę topił smutki w alkoholu? To
byłby doskonały argument w wojnie przeciwko Farra-
dayom, nieprawdaż? India by ci pogratulowała.

- Rzeczywiście zalewasz robaka? - spytała, ignorując jego złośliwość. Był trochę rozmamłany, włosy miał w nieładzie, ale nie wyglądał na pijanego.
- Och, do licha, wejdź lepiej do środka - powiedział, otwierając szerzej drzwi.
- Taksówkarz czeka.
- Zwolnij go. Odwiozę cię do domu. Nie martw się
- dodał, widząc powątpiewanie w jej oczach - nie było jeszcze takiego problemu, który bym chciał oglądać przez dno butelki. - Podeszedł do taksówki, zerknął na licznik i podał kierowcy banknot, nie odbierając reszty.
- Wejdź - zwrócił się do Romany, gdy taksówka odjechała. - Siedziałem w kuchni. - Wzruszył ramionami.
- Zawsze siedzę w kuchni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Obiecałeś, że pokażesz mi dom - powiedziała. - Chyba że butelka bardziej cię pociąga. - Należała mu się ta drobna złośliwość, skoro sugerował, że przyszła na przespiegi. - Zawsze mogę przywołać taksówkę.

Odwrócił się i włączył światło w holu. Zaczęła rozpinać zakiet, ale ją powstrzymał.

- Może ci być zimno. Na górze ogrzewanie włączone jest na minimum. - Cofnął się, by przepuścić ją na schody.

Dom miał cztery poziomy. Na strychu znajdowało się kilka małych pokoi, zagraconych różnymi przedmiotami, często już niepotrzebnymi, ale zbyt drogimi sercu, żeby je wyrzucić.

W jednym na przykład stał damski staroświecki rower z wysoką kierownicą, koszykiem oraz chromowanym dzwonkiem.

- Mam podobny - zauważyła Romana, przesuwając palcem po kierownicy. - Jeździłam na nim, gdy byłam w college'u.

- A teraz wolisz taksówki?

- Nie zawsze.

Niall bez komentarza zamknął drzwi i sprowadził ją na niższe piętro.

- Tu była pracownia Louise - wyjaśnił, otwierając

drzwi do pokoju, którego okna wychodziły na tyły domu. Meble i sprzęty pokrywała gruba warstwa kurzu, jakby od chwili śmierci Louise niczego tu nie ruszano. - Nie ma tu wiele do oglądania, chyba że interesują cię osiemnastowieczne rozwiązania budowlane - powiedział. - Ta część domu była przeznaczona dla dzieci i służby. W tamtych czasach drogie dekoracje i elementy wyposażenia rezerwowano dla pomieszczeń reprezentacyjnych.

- Wspominałeś, że odkryliście jakieś oryginalne dekoracje?

- Tak, w salonie.

Zeszli piętro niżej. Niall otworzył podwójne drzwi i zapalił duży żyrandol. Romana nie bardzo wiedziała, czego się powinna spodziewać, ale wyblakła farba i ledwie widoczny kwiatowy ornament nie zrobiły na niej specjalnego Wrażenia.

- Louise prześledziła historię tego domu. Odkryła, że ten pokój pomalowano w 1783 roku z okazji ślubu kupca jedwabnego z jego dragą żoną. Wówczas uchodziło to za ekskluzywną dekorację. - Przesunął dłonią po ścianie. - Ten kwiatowy fryz namalował miejscowy artysta, który projektował wzory dla tkaczy.

- Jest tak cenny, że nikt do tej pory nie ośmielił się odnowić pokoju?

- Louise chciała naprawić jedynie zniszczony fragment w rogu i pozostawić wszystko tak, jak jest - powiedział, jakby nie zauważył jej sarkazmu.

Romana rozejrzała się wokół. Salon miał dobre proporcje, wysoki sufit i trzy długie okna, z których widać było ulicę. Może była ignorantką, ale uważała, że przydałoby się pomalować ściany na jakiś wesoły kolor, a okna i drzwi ' zaznaczyć bielą.

- Czy reszta pokoi wygląda podobnie? - spytała.

Zrobił gest, dając jej do zrozumienia, żeby dalej oglądała sama. Stał w holu, podczas gdy Romana otwierała po kolei drzwi do pozostałych pomieszczeń na piętrze.

Jedynym naprawdę zamieszkanym pokojem była sypialnia. Uwagę Romany przykuła od razu srebrna ramka, w której stała fotografia młodej kobiety o lśniących czarnych włosach i błyszczących ciemnych oczach. Zrozumiała raptem, dlaczego na widok tamtej modelki na pokazie Niall pobladł, a potem uciekł do domu. Podobieństwo było co prawda powierzchowne, ale w ślubnej sukni i welonie. ..

- No, jak ci się podoba? - spytał, stając w drzwiach.

Romana zamknęła drzwi do sypialni.

- Nie zechcesz wiedzieć, co myślę - powiedziała, drżąc z zimna.

- Daj spokój. Nie kryguj się. To do ciebie absolutnie nie pasuje.

- Masz ochotę na godzinę prawdy? Mam powiedzieć to, co zapewne myślą twoi przyjaciele, ale ci tego nie mówią, ponieważ są uprzejmi? Otóż, uważam, że powinieneś się stąd wyprowadzić!

- Co takiego?!

Nareszcie autentycznie go poruszyła.

- To miejsce niewątpliwie jest fascynujące ze względów historycznych. Kupiec, który, jak mówisz, w 1783 roku dekorował ten dom, chciał się pokazać przed światem. Udowodnić, że jest nie tylko bogaty, ale i ambitny. Że ma dobry smak. Jednakże tylko historyk były szczęśliwy w autentycznych dekoracjach.

- Ale Louise była.-.

- Wiem, była historykiem architektury. Ale ty nim nie

jesteś. Należysz do swoich czasów. Nie można żyć w muzeum.

- A zatem twoim zdaniem powinienem to wszystko przemałować na nowo, czy tak?

- Nie. - Och, to był dom dla dużej rodziny, który powinien tętnić życiem od strychu po piwnicę. Cudowny dom. Ale nawet gdyby go odnowiono i wysprzątno, nie nadawał się dla zbolełego wdowca, który z roku na rok pogrążał się w coraz głębszej depresji. - Według mnie powinieneś kupić sobie jasne, przestronne mieszkanie z widokiem na rzekę i wyprowadzić się stąd. - Popatrzył na nią tak, jakby postradała zmysły. - Kupiłeś ten dom dla Louise - ciągnęła - ponieważ ją kochałeś. Chciałeś urzeczywistnić jej marzenia. Ale mylisz się, twierdząc, że Louise byłaby zawiedziona, gdybyś nie skończył tego, co zaczęła.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Zaciśnął zęby, pohamowując się przed wybuchem. - Skończyłaś?

- Nie, nie skończyłam. Jesteś biznesmenem, Niall, a nie historykiem sztuki. Louise byłaby zła, że zostałeś tutaj, zaprzeczając swojej naturze. Powinieneś raczej zarobić na tym domu. Ta okolica jest modna, grunt i nieruchomości drożeją.

- Dzięki za przypomnienie, że jestem bankierem i tam, gdzie powinno być serce, mam bilans zysków!

Romany nic już jednak nie mogło powstrzymać.

- Sam to powiedziałeś - ciągnęła nieubłaganie. - Co gorsza, Niall, Louise byłaby naprawdę nieszczęśliwa, gdyby widziała, że nie robisz nic. Nie żyjesz w tym domu, nie odnawiasz go. Pozwalasz jedynie, by otaczał cię swoim chłodem i rozpaczasz. - Zaczepnęła tchu. - Teraz już skończyłam. Chciałeś wiedzieć, co myślę, to usłyszałeś.

- To prawda.
- A więc?
- Myślę, że teraz wypada się napić.

Poszła za nim do kuchni. Na stole leżały rozrzucone papiery i koperty. Niall szybko zgarnął je do pudełka, które zestawił na podłogę. Romana pohamowała ciekawość i podeszła do zlewu, by napełnić czajnik.

- Co robisz?
- Nastawiam wodę. Chciałeś przecież pić. Wolisz kawę czy herbatę? Nic innego ci nie pozostało, skoro ofiarowałeś się odwiedzić mnie do domu.

- To jeszcze nie oznacza, że muszę prowadzić. - Wyjął z kredensu butelkę brandy i dwa kieliszki. - A teraz, gdy już poddałaś moją sytuację wnikliwej analizie i nareszcie wiem, co mam zrobić ze swoim życiem, dlaczego nie zdejmiesz żakietu, nie usiądziesz i nie opowiesz mi czegoś o sobie? Na przykład, dlaczego robisz rzeczy, które śmiertelnie cię przerażają, zamiast leżeć w łóżku z jakimś wielbicielem?

- Zjadłbyś coś?- spytała, ignorując pytanie.
- Zapraszać powinien chyba gospodarz?
- Niekoniecznie. A co do trunków, jeśli wolno mi wybrać, wolałabym kieliszek wina. - Wyjęła z lodówki kanton z jajami, kawałek sera i sałatę. - Dobrze, że przynajmniej kupujesz jedzenie.

- Złożyłem stałe zamówienie w C&F na dostawę co tydzień.

Romana zdjęła żakiet i powiesiła go na krześle.

- Dostarczają ci jedzenie?
- Pracuję do późna - powiedział, chowając brandy do kredensu i otwierając drzwiczki, za którymi znajdował się stojak z winami. - Zwłaszcza teraz, gdy zarządzam

bankiem, a jednocześnie chodzę za tobą. Białe czy czerwone?

- Poproszę białe. - Rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu miski. - Masz tarkę? - spytała.

- Chyba tak.

- A mógłbyś mi łaskawie wskazać, gdzie może być? Przydałaby się też trzepaczka.

- Nie mam pojęcia, gdzie podziała się tarka. Natomiast trzepaczka jest w szufladzie z narzędziami. Rozrabiałem nią farbę.

- Farbę? - Uniosła brwi. - Kiedy?

- Jakiś czas temu. - Odkorkował butelkę. - Ale omlet da się zrobić i bez trzepaczki. Weź widelec. Są w tamtej szufladzie.

Już chciała mu powiedzieć, co może zrobić ze swoim widelcem i omletem, ale na szczęście w samą porę zauważyła błysk wyzwania w jego szarych oczach. Chciał sprowokować ją do wybuchu. Jej siostry często to robiły...

- Dziękuję - powiedziała, zapanowując z wysiłkiem nad emocjami.

- Powiedz mi - zagaił, nalewając wino, podczas gdy Romana rozbijała jajka z większą werwą, niż to było konieczne. - Jak to jest być najmłodszą z siostr, i to w sytuacji, gdy każda z was ma inną matkę? Zgadzałyście się w dzieciństwie?

- Szukasz jakichś brudów? - spytała, znajdując w końcu tarkę w szufladzie. - Masz nadzieję, że uda ci się nas skłócić? Nie licz na to, Niall.

- Nie. Widzę, że stanowicie zgrany zespół.

- Czyżby Jordan też doszedł już do tego wniosku? Zignorował zaczepkę.

- Małżeństwa Petera Claibourne'a nie są żadną tajemnicą - powiedział. - W swoim czasie były tematem gazetowych plotek. Mnie tylko interesuje prawda. Nie byłoby dziwne, gdyby matka opuściła jedną z was, ale przydarzyło się to wam wszystkim...

Zorientowała się, że Niall usiłuje oderwać jej myśli od swojej własnej tragedii. Ale to, o czym mówił, należało naprawdę do zamierzchłej przeszłości.

- Ojciec nie potrafił utrzymać przy sobie żon, ale z zatrzymania dzieci uczynił sobie punkt honoru. Miał pieniądze i prawników na rozkaz. Na szczęście żadna z naszych matek nie była panią Claibourne wystarczająco długo, żebyśmy na dobre ją zauważyły. Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze mieszkaliśmy razem pod opieką kolejno zmieniających się niań.

Wzruszyła ramionami. Robiła to przez całe życie, udając, że nie boli ją, iż matka nie okazała się dość silna i odchodząc, nie zabrała jej ze sobą. Starła się również nie pamiętać, że matka dostała ogromne odszkodowanie w ramach rekompensaty za utratę dziecka. Nie okazywała też bólu, widząc ją w prasie na zdjęciach w otoczeniu następnych pięknych i szczęśliwych dzieci.

- Twój ojciec nie miał szczęścia do żon.

- Cóż, za każdym razem przedkładał formę nad treść. Nad udanym związkiem trzeba pracować, a to nie była mocna strona mojego ojca. Nie potrafił również utrzymać więzi z dziećmi. Flora, mając szesnaście lat, wyprowadziła się do swojej matki - dodała, tak jakby to wiele wyjaśniało. - A matka Indii to niezwykle uduchowiona, tajemnicza kobieta. Wróciła do aśramy, w której poznała kiedyś ojca na hippisowskim szlaku. Była prawdziwym dzieckiem- -kwiatem, podczas gdy ojciec tylko czekał, aż

zrzuci koraliki i będzie mógł wrócić do trzyczęściowego garnituru. - Nie umiała powstrzymać się przed tą lekką, złośliwą aluzją do ulubionego stroju Nialla.

- Być może miał potrzebę elegancji w genach. Twoja babka była bardzo konserwatywną kobietą... Starczy już tego sera, Romano. Chyba że zamierzasz podnieść mi poziom cholesterolu. ...

Spojrzała na górę sera pod tarką.

- O, Boże, stałam cały! Trudno, zużyjesz go do kanapek... albo do czegoś innego.

- Proszę. - Podał jej kieliszek wina. - Usiądź i wypij spokojnie, a ja zajmę się kuchnią. - Wyjął z szafki butelkę z oliwą, nalał trochę na patelnię i włączył kuchenkę. Potem zaczął ubijać jajka ze zreżnością zdradzającą wielką wprawę.

Romana swobodnie oparta o stół obserwowała, jak Niall z podwinętymi rękawami, które odsłaniały potężne ramiona, ochotczo zabiera się do pracy. W górnym świetle dostrzegła nitki pajęczyny wczepionej w jego potargane włosy.

- Co robiłeś, gdy przyjechałam? - spytała, popijając wino.

- Co robiłem? - Zerknął na nią.

- Wyglądało, jakbyś...

- Pił? Już to mówiłaś.

- Nie, to ty powiedziałaś. - Pokręciła głową. - Wyglądałeś. .. nadal wyglądasz, jakbyś szukał czegoś w schowku pod schodami. Jesteś zakurzony, potargany... - Wyciągnęła rękę i zdjęła mu z włosów pajęczynę. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo zbliżyli się do siebie. Byli tak blisko, że zobaczyła to, co tak rozpaczliwie starała się ignorować.

Nie widziała w nim wroga, który chciał zburzyć jej świat, lecz mężczyznę, którego świat się zawalił.

- Znalazłeś to, czego szukałeś? - spytała, pragnąc przerwać napięcie, przykuwające ich do miejsca i nie pozwalające ani się cofnąć, ani postąpić do przodu.

- Skąd wiesz, że czegoś szukałem? - Cofnął się, wylał jajka na patelnię, a potem, gdy zaskwierzały, posypał serem. Całkowicie zaabsorbowany tym zajęciem, nie odrywał wzroku od kuchni.

Romana zerknęła na stojące obok kredensu pudło. Wystawały z niego papiery i koperty. Na jednej dużej kopercie dostrzegła logo znanego fotografa.

W końcu Niall odwrócił się i podążając za jej spojrzeniem, wyjaśnił:

- Chciałem przejrzeć zdjęcia... Na pokazie ta dziewczyna w ślubnej sukni była tak do niej podobna...

Nie musiał więcej wyjaśniać. Romana wiedziała, co to były za fotografie.

- Tak myślisz? W twojej sypialni widziałam fotografię Louise. Prócz ogólnego kolorytu nie zauważyłam dużego podobieństwa między nią a tamtą modelką. - Postawiła pudełko na stole, a potem sięgnęła po kopertę. - Ale spójrzmy - dodała rzeczowo.

- Nie! - Chwycił ją za nadgarstek. - To nie jest odpowiedni moment.

- Czy coś się nie pali?

Szybko odstawił patelnię, ocalając tak starannie przygotowywany omlet. Przewrócił go na drugą stronę, przekroił na pół i podzielił na dwie porcje.

- Trochę się przypiekł. - Gdy się odwrócił, zobaczył rozsypane na stole kolorowe zdjęcia z pudełka. Wzdrygnął się, jakby go ktoś uszczypnął.

Romana uwolniła go od talerzy.

- Widelce! - ponagliła.

Przez chwilę miała wrażenie, że wyrwie jej z rąk talerze, a ją wyrzuci za drzwi. Opanował się jednak. Nadal zachowywał zimną krew. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Omijając wzrokiem fotografie, wyjął z szuflady dwa widelce i położył na stole. Potem oparł się o szafkę i, jak gdyby nigdy nic, wziął do ust spory kawałek omletu z roztopionym serem. Ale Romana wiedziała już, że to były pozory. Dostrzegła w jego oczach przebłysk czegoś ciepłego, żywego, usłyszała słaby, ale prawdziwy głos serca, uderzającego za wysokim murem obojętności. A gdyby tak jeszcze bardziej się postarała? Czy udałoby się rozbić ten mur na drobne kawałki?

Odległość dodawała jej odwagi. Dała spokój fotografom i zaczęła przeglądać zawartość pudła. Czuła się jak wścibska baba, podglądająca kogoś przez dziurkę od klucza. Była jednak zdecydowana sprowokować Nialla do jakiejś reakcji.

- Moja rodzina przyszła tu zaraz po pogrzebie - odezwał się nieoczekiwanie łamiącym się głosem. - Zabrali jej ubrania, prezenty ślubne. A to wszystko spakowali do pudełka i zostawili mi na później... Żebym przejrzał, gdy będę już w stanie to zrobić.

- Nie powinieneś nosić się z tym tak długo.

- Czyżby istniało jakieś ustalenie, ile czasu człowiek powinien cierpieć? Nie wiedziałem.

- Bólu nie da się pogrzebać - odpowiedziała. - Mówienie o ludziach, których kochaliśmy, a których straciliśmy, sprawia, że nadal żyją. Trzeba oglądać ich na zdjęciach, wspominać ich słowa...

- Przestań! - Zabłysły mu oczy. - Nie wiesz, o czym

mówisz! - Bezradnie machnął ręką. - Mam nadzieję, że Bóg ci oszczędzi...

Trzymał w dłoniach talerz mocno jak tarczę. Ale nie tknął już omletu.

Wolno wyjęła mu talerz i ujęła jego dłoń.

- Przynajmniej miałeś kogoś, kto cię kochał ponad wszystko. Znasz to uczucie. Nikt ci go nie odbierze...

Ona sama nigdy nikogo naprawdę nie obchodziła... Miał rację. Nie była w stanie odczuwać jego bólu. Ale odczuwała inny, własny... Widok Nialla pogrążonego w cierpieniu sprawiał, że czuła, jakby ostry nóż wwiercał się w jej serce.

Niall musiał zmierzyć się ze swoimi demonami. Zamierzała mu w tym pomóc.

Z pozorną niedbałością wzięła do ręki duże zdjęcie Louise w ślubnej sukni, zrobione przed kościołem.

- Modelka przypomniła ci twój ślub? - spytała.

- Po co pytasz? Sama kazałaś mi wyjść.

- Tak... - Próbowała go chronić. Dlatego wypchnęła go zza kulis. - A jednak pomyliłam się. I ty się myliłeś. Pokaz mody nie ma z tym nic wspólnego. Louise była prawdziwą kobietą, a nie jakąś fantazją, ideałem doskonałości wymyślonym na potrzeby marketingu. Spójrz tylko, Niall. - Uniosła fotografię do góry. - Kochałeś żonę całym sercem. Z wzajemnością. To uczucie pozostanie w tobie na zawsze. A to są tylko papierowe wspomnienia. - Wcisnęła mu w dłoń fotografię. - Gdy patrzysz na Louise, pamiętaj o tym, co was łączyło, a nie to, co straciłeś.

- Nie mogę...

- Popatrz na nią! Kochałeś ją. Nie możesz zamknąć jej w szufladzie gdzieś w głębi serca.

- Szuflada w głębi serca?

Och, nie! Nie pozwoli, by wyśmiał jej niezręczne porównanie.

- Chyba masz serce, prawda?

Nieskończenie długą chwilę słychać było jedynie tykanie starego zegara. Wreszcie Niall spojrział na fotografię ukochanej żony. Dłuższy czas jego twarz była nieruchomą. Nic nie wyrażała. Potem zebrał rozrzucone na stole zdjęcia. Mocno ścisnął je w garści, podszedł do sofy i ciężko na nią opadł. Romana usiadła obok niego. W posepnym milczeniu, wolno, jedna po drugiej, zaczął oglądać fotografie.

Były tu zdjęcia jego najbliższej rodziny. Zdjęcie jego i Jordana w szarych marynarkach. Wyglądał na nim bardzo młodzieńczo. Wprost nie do poznania. Beztronski, niezwykle szczęśliwy młody mężczyzna.

- Jordan był twoim przyjacielem? - Skinął głową. - A to są twoje kuzynki?

- Cara i Josie - potwierdził. - To dla syna Josie kupiłem wczoraj podkoszulek. W przyszłym miesiącu kończy osiem lat.

Nagle tama puściła; sam z siebie zaczął opowiadać o gościach weselnych, o rodzinie, o przyjaciółach, z którymi świętował ten najszczęśliwszy w życiu dzień. Na jednej fotografii widać było Brama w otoczeniu licznych kuzynek i kuzynów.

- A to ich dzieło — ożywił się, pokazując zdjęcie za-
bytkowego rollsa udekorowanego balonikami i starymi butami oraz tablicą z napisem „nowożeńcy”, przyczepioną do tylnego zderzaka. Louise i Niall, odjeżdżając tym samochodem, patrzyli prosto w obiektyw i śmiali się radośnie.

Łza kapnęła na fotografię. Przez chwilę Romana my-

słała, że to jej łza. Ale gdy Niall odwrócił do niej twarz, zobaczyła, że łzy strumieniem płyną mu po policzkach. Nie była w stanie nic powiedzieć. Jedyne, co mogła zrobić, gdy fotografie zsunęły się na podłogę, to otworzyć ramiona i przytulić go mocno do siebie, by mógł dać upust bólowi nagromadzonemu przez cztery lata.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- W porządku, Niall. Wyrzuć to z siebie... - Słowa, które szeptała, nie miały znaczenia. Chciała tylko, by wiedział, że rozumie jego tłumiony żal - to rozpaczliwe uczucie, że został sam, że go porzucono.

Pocałowała go w czoło, potem w skroń i pocieszając, szeptała jednocześnie własne żale, opowiadała mu o sprawach, które dusiła w sobie od tak dawna, jak tylko sięgała pamięcią. Przez cały czas tuliła go do siebie, przyciskała jego głowę do piersi, gładziła go po włosach, po policzku.

- Nie jesteś sam - szepnęła, scałowując łyzy z jego oczu, z twarzy, gładząc dłonią i przytulając usta do jego szyi. - Jestem z tobą.

- Romano... - wykrztusił jej imię, a jednocześnie objął ją kurczowo, nie zamierzając jej puścić. - Romano - powiedział, jakby tylko ona chroniła go przed piekłem.

Powtórzyła jego imię jak echo, przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, całkowicie mu się poddając. Dawała mu najgłębsze pocieszenie i zapomnienie, jakie kobieta może ofiarować kochanemu mężczyźnie. Ofiarowywała mu kołyskę ze swoich ramion i swego ciała, nie domagając się niczego w zamian.

Uniół głowę, spojrział na nią, a gdy powtórzył jej imię, jego głos miał już inną, intensywną barwę.

Nastrój gwałtownie się zmienił. Romana wiedziała, że Niall jest teraz z nią, że ją zauważa.

- Romano - powtarzał w kółko, jakby to było nowe słowo, jakby nigdy przedtem jej nie widział, jakby nagle otworzył oczy i zobaczył całkiem odmieniony świat. - Romano...

- Jestem - powiedziała. Rozpięła guzik jego koszuli. Potem drugi.

Wyciągnął rękę i przez moment myślała, że chce ją powstrzymać, ale on tylko dotknął przelotnie jej dłoni, a potem musnął policzek. Patrzył na nią, wydawało się bez końca-jakby chciał odczytać jej najskrytsze myśli.

Cokolwiek zobaczył w jej oczach, musiało to być to, co miał nadzieję zobaczyć, ponieważ ujął jej twarz i pocałował ją w usta. W pocałunku tym wyczuła jednak wahanie, jakby Niall czekał na przyzwolenie.

Odpowiedziała mu gorąco - ustami, językiem, dłońmi. Jej pieśczoły stawały się coraz bardziej namiętne.

- Chcę cię dotykać - powiedział, gdy osłabiona, drżąc z pożądania, oparła się o poduszki. - Chcę cię rozebrać...

Zaczęła rozpinąć mankiety jego koszuli. Po długiej przerwie, która zdawała się trwać wieki, wyciągnął rękę i opuszkami palców dotknął jej szyi, przesunął w dół, aż do piersi. I znów czekał w milczeniu, jakby pytał: „Czy naprawdę tego chcesz?”

W ciszy zdjęła zapinany z przodu koronkowy stanik.

- Jedwab, czysty jedwab - szepnął, otwierając dłoń, by objąć jej pierś, po czym rozpoczął ustami tę samą badawczą podróż, którą przed chwilą odbyła jego ręka.

Każdy dotyk, każdy pocałunek, każdy szept był spokojny i pewny. Muśnięcia jego warg, zniewalający żar oczu, nacisk ciała uświadamiały jej, jak bardzo go pragnie.

Wstrzymała oddech w obawie, by nieopatrzenie wypowiedziane słowo nie zniszczyło czaru tej chwili. Jęknęła słabo, gdy osunął się na nią, szepcząc jej imię.

- Romano...

W odpowiedzi objęła go za szyję i mocno przyciągnęła do siebie.

- Chcę cię dotykać - powtórzyła jego słowa. - Chcę cię rozebrać.

Wolno i czule spełniali swoje życzenia, dawali odpowiedź na wzajemne pragnienia i oczekiwania, aż połączył ich taki żar podniecenia, że stracili poczucie czasu i miejsca. I byłoby cudownie, gdyby w ekstazie Niall nie wypowiedział imienia Louise.

To imię wymówione jako słodkie spełnienie miłości zaszokowało ich oboje. Wstrzymali oddech. Cisza była przejmująca, wibrowała w uszach.

- Romano - odezwał się wreszcie. Za późno. - Wiesz, że... Ja nie myślałem...

Niall właściwie nie wiedział, co naprawdę myślał. Trzymał Romanę w ramionach, kochał się z nią z namiętnością, której już dawno nie zaznał. To jej pragnał. Nadal jej pragnał. Nikogo innego. A jednak Louise była razem z nimi. Rozmawiali o niej. Wspominali ją. Oglądali jej fotografie rozrzucone teraz po podłodze. Była tu z nimi, czekała na pożegnanie.

- Wszystko w porządku, Niall. Rozumiem.

- Naprawdę? Bo ja nie. - Rozumiał tylko, że ją zranił i nie wiedział, jak to naprawić. To nie było w porządku. Było gorzej niż źle. Wyciągnął ręce, by ją przytulić, ale odwróciła się, a potem usiadła i zebrała swoje rzeczy, które spadły na ślubne fotografie. Odsunęła się od niego.

- Potrzebowałeś kogoś, Niall — powiedziała obojęt-

nym głosem. - Nawinęłam ci się akurat ja. Nie rób z tego dramatu. Wezwij taksówkę, a ja tymczasem skorzystam z łazienki.

- Odwiozę cię.

Nie mógł pozwolić, żeby tak po prostu wyszła. Przez chwilę miał wrażenie, że będzie się z nim spierać, nalegać, by wezwał taksówkę. Ale skinęła głową. Gdy pochylił się, by podnieść leżącą wśród fotografii koszulę, pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak znękanego. Mało jej serce nie pękło, że wywołała w nim takie poczucie winy... Poczucie winy z powodu zdrady pamięci o żonie. I z powodu tego, co wyrządził jej samej... Uważała, że rozumie jego problemy, chciała pomóc, a okazało się, że tylko pogorszyła sprawę. Przyciskając do piersi ubranie, zatrzymała się jeszcze, by pozbiierać fotografie.

- Zostaw - powiedział, chwytając ją za rękę. Wpatrywali się w siebie. Przez chwilę myślała, że obejmie ją ramionami i przytuli. - Pozbieram je później.

Pobiegła na górę do jedynej łazienki, jaką zauważyła w tym domu. Gdy ją opuściła, Niall stał w sypialni, ubrany w dżinsy i miękki sweter. W rękę trzymał kluczyki do samochodu.

- Nie musisz mnie odwozić - powiedziała. - Przecież piłeś...

- Wypiłem tylko łyk wina. - Urwał. - Zapraszając cię, miałem dobre intencje, ale czasami obietnice się nie sprawdzają.

Zrozumiała, że miał na myśli nie tylko jedzenie i wino.

- Nie bądź taki skromny. - W miękkim świetle nocnej lampki wyglądał tak mizernie. - Robisz świetny omlet. - Zdobyła się na uśmiech. Sprawy wyglądały źle. Nie mogła jednak wpadać w histerię z tego powodu, że Niall

nadal był zakochany w swojej żonie. Cóż, sama tu przyjechała. Sama tego chciała... A w dodatku mieli jeszcze przed sobą miesiąc wspólnej pracy.

- Zobaczmy się jutro w firmie? - spytała chłodnym, uprzejmym tonem.

Spodziewała się, że znajdzie jakąś wymówkę, by się nie pojawić. Ale tego nie zrobił.

- Oczywiście. C&F to dla mnie najważniejsza sprawa. Chyba że India postanowiła ustąpić...

- Nie ma na to szans - odpowiedziała. A zatem ich stosunki wracały na płaszczyznę zawodową. I tak powinno zostać. - Nie chcecie pozostawić nam zarządzania firmą - podjęła z ożywieniem - wyłącznie z powodu dumy i uporu.

- Czy po to tu dzisiaj przyjechałaś? Żeby mi o tym przypomnieć?

- Nie. Przecież już zgadłeś. Spodziewałam się, że zastanę cię nad butelką.

- Pędziłaś na ratunek czy planowałaś popchnąć mnie w przepaść?

- Można by się nad tym zastanawiać.

Przekomarzali się tak, jakby nic się nie zmieniło. Jakby świat nie przewrócił się do góry nogami.

- Jeśli chcesz wiedzieć, Romano, muszę ci wyznać, że próbowałem już tak się uleczyć. I odkryłem dwie sprawy. Po pierwsze, że mimo wszystko smutek jest silniejszy.

- A po drugie?

- Ze przez następne kilka dni człowiek czuje się fatalnie.

- Jeden raz ci nie wystarczy?

Obdarzył ją jednym z tych ironicznych uśmiechów, które opanował do perfekcji.

- Chciałem mieć pewność - powiedział.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka, z którego przed chwilą scałowywała łązy. Po raz pierwszy w życiu widziała płaczącego mężczyznę. Nie wiedziała, że mężczyźni w ogóle potrafią ujawniać w ten sposób emocje. - Dasz sobie radę sam? - spytała.

- A jeśli powiem, że nie? Zostaniesz?

Wahała się trochę za długo, zanim odpowiedziała.

- To się już nie powtórzy, Niall. To była nieuchronna reakcja na nadmiar emocji. Powtórka byłaby brakiem umiaru. A może cynicznym podstępem, który miałyby na celu podważenie twojej pozycji? - Dała mu szansę, by obciążył ją za wszystko. Chciała złagodzić jego poczucie winy. - Nigdy nie wiadomo.

- Ty i cynizm? Nigdy w to nie uwierzę - powiedział, odrzucając jej poświęcenie.

Gdyby już nie popełniła tego błędu i nie zakochała się w nim, zrobiłaby to teraz. A zakochując się we wrogu, tylko wystawiała się na ciosy. W dodatku nie miała nikogo, kto mógłby ją pocieszyć, gdy wszystko skończy się łzami. Jej łzami.

- A ty? - spytała. - Jesteś cyniczny?

Z góry znała odpowiedź. Cyniczny mężczyzna nie pomyliłby imienia kochanki. Nie byłby w stanie tak się zatracić w pożądaniu.

Pominał jej pytanie milczeniem. Gdy wsiedli do samochodu, od razu wsunął płytę do odtwarzacza. Wolał muzykę od rozmowy. Romana nie mogła się doczekać, kiedy dojadą do celu. Wskoczyła z samochodu, nim Niall zdążył jej pomóc. Uparł się, by ją odprowadzić do drzwi. Gdy je otworzyła, położył jej dłoń na ramieniu.

- Romano... - zaczął. Ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Przestań. Proszę cię, nie przepraszaj. Nie ma potrzeby. Kochasz Louise. Nie pogodziłeś się z jej śmiercią.
- Gdy odwrócił się, by odejść, chwyciła go za ramię.
- Niall... Być może nie zechcesz tego słuchać, ale... Najlepiej wypełniłbyś wolę Louise, gdybyś dobrze przeżył własne życie. Na pewno nie chciałyby, żebyś tracił je na uzalanie się nad samym sobą i na żałobę. Na jej miejscu...
- Przerwała. Nigdy nie będzie na miejscu Louise... - Jeśli cię kochała...

- Jeśli? - powtórzył głucho.

- Jeśli cię kochała tak samo, jak ty ją...

- Jak na dziewczynę, którą matka porzuciła w zamian za sowitą odprawę - przerwał - i której ojciec uważa, że książeczka czekowa załatwia wszystkie problemy, wiesz mnóstwo o miłości.

- Dawne dzieje... - zbagatelizowała jego słowa, ale poczuła drzenie.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś się z matką?

Zdumiona uniosła brwi. Milczała.

- Och, rozumiem. Ja powinienem żyć rozsądnie, a tobie wolno hodować stare kompleksy. Jeśli chcesz poznać moją opinię...

- Nie chcę.

- Uważam, że twoja matka była ofiarą losu - dokończył nieubłaganie.

- Nie wiesz, o czym mówisz. — Była bliska łez. Jej matka bardzo szybko powetowała sobie stratę córki, rodząc kolejne dzieci.

- Twojego ojca natomiast zaślepiła pycha. Zna cenę wszystkiego, ale nie wartość. Posiadanie jest dla niego wszystkim. Nigdy jednak nie nauczył się doceniać tego, co ma.

- Ojciec kocha Indię. - Te słowa wymknęły jej się, zanim zdołała pomyśleć. Ale przecież podświadomość zawsze jej tę prawdę podpowiadała. Och, wyciąganie czyichś ciemnych sekretów mogło odbić się rykoszetem. - Zapomnij o tym. On kocha nas wszystkie.

- Miłość to mocno nadużywane słowo, tak wieloznaczne. Prawdziwa miłość to coś więcej niż lekki sentyment. Jeśli twój ojciec zadałby sobie trud poznania cię, nigdy nie kupiłby ci samochodu na siedemnaste urodziny.

- Nie rozumiem...

- Doprawdy? Czy nie dlatego go oddałaś? To nie był altruistyczny gest z twojej strony, lecz wyraz złości.

- Ty...

Szybkim ruchem przykrył jej usta, blokując przekleństwo.

- Wiesz, że mam rację. A gdyby kochał Indię, naprawdę kochał, nie wpakowałby jej w tarapaty, w których się teraz znajduje. Zastanów się nad tym. - Po krótkiej chwili wahania pochylił się i pocałował ją w policzek. - Do jutra, Romano.

Zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. Zamknęła podwójny zamek i zasuwę, a potem przyłożyła rękę do ust, nadal ciepłych od jego dotyku. Oparła się o framugę.

Dopiero po chwili zdjęła ubranie i rzuciła się na łóżko, powtarzając słowa, które udało mu się zablokować dłońią.

Ale nic nie pomagało. Nic nie zmazywało żaru tego dotyku ani bolesnej za nim tęsknoty. Chociaż przez chwilę chciała znów wierzyć, że jest kochana, że kogoś obchodzi. Choć przez minutę. Tylko po to, żeby wiedzieć, jak to jest...

Potem wstała i spryskała twarz zimną wodą.

Nie zakocham się w nim, powtarzała w kółko. Nie wolno mi, nie wolno mi go pokochać.

Niall, patrząc na pamiątki rozrzucone na podłodze, siedział w półmroku i rozmyślał o Romanie. O tym, jak udało jej się przełamać bariery, którymi otoczył się przed światem. O tym, jak ją przytulał, całował, jak kochał się z nią na sofie Louise...

To nie była sofa Louise. Louise nie żyła od czterech lat. On też był martwy pod każdym względem aż do chwili, gdy Romana Claibourne - seksowna, elegancka, uśmiechnięta - upuściła papierowy kubek z kawą u jego stóp.

Od samego początku wiedział, że trudno ją będzie zignorować. Mógł się przecież wycofać. A już na pewno nie musiał spędzać z nią całych dni. Bóg jeden wie, ile razy powtarzała mu, że może odejść. A jednak został. Odłożył na bok własne pilne sprawy i został!

Zaczął podnosić fotografie z podłogi. Oglądał je po kolei i odkładał do pudełka. W końcu zamknął pudełko przykrywką. Nigdy nie zapomni Louise. Wiedział o tym. Na zawsze pozostanie w jego sercu. Ale Romana miała rację. Louise kochała go tak samo, jak on kochał ją. Gdyby to on umarł, czułaby to samo. Na tym polegała miłość. Nic jednak nie mogło zmienić tego, co się stało. Najgłębsze poczucie winy, największe cierpienie nie przywróciłyby jej życia. I oto dziś wieczorem, gdy patrzył na ślubne fotografie, wreszcie zaakceptował tę prawdę. Romana znów miała rację. Louise na pewno chciałaby, żeby żył normalnie. I szczęśliwie.

Gdy w ekstazie wykrzyknął jej imię, wcale nie chciał się oszukiwać, że to ją trzyma w ramionach. To było pożegnanie. Wtedy tego nie zrozumiał...

Romana wyzwoliła go z więzienia, w którym sam się zamknął. A on, cóż on najlepszego zrobił? Nieświadomie ją zranił! Na nic nie zdałyby się przeprosiny. Musiał teraz

udowodnić, że bardzo mu na niej zależy. Tylko jak to zrobić?

Otworzył teczkę z dossier Romany, które dostarczył mu Jordan, i zaczął szukać jakiejś wskazówki.

- Jesteś sama? Bez nieodłącznego cienia? - India, stojąc w drzwiach, przyglądała się siostrze. - Wyglądasz okropnie, Ro. Czy po wczorajszym pokazie było jeszcze przyjęcie?

- Nie wiem. Wysłałam od razu, gdy pokaz się skończył.

- Słyszałam, że Niall Macaulay również nie zabawił tam długo. - India lekko podniosła głos.

- Doprawdy? Dotarło to już do ciebie? Nie wiedziałam, że Molly zajmuje się plotkowaniem.

- Niechętnie podzieliła się tą informacją, uwierz mi. Niemal musiałam zastosować tortury. Ale skoro uważasz, że nie masz potrzeby dzielenia się ze mną...

- Nie ma tu nic do opowiadania. Byłam bardzo zmęczona, a Niall musiał być gdzie indziej. Tak jak ty teraz. Przekazujesz dzisiaj sprzęt dla noworodków w szpitalu. Czyżbyś zapomniała?

- Właśnie jestem w drodze. Może cię podwieźć?

- Nie. Wszystko już zorganizowałam. Molly poradzi tam sobie beze mnie. - Wzięła torebkę. - Wrócę na lunch.

- Romano... - India podeszła do biurka i podała jej leżący na nim telefon komórkowy.

- Nie zapomnij zabrać - powiedziała. - Muszę mieć z tobą kontakt. Przez cały czas.

Dopiero teraz Romana zauważyła, że jej siostra również nie wygląda dziś korzystnie.

- Rozmawiałaś z ojcem? - spytała.

- Nie odpowiada na moje telefony.

Nic dziwnego. Niall niestety miał rację. Ojciec wyjechał na długi wypoczynek, by w pełni wrócić do zdrowia. Popijał koktajle, flirtował z pięknymi kobietami, które widziały w nim dobrą partię. Borykanie się z Farradayami pozostawił córkom.

- A zatem jesteście zdane na siebie - skonstatowała.
- Jak zwykle.

- Mężczyźni! - prychnęła India. - Na co komu mężczyźni! - Raptem uśmiechnęła się. - Chociaż z tego, co mi powiedziała Mojly, wynika, że ty i Niall... Cóż, gdybyś go uwiodła - rozmarzyła się - mogłoby go to skompromitować...

Romana poczuła, jak zdradziecki rumieniec oblewa jej policzki.

- Molly nie wie, o czym mówi.

- Naprawdę? Zawsze tak dobrze się o niej wyrażasz, gdy głosujesz za podniesieniem jej pensji. Czy Niall nie zabrał cię wczoraj na lunch?

- Widzę, że sobie nieźle poplotkowałyście - skomentowała z przekąsem Romana. - Owszem, zjedliśmy lunch. W samochodzie, przy wjeździe na autostradę. Wzięliśmy cheeseburgery, frytki i dużą colę.

- No, cóż. Będę musiała pogadać z Florą. Ma jeszcze czas, by trochę schudnąć, i niech się zabiera do uwodzenia.

- Biedna Flora - powiedziała Romana posępnie. - A ty osobiście jaki chcesz znaleźć sposób na rzucenie Jordana Farradaya na kolana?

- Moje psy węszą. Szukają na niego haka. Coś musi się znaleźć.

- Uważaj, oni też mają nasze dossier, włącznie z wyinkami prasowymi od czasu naszych narodzin.

Nie mogła powiedzieć Indii, że dziś rano znalazła na

wycieracze kopertę, a w niej wycięty z gazety artykuł o matce. Na karteczce dołączonej do wycinka widniało kilka słów: „Nic nie jest w życiu takie proste, jak nam się wydaje. Poproś, by opowiedziała ci swoją historię. Niall”.

Romana nie zadzwoniła. Robiła to, gdy była nastolatką. Wykręcała numer matki w nadziei, że usłyszy jej głos. Ale telefon zazwyczaj odbierał ktoś inny. Opiekunka do dzieci albo gosposia. Ale nawet, gdy odbierała matka, Romana odkładała słuchawkę. Zresztą, co miałyby jej powiedzieć?

Wysiadła z taksówki, odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i chwilę stała na chodniku, przyglądając się fasadzie eleganckiego domu. Po chwili wahania podeszła do frontowych drzwi.

Otworzyła jej młoda, opalona kobieta, do której nóg czepiała się nieduża dziewczynka. Dziecko uśmiechnęło się nieśmiało do Romany i zakaszło.

- Jest przeziębiona - powiedziała opiekunka, po czym wzięła dziewczynkę na rękę.

- Kto przyszedł, Charlie? - dobiegł głos z głębi domu.

- Nazywam się Romana Claibourne - powiedziała dziewczynie, podając jej wycinek z gazety. - Proszę pokazać to pani Mackie i spytać, czy zechce się ze mną zobaczyć.

- Charlie? - Matka Romany wyłoniła się z holu. Zachowała wspaniałą figurę, choć wiek i macierzyństwo nieco ją zaokrągliły. W kącikach jej ust pojawiły się już zmarszczki, ale wciąż uchodziła za piękność. Miała w sobie ciepło, niewidoczne na fotografiach, jakie Romana wycinała z kolorowych magazynów i chowała do pudełka po butach.

Gdy dorosła i zdała sobie sprawę, że jej romantyczne

fantazje na temat odejścia matki były dziecinny nonsensem, porzuciła nadzieje, że matka pewnego dnia wróci. Przestała również czytać o niej artykuły w prasie i oglądać jej zdjęcia. Zrobiła stos pogrzebowy ze swoich dziecinnych iluzji znajdujących się w pudełku w głębi szafy i podpaliła go.

Ale Niall sugerował, że istnieje druga strona tej historii. Nalegał, by ją odkryła.

Lady Mackie patrzyła pod światło, mrużąc oczy i starając się rozpoznać gościa.

- To Romana Claibourne - powiedziała opiekunka, podając jej wycinek prasowy, sama zaś zabrała dziecko na górę.

- Romana? - Głos matki był miękki, stłumiony. Znajomy, a jednocześnie obcy. - Romana... czy to naprawdę ty?

- Pewien człowiek... przyjaciel dał mi ten wycinek. Muszę wiedzieć, że to prawda. To, co powiedziałaś o popełnianiu błędów. Czy naprawdę żałujesz...

Ale jej matka nie czekała, aż skończy. Wyciągnęła do niej ramiona.

- Och, moje drogie, kochane dziecko. Już prawie straciłam nadzieję. Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Jak leci? - Romana rozglądała się wokół, usiłując znaleźć Nialla w tłumie ludzi słuchających krótkiego zagajenia Indii. - Gdzie jest Niall?

Molly uniosła brwi.

- Przypuszczałam, że jest z tobą.

Nie skomentowała. Spodziewając się, że pójdzie zobaczyć się z matką, Niall zapewne postanowił darować sobie szpital i zająć się trochę własnymi sprawami.

- Zobaczmy się później.

- Ale co z lunchem? Przy stole będzie puste miejsce...

- Jesteś moją sekretarką. Więc mnie zastąp!

Gdy tylko opuściła szpital, zadzwoniła do biura Nialla. Miała wrażenie, że jego sekretarka spodziewała się jej telefonu. Powiedziała, że Nialla nie będzie w banku przez kilka dni.

Zadzwoniła na komórkę. Usłyszała jednak tylko jego głos powtarzający, by zostawić wiadomość.

Wczoraj w nocy nie potrafiła sobie wyobrazić żadnych okoliczności, które mogłyby ją jeszcze kiedykolwiek sprowadzić do jego domu. Ale dziś rano... Dziś rano wszystko się zmieniło.

Zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres.

Taksówka wlokła się niemiłosiernie zatłoczonymi ulicami. Już szybciej Romana dojechałaby na rowerze. Ale dzięki temu pozostawał czas na zastanowienie.

Rozmyślała o Niallu. Wrócił wczoraj wieczorem do pustego domu, oglądał fotografie... Ale zamiast przeklinać ją za to, że naraziła go na cierpienie, ruszył do działania i odszukał pewien artykuł. Opisywano w nim pracę jej matki w organizacji charytatywnej zajmującej się pomocą dzieciom z rozbitych rodzin. Matka opowiadała dziennikarzowi ze smutkiem o błędach, które sama popełniła, wyrażała żal, że straciła rodzoną córkę... A potem Niall przyjechał pod jej dom w środku nocy, żeby zostawić ten artykuł pod drzwiami! Tylko dlatego, że chciał, aby poznała prawdę. Pragnął zwrócić jej coś, co wydawało się bezpowrotnie stracone. I udało mu się to zrobić. A ona sprawiła mu tylko ból...

Zapłacała taksówkarzowi i szybko podbiegła do drzwi. Dopiero gdy chwyciła za kołatkę, straciła pewność siebie.

Jak Niall się zachowa? Co powie? Może w ogóle jej nie wpuści? Ale przede wszystkim - co mu powiedzieć?

- Dziękuję. Po prostu mu podziękuję. On się domyśli. A potem...

- Romana? Dlaczego mówisz do siebie?

Odwróciła się zdumiona.

- Niall? Och, chciałam dobrze wypaść...

- Wyglądasz na zdziwioną moim widokiem, a zważywszy, że stoisz na moim progu...

- Och... - Bezradnie wskazała na drzwi, a potem na niego. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że robi z siebie idiotkę. - Właśnie miałam zapukać...

- Ale najpierw powtarzałaś sobie, co masz powiedzieć? - Uśmiechnął się wyrozumiale. - I jak wyszło?

Niezdarnie wruszyła ramionami.

- Myślałam, że zacznę od zwykłego „dziękuję”, a potem się zobaczy. - Niall ubrany był w dżinsy i podkoszu-

lek, a ramiona i włosy miał pobrudzone białą farbą. Wyglądał cudownie. - A więc dziękuję.

- To wszystko?

To nie było wszystko. Chciała zarzucić mu ręce na szyję i podziękować mu bardziej czule. Raptem przestraszyła się siebie.

- Muszę już wracać.

- Najpierw wejdz i zjedz ze mną lunch. - Postawił puszkę z farbą na progu i zaczął szukać w kieszeni klucza.

- Powinam być na lunchu w szpitalu. I ty również. Powinieneś mi się przyglądać, przekonywać się, jaka jestem olśniewająca, niepowtarzalna. Całkiem nie do zastąpienia.

- Już nieraz widziałem cię w akcji. Wystawiłem ci stopnie we wszystkich rubrykach. - Powinien się uśmiechnąć, ale tego nie zrobił. - Czyżbyś się za mną stęskniła?

- Oczywiście, że się nie stęskniłam! - wybuchnęła. - Zresztą nawet mnie tam nie było.

- Naprawdę? I świat się nie zawalił?

- Och, zleciłam Molly poprowadzenie imprezy. Miałam coś ważniejszego do zrobienia.

- Jestem pewien, że się dobrze spisała - powiedział, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Jest bystra i ambitna.

- Poza tym jest mężatką - odpowiedziała Romana. Przerazona, że okazała zazdrość, dodała pospiesznie: - Jeśli przejmiecie firmę, zabiorę ją ze sobą.

- Zakładasz więc taką możliwość?

- Niczego nie zakładam.

- Nie? W porządku, nie będę się z tobą spierać. Ale musisz dopuścić myśl, że Molly nie zechce pójść z tobą w nieznanne.

- Myślisz, że wolałaby pracować u ciebie? - Odwróciła się i nagle przystanęła.

- Mógłbym złożyć jej propozycję nie do odrzucenia - odparł, zamykając za sobą drzwi i prowadząc ją w stronę kuchni - Załóżę się, że najchętniej zostałaby szefową działu. A przy tobie nigdy się jej to nie uda, prawda? Zawsze będzie tylko dublerką.

Od ilu dni był jej cieniem? A już wiedział o jej asy-
stentce więcej niż ona.

- Możliwe - przyznała niechętnie.

- Nie możliwej a na pewno. Możesz mieć sentyment do stylu zarządzania wypracowanego przez Claibourne'ów, ale wiedz, że inni nie muszą go podzielać. A teraz chodź i opowiedz mi, jak spędziłaś poranek.

Potrzebowała czasu, by oswoić się z tym, co wydarzyło się dziś rano.

- A co z twoim porankiem? Czy Jordan wie, że wagarujesz?

- Jordan mną nie rządzi. A poza tym wiem już o tobie wszystko, co trzeba. Wziął ją za rękę.

- Naprawdę?

Głos jej zabrzmiał nieco nerwowo. Może naprawdę była zdenerwowana? Jej cukierkowo różowe usta stanowiły pokusę dla każdego mężczyzny. Nadal była mu winna pocałunek. Ostatnia noc to co innego... Musiał ją pocałować publicznie. Miał dług honorowy do odebrania.

- Chodźmy do kuchni - nalegał, pociągając ją do środka.

- Przyszłam ci tylko podziękować. Już to zrobiłam.

- Zrób to jeszcze raz. - Otoczył ją ramieniem w talii, by nie mogła mu uciec, a potem całował tak długo i namiętnie, aż poczuł, że jej opór słabnie. Różowe usta, dzieciinne niebieskie oczy i jej szyja prześladowały go w snach. Fantazjował na temat jej szyi! Przerwał pocałunek, myśląc, że zaraz ogarnie go znajome poczucie winy.

Ale tak się nie stało. Miał wrażenie, że zrzucił z siebie wielki ciężar. Nie, nie zrobił tego sam... To Romana uwolniła go od niego.

- Naprawdę nie powinnaś obcinać włosów - powiedział. - Gdyby nadal były takie okropne, mógłbym ci się oprzeć.

- Uważaj, jeszcze kilka takich komplementów - rzuciła z werwą - a osiągniesz sukces. A teraz naprawdę muszę iść...

Ujął ją mocniej w talię.

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie opowiesz mi o dzisiejszym poranku - powiedział stanowczo. - Widziałas się z nią?

- Tak - powiedziała cicho. - Widziałam...

- I co?

- Rozmawialiśmy dość długo. Powiedziała mi o różnych sprawach. - Wzięła od niego torbę. - Nieźle pachnie. Co to jest?

Teraz ją puścił. Wiedział, że i tak zostanie.

- Trochę *mezze* z libańskiej restauracji. Usiądź, wyjmę talerze.

- Nie, naprawdę muszę wracać... Jutro mamy lunch charytatywny...

- Zostaw to Molly. Praktyka dobrze jej zrobi. Wyglądasz na zmęczoną.

- Wielkie dzięki.

- To życzliwa uwaga, a nie krytyka. Zresztą nie jest tak źle. Faceci nadal będą się za tobą odwracać na ulicy.

Już chciała opaść na miękką sofę, ale się zawahała. Odsunęła drewniane krzesło i usiadła przy stole.

- Trzymaj się tylko z dala od kawy w papierowych kubkach, a wszystko będzie dobrze.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz, prawda?

- Oczywiście, że nie. To jedno z moich najcenniejszych wspomnień. Moment zwrotny w moim życiu.

Ostatnio było ich sporo... Chwila, gdy poprosiła go, by podziwiał zapach perfum, które jej ofiarował. Sposób, w jaki poprawiała jego krawat. Jej widok w mokrym podkoszulku lepiącym się do piersi... A zwłaszcza wrażenia, gdy obejmowała go mocno nogami, rozpalona, oddana...

Chciał leżeć z nią łóżku... Chciał budzić się co dzień obok niej... Takie myśli kłębiły mu się w głowie. Wyjął talerze i skoncentrował się na lunchu. - Opowiedz mi o swojej matce. - Usiadł obok na krześle. Wszystko było lepsze, byle tylko nie myśleć o tym, że siedzi tak blisko, że wystarczy wyciągnąć rękę i rozpiąć tę bluzkę, którą dziś miała na sobie. - Jak przebiegło spotkanie?

- Długo rozmawialiśmy. Powiedziała, że ojciec przestał się nią interesować już rok po ślubie.

- Cóż, nie należy do mężczyzn lubiących długotrwałe związki.

- Przypuszczam, że powinniśmy być szczęśliwe, że po trzecim małżeństwie przestał poślubić swe wybranki. Wierność nie jest jego mocną stroną. Mama ze względu na ranie zносиła jego romanse tak długo, jak mogła. Potem poznała Jamesa i odkryła, czym jest miłość.

- Ale dlaczego nie zabrała cię ze sobą?

- Moja babka przed ich ślubem zrobiła na jej temat wywiad. Dowiedziała się, że przed poznaniem ojca matka miała romans ze starszym mężczyzną. Osobą publiczną. Poznali się na jakimś przyjęciu. Matka była nim zauroczona, narzucała mu się, a jemu to oczywiście schlebiano... Miał zresztą dużo szczęścia. Żona wybaczyła mu romans, a gazety obrabiały akurat jakiegoś polityka, którego zła-

pano na gorącym uczynku. Moja matka wycofała się. Była smutna, zboląta, czuła się winna z powodu krzywdy, jaką wyrządziła temu człowiekowi.

- I twój ojciec ją pocieszył?

- Wątpię, by w ogóle zauważył, jak bardzo była wrażliwa. Widział tylko jej cielesne wdzięki. Obydwoje czerpali z tego związku to, co chcieli. Dopóki trwał. Gdy go poinformowała, że chce się rozwieść, nie wyraził sprzeciwu.

- Ale twoja babka nie była nastawiona tak pojednawczo?

- Moją babkę interesowało wyłącznie pozostawienie jej opieki nade mną. Zagroziła matce, że ujawni prasie szczegóły jej romansu, jeśli mnie nie zostawi. Mężczyzna, z którym matka była niegdyś związana, to znany i porządny człowiek, Niall. Popełnił tylko ten jeden głupi błąd. Zresztą matka winiła za wszystko wyłącznie siebie. Nie chciała zniszczyć mu życia i kariery.

- I za przyzwoleniem babci otrzymała szybki rozwód oraz sowitą rekompensatę finansową na otarcie łez.

- Pieniądze nie miały z tym nic wspólnego, chociaż pozornie tak wyglądało. Wszyscy myśleli, że wzięła forszę i uciekła do innego faceta. Oczywiście, w porównaniu z nami James nie jest bogaty, ale nie był również biedny. Nikogo to jednak nie obchodziło. Plotki były bardziej interesujące.

- Ale matka mogła zażądać prawa do kontaktów z tobą.

- Nie mogła. Taki był układ. Miała odejść i spalić za sobą wszystkie mosty. Była zrozpaczona. Uważała, że to kara za grzechy. Żyła potem nadzieją, że pewnego dnia przyjdę po wyjaśnienia, a wtedy opowie mi całą prawdę. Poświęciła się mężowi i rodzinie oraz pracy w organizacjach charytatywnych. Straciłyśmy tyle czasu... Nie znając tego artykułu, nie zrobiłabym pierwszego kroku. Prze-

jechałeś w nocy cały Londyn, żeby mi go dostarczyć. - Nieśmiało dotknęła jego dłoni. - Dziękuję. Zawsze będę ci wdzięczna.

- Wczorajszej nocy uświadomiłaś mi, ile ja czasu straciłem. Dlatego zacząłem myśleć również o tych latach, które straciłyście wy obie, ty i twoja matka. Kiedyś o niej słyszałem... Może ojciec mi wspomniał? Nieważne. Pomyslałem, że może coś znajdę, jeśli przejrzę wycinki prasowe. - Nakrył jej dłoń swoją dłonią. - To była taka szczególna noc. Czas pożegnania się z przeszłością. Ja też muszę ci podziękować. Ty mi to umożliwiłaś. Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Dostaniesz swoją nagrodę.

- Niall, nie chcę. - Kłamała. Pragnęła go, aż do bólu.

- To nie ma nic wspólnego z C&F.

- Wiem. To coś zupełnie innego... I nieprawda, że jeździłem do ciebie w nocy. Świtało już, gdy wsunąłem ci kopertę pod drzwi. Zastanawiałem się nawet, czy nie zapukać, nie obudzić cię i nie wprosić się na śniadanie.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Ponieważ nie byłoby to śniadanie, jakiego pragnął. To wszystko stało się zbyt nagle, było zbyt skomplikowane. Zanim zaczną jeść razem śniadania, musiał najpierw uporządkować swoje życie. Nie chciał jej tego teraz mówić.

- Popatrz w lustro. Widać, że potrzebujesz snu.

- To prawda. Umieram również z głodu. Jemy lunch czy nie? - Gdy Niall podzielił danie na dwie porcje, spytała: - Co to jest?

- Tabula, humus, gołąbki w liściach winogron, grilowane warzywa. - Nałożył trochę egzotycznego przysmaku na widelec. - Spróbuj. To *imam beyeldi*, omdlały imam. Dobre? - zapytał, gdy skosztowała.

- Bardzo dobre. Ale nie zamierzam mdleć.
- On by pewnie zemdłał, słysząc, ile kosztuje oliwa potrzebna do przyrządzenia tego przysmaku - zażartował. Przez chwilę jedli w przyjacielskiej ciszy.
- Nie opowiedziałeś mi jeszcze, jak spędziłeś ranek.
- Romana przerwała milczenie. Wyciągnęła rękę i dotknęła smugi farby na jego dłoni. - Malowałeś coś?
- Sufit w salonie na górze. Oczywiście, nie dam rady sam pomalować go w całości. To tylko gest. Zadatek.
- Na co?
- Na przyszłość. Na dalsze życie. Powiedziałaś, że powinienem wyprowadzić się stąd, i pomyślałem, że być może masz rację. Wczoraj w nocy mówiłaś bardzo rozsądnie, wziąłem to sobie do serca. Zastanawiałem się nad nowoczesnym apartamentem w Docklands lub w Chelsea. Jasne drzewo, stal, prostota. Po prostu wygoda, bez obciążenia tradycją, przeszłością, z którą trzeba żyć. Doszedłem jednak do wniosku, że nie widzę się w takim mieszkaniu. Tyle lat żyłem tutaj, w tej prowizorce. Nie potrafiłem odrestaurować tego miejsca, ponieważ nie było ze mną Louise. Zaniedbywałem ten dom, ale chcę w nim pozostać.
- Z duchami?
- Tu nie ma duchów, Romano. Jestem tylko ja.
- Ty i nowoczesna, osiemnastowieczna dekoracja.
- Nie. Gdy mówiłem, że trzeba żyć dalej, naprawdę miałem to na myśli. Pomyślałem jednak, że zachowam ducha epoki. Jasnożółte ściany i kremowa bordiura w liście bluszczu. Co ty na to? Zatrudnię studentów z Akademii Sztuki i dam im wolną rękę.
- Świetny pomysł - powiedziała Romana, wyobrażając sobie duży pokój zalany słońcem. - Chyba jednak zachowasz malowaną boazerię w holu?

- Podoba ci się?
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Podoba ci się? - powtórzył.
- Tak, podoba.
- A zatem zostanie.
- Wspaniale. - Romana miała niejasne uczucie, że wydarzyło się coś ważnego, ale to przegapiła. - Teraz naprawdę muszę iść.
- Miałem nadzieję, że zostaniesz i pomożesz mi w malowaniu.
- Naprawdę? - Spędzenie z nim dnia było kuszącą perspektywą. Ale to było coś, co musiał zrobić sam. - Dlaczego właściwie miałabym zostać?
- Może dla rozrywki?
- Gdy chcę się zrozerwać, chodzę na zakupy - odparła.
- Jeśli zechcesz, przyślę ci zespół dekoratorów wewnątrz; zrobią wycenę całości robót. Ogrzewanie, hydraulika, dekoracje...
- Och, dostanę lepszą stawkę, gdy przejmieniemy firmę.
- Spójrz na to realnie, Niall. Do tego przejścia nie dojdzie. Jesteś z pozoru twardy, ale masz wrażliwą duszę. Nie odbierzesz mi sklepu.
- Tak sądzisz? Nawet jeśli to prawda, na placu boju pozostają jeszcze Bram i Jordan, a ci mają dusze z betonu.
- Czeka ich staż u Flory i Indii - odparowała. - A to kolejno lód i stal - zapewniła. - Dzięki za lunch. Był naprawdę smaczny.
- Robimy postępy, prawda? - Podniosła zdziwiony wzrok. - Chodzi o jedzenie - wyjaśnił. - Jak myślisz, może następnym razem zaryzykujemy restaurację?
- Nie szarżuj, Niall.
- Wolisz zatem małą przerwę? W porządku, jutro nie

przyjdę na oficjalny lunch. Mam pewne sprawy do uporządkowania. Sprawdzimy, jak nam pójdzie na sobotnim balu. Kto wie? Może zjemy razem deser?

- Bufety są ryzykowne. Mnóstwo okazji do wpadki.
- Jestem gotów podjąć ryzyko. A ty?

Jego oczy były bardziej wymowne niż usta. Romana przemogła ucisk w gardle.

- Przydziesz na bal dobroczynny? Powiedziałeś przecie, że wiesz już o mnie wszystko.

- Kłamałem. Nie mam pojęcia, czy potrafisz tańczyć. Zarezerwuj dla mnie jakiś wolny taniec, dobrze?

- A ty umiesz tańczyć?

- To za dużo powiedziane. Ale jeśli mogę się na kimś oprzeć...

- Niall... - Czekał w napięciu. - Och, nic... Dopilnuję, mój cieniu, by Molly zarezerwowała dla ciebie miejsce przy stoliku.

- Nie zapomnij tylko, że cień... - palcami musnął jej szyję - nie odstąpi cię ani na krok. Taka już jego natura.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Włosy Romany otaczały twarz złotą aureolą, komponując się idealnie z elegancką linią szyi, ozdobionej ciasnym sznurem granatów. O jej sukni z głębokim dekoltem dałoby się powiedzieć wszystko prócz tego, że była skromna. Delikatna jak pajęczyna, uszyta była z kilku warstw czarnego zwiewnego szyfonu, który sięgał aż do kostek, spływając na wytworne pantofelki, wyszywane migoczącymi przy każdym ruchu, lśniącoymi koralikami.

- Nialf? - Gdy zapukał do drzwi jej mieszkania, a ona otworzyła z torebką w dłoni i szalem przerzuconym przez ramię, była zbyt zaskoczona, by powiedzieć cokolwiek prócz jego imienia. - Co tutaj robisz?

Stracił głowę.

Palił za sobą mosty.

A może skakał na głęboką wodę?

- Przyjechałem zabrać cię na bal, Kopciuszkule - powiedział. - Karoca czeka.

- To bardzo uprzejmie...

Och, wcale nie był uprzejmy. Miał ukryty cel. Nie widział jej od dwóch dni i chciał być z nią sam. Chciał spędzić z nią spokojne dziesięć minut przed wieczornym zamętem. Chciał posiedzieć obok niej w ciemności i potrzymać ją za rękę.

- Zamówiłam już samochód - usprawiedliwiała się,

zerkając na mały ozdobny zegarek, który zastępował dziś jej codziennego roleksa. Gdy uniosła rękę, poczuł znajomy zapach perfum. - Będzie tu za minutę.

- Powiedziałem Molly, żeby go odwołała. To naprawdę rozrzutność, jeśli obydwójce jedziemy w to samo miejsce.

- Powiedziałeś Molly? - Rumieniec zabarwił jej policzki. - Zapominasz, że jeszcze nie rządysz w C&F!

- Masz rację. Sama powinnaś jej to powiedzieć.

- Poza tym naprawdę nie ucieleśniasz mojego wyobrażenia o dobrej wróżce.

- Nie? Bardzo się cieszę, że to słyszę. Po namyśle dochodzę jednak do wniosku, że to nie ta bajka. - Była to raczej jakaś wersja „Śpiącej królowny”, tylko że w tym przypadku to śpiąca królowna obudziła go pocałunkiem. Uśmiechnął się do siebie. - Kopciuszkowi nigdy by nie pozwolono włożyć takiej sukni.

- Nie podoba ci się?

- Tego nie powiedziałem. Mam tylko nadzieję, że tym razem nie starałaś się, żeby była skromna, bo jeśli tak, to ci się zupełnie nie udało. - Ujął w dłoń szal i zarzucił jej na ramiona.

- Nikt nie oczekuje skromności po sukni balowej. O czym myślisz? - spytała, odwracając ku niemu twarz.

- Myślę... - Nagły żal zabłysnął w jego oczach. Od razu pożałowała, że zadała mu tak głupie pytanie. - Myślę, że powinni cię zamknąć, zanim spowodujesz zamieszki wśród mężczyzn. A może tylko na mnie tak łatwo wyrzucić wrażenie?

Wiedziała, że to nieprawda. Wiedziała również, że udało jej się przekonać go, że jest niepowtarzalna, olśniewająca i całkowicie nie do zastąpienia. W przypływie nagłej

pewności siebie wyciągnęła rękę i poprawiła jego jak zwykle przekrzywiony krawat.

- Idziemy? - spytała, biorąc go za rękę.

Usiedli z tyłu samochodu, z daleka od siebie, ale ze splecionymi dłońmi.

- Jak postępuje remont? - odezwała się po chwili.

- Salon jest już wykończony. Zatrudniłem kogoś do pomocy.

- I co dalej?

- Teraz trzeba popracować nad kuchnią.

- Ale nic nowoczesnego? Zachowasz staroświecki zlew, stół i krzesła, prawda?

- Tak. Jutro rozpoczynają się prace.

- Ciężko będzie ci mieszkać w ustawicznym remoncie.

- Może uda mi się na trochę wyjechać. Już od dawna należą mi się wakacje.

- Świetny pomysł. - Nagle posmutniała. Poczowała rozczarowanie.

Samochód zatrzymał się, ale Niall nie puścił jej ręki, mimo że portier hotelowy otworzył im drzwi.

- Zarezerwuj dla mnie pierwszy taniec - poprosił.

- Pierwszy taniec? - To nie były słowa, na które czekała. - Nie będę miała czasu na tańce - powiedziała wymijająco, starając się ukryć smutek. - Może później...

- Nie będzie żadnego później. - Mocniej zacisnął palce wokół jej dłoni. - Pierwszy taniec - powtórzył. Biorąc jej milczenie za zgodę, wysiadł wreszcie z samochodu, a potem wziął ją pod rękę i razem weszli do sali balowej.

Gdy Romana wraz z Indią i Florą przywitała gości, dziękując ofiarodawcom za hojność, dołączyła do Nialla siedzącego już przy stole.

- Jesteś bardzo przedsiębiorczy - powiedziała. Zauważyła, że zamienił się miejscami, by siedzieć obok niej.

- Mogłaś od razu mnie tutaj posadzić - odparł z wyrzutem.

- Przecież ze swojego miejsca doskonale byś mnie widział!

- Owszem, ale nie mógłbym cię słyszeć ani też... - pochylił się nad jej dekoltem - rozkoszować się twoim zapachem.

- To nowe perfumy. Promuję je.

- Już mnie przekonałaś. Zatańczymy? - Gdy niepewnie zerknęła na pusty parkiet, dodał zachęcająco: - Ktoś musi zrobić pierwszy krok.

- India...

- Jest teraz zajęta. Zjednuje sponsorów.

- Ty coś knujesz.

- Oczywiście, że tak. - Spojrzał na mistrza ceremonii, który zachęcony sutym datkiem śledził każdy jego ruch, a teraz podszedł do mikrofonu.

- Panie i panowie - poprosił, gdy wyszli na środek parkietu - powitajmy brawami pannę Romanę Claibourne i pana Nialla Farradaya Macaulaya, którzy zgodzili się zainaugurować nasz bal walcem. - Odpowiedziała mu burza oklasków i kilka gwizdów. - Ale najpierw pan Macaulay zamierza uregulować swoje rachunki z panną Claibourne. Okazuje się, że po aukcji charytatywnej, która odbyła się w tym tygodniu, urocza dama jest mu winna pocałunek.

Romana nie wierzyła własnym uszom. Myślała, że mieli to już za sobą, a skoro nie mogą być razem, przynajmniej pozostaną przyjaciółmi. Niall jednak zdecydował się odrzucić jej przyjaźń dla chwytu reklamowego! Tylko

po to, by udowodnić, że potrafi dostarczyć mediom większej sensacji niż ona!

To zawsze była jej domena. Dziś Niall miał ją przyćmić. Uprzejmie przyznał, że jest nadzwyczajna i olśniewająca, a teraz.... Pokaże, że mimo wszystko jest od niej lepszy. Był Farradayem - od początku do końca!

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Przez chwilę patrzył jej w oczy. Wygrał - i nic nie mogło go powstrzymać przed odebraniem nagrody.

Na sali znów rozległy się brawa. Niall pochylił głowę i pocałował Romanę w same usta. Pocałunek nie miał końca. Zachwyceni goście klaskali. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze, że odpowiadała na ten pocałunek z namiętnością i pożądaniem, których nie potrafiła ukryć. Pragnęła, by trwał wiecznie. Dalej - rozpościerała się pustka.

W pewnej chwili czar prysnął. Romanę ogarnęła świadomość, że wszystkie jej tęsknoty, wszystkie marzenia legły w gruzach. Łzy, które w niej wezbrały, płynęły teraz po jej policzkach strumieniami. Czuła pustkę. Straciła nawet szacunek dla samej siebie.

Muzyka zaczęła grać. Tańczyli, ponieważ mieli tańczyć. Czuła się tak niepewnie, tak krucho w jego ramionach. .. Jak łodyga, którą za chwilę złamie wiatr. Ale ludzi trudniej złamać. I są serca, których złamać nie można.

Niall pokazał w końcu swoje prawdziwe oblicze. Przez kilka słodkich chwil upajała się uczuciem, które mogło - tylko mogło - rozwinąć się w coś wyjątkowego. Powinna jednak pamiętać, że ten mężczyzna należał do klanu Faradayów. Może i miał złamane serce, ale nie dopuściłby do tego, by uczucia pokrzyżowały mu interesy.

Niall przystanął, choć muzyka rozbrzmiewała nadal.

Gdy Romana podniosła wzrok, napotkała jego intensywne spojrzenie.

- Masz dosyć tańca? - spytała. - Dostałeś już to, co chciałeś?

- To dopiero zaliczka...

- Jedna sensacja prasowa ci nie wystarczy?

- Sensacja prasowa? O czym ty mówisz, Romano? Chciałem jasno pokazać wszystkim członkom naszych rodzin, że nie pozwolę, by rozdzielił nas jakiś głupi spór. To jest publiczna zapowiedź związku pomiędzy tobą, Romaną Elizabeth Claibourne a mną, Niallem Farradayem Macaulayem. Louise pozostanie moim najdroższym wspomnieniem, ale nigdy już nas nie rozdzieli.

Romana usłyszała w jego głosie żal, że ją zranił, usłyszała przyznanie się do winy. Oraz obietnicę, że to się już nigdy nie powtórzy.

- Kocham cię i przez najbliższe pięćdziesiąt lat zamierzam czerpać odsetki od tego pocałunku.

- Przez pięćdziesiąt lat? - Zamrugwała, aby powstrzymać łzy, które znów cisnęły jej się do oczu.

- Jeśli zechcesz...

- Ale... Prawie mnie nie znasz.

- Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Potrafię rozpoznać swoje uczucia. - Otarł palcem łzę spływającą po jej policzku. - Jesteś moją księżniczką, która obudziła mnie z podobnego do śmierci snu. Wiesz przecież, jak zwykle kończą się bajki?

Muzyka przestała grać. Gwar na sali również ucichł, jakby wszyscy obecni, choć nie mogli nic słyszeć, domyślali się, że dzieje się coś bardzo ważnego.

- Ofiarowuję ci moje serce, Romano. Przyjmiesz je?

Przez jedną straszliwą chwilę zwątpiła w Nialla. Ale to

się już nie powtórzy. W twardym biznesmenie zobaczyła człowieka. Spędził całą noc, przeglądając artykuły prasowe o jej matce, przemierzył Londyn, by dostarczyć jej wycinek. Nie musiał tego robić... Gdy się kochali i wymówił imię żony, po prostu uwolnił się od przeszłości. Ale to ją całował, ją pieścił, jej chciał zrobić przyjemność.

- Tak - powiedziała. - Przyjmę. - A gdy ich usta znów się złączyły, usłyszeli głębokie westchnienie tłumy gości.

- Jeszcze jedno - powiedział po chwili. - Chcę, żebyś wiedziała, że moja kapitulacja jest całkowita. Oddaję ci serce, ciało i...

- Duszę?

- Sklep.

Wybuchnęła śmiechem.

- To zabrzmiało tak nieoczekiwanie jak... Elizabeth. Skąd wiedziałeś, jak mam na drugie imię?

- Odrobiłem starannie lekcje. Chcę również, żebyś wiedziała, że niezależnie od tego, jaka decyzja zostanie ostatecznie podjęta na temat przyszłości C&F, ja będę optował za tobą. Ufam, że dokonasz właściwego wyboru.

- Stali pośrodku sceny, będąc obiektem obserwacji tysiąca par oczu. - Czy to wystarczy? - spytał. - Mam przykleknąć? Chcesz?

- Zrobiłbyś to?

Przez moment udawała, że się zastanawia. Potem znów wybuchnęła śmiechem.

- Zostawmy to na później, gdy będziemy sami. - Chwyciła go za rękę i pociągnęła do wyjścia.

- Ale co z przyjęciem?! - zawołał, przekrzykując gwar, który podniósł się za ich plecami.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła Indię zmierzającą w ich stronę.

- Molly doskonale sobie poradzi - powiedziała.

- Postąpiliśmy słusznie.

- Zgadzam się w zupełności.

Romana podniosła do góry rękę, by spojrzeć na ślubną obrączkę, błyszczącą w świetle księżyca. Niall splótł palce z jej palcami, a potem popchnął ją na poduszki, by udowodnić kolejny raz słuszność tego, na co się zdecydowali.

Później... o wiele później Romana odezwała się:

- Gdybyśmy poinformowali o swoich zamiarach, wszyscy spodziewaliby się hucznego, rodzinnego wesela.

- Masz rację - przytaknął Niall.

- Wiem, że zrobiłoby to taką reklamę naszemu działowi ślubnemu, jakiej nie można kupić za żadne pieniądze, ale nie chciałam, by nasz ślub stał się wydarzeniem medialnym.

- W obecnej sytuacji rodzinne wesele byłoby w ogóle niezręcznością.

- Ale i tak będziemy musieli im powiedzieć.

- Wrócić do domu i zmierzyć się z rzeczywistością?

- W końcu tak - przyznała. - Ale najpierw należy nam się miodowy miesiąc, prawda?

- Nie sądziłem, że dwoje ludzi może tak doskonale się rozumieć - wyszeptał. Ich palce znów się splótły. - Ale nasze rodziny będą zachodzić w głowę, gdzie się podzialiśmy. Będą się martwić.

- Może powinniśmy wysłać mail?

- Och, doskonały pomysł.

- Mam ich jeszcze mnóstwo...

Romana usiadła przy komputerze w kafejce internetowej. Położyła ręce na klawiaturze. Diamenty w ślubnej obrączce błyszczały w słońcu, a Niall obejmował ją w tali.

- Co napiszemy?
- Najlepiej krótko i prosto - poradził. - Może tak:
„Zawiadamiamy, że staż zakończył się sukcesem. Wczoraj wzięliśmy ślub. Do zobaczenia za jakiś czas. Pozdrowienia. Romana i Niall”.

We wrześniu ukaze się druga część miniserii
Wspólnicy zatytułowana ***Dwie księżniczki***